

**Brian Callison**

**Włócznik**

**Brian Callison**

**Włócznik**

# Rozdział I

Oszołomiony sierżant Bosche gmerał we własnej krwi, gorączkowo myszkujące, zakrzywione jak szpony palce przesuwwały się z lękiem w stronę brzucha, krocza, zaskakująco skróconych nóg... i dopiero, gdy do jego świadomości dotarła straszliwa prawda, oczy rozwarły się szeroko z przerażeniem spod zaognionych powiek. Crofts słyszał już zbliżających się ostrożnie angolańskich partyzantów, trzeszczenie płonących ciężarówek kolumny Delta” i skwierczenie zwłok, których kremację przyspieszał palący się kordyt. Docierały do niego urywane komendy kubańskich doradców, podczas gdy pierwsze napotkane fale najemników przebijane były bagnetami albo patroszone ostrymi jak brzytwy pangami. Po prostu dla pewności.

Bosche również musiał się zorientować, że nadchodzą, zaczął skomleć jak zwierzę, wyciągając zakrwawione ręce proszącym gestem. Jego słowa były zupełnie niezrozumiałe - ale gdyby nawet mówił wyraźnie, a nie z gardłem zdławionym przerażeniem, Crofts i tak niczego by nie zrozumiał. W panice i zamieszaniu zasadzki Niemcy umierają mówiąc po niemiecku, Francuzi po francusku, brytyjscy żołnierze zaś, gdy utracą wszelką nadzieję, umierają wśród potoku anglosaskich epitetów. Ale Crofts dobrze wiedział, czego się od niego oczekuje... a właściwie, czego się żąda zgodnie z zasadami śmiertelnej gry, do której obydwaj przystąpili jako w pełni świadomi zawodowcy.

Czuł w dłoni chłód kolby beretty dużego kalibru, gdy unosił ją w stronę pokrytego warstwą zaskorupiałego kurzu czoła Boschego. Spojrzenie Niemca łagodniało wyraźnie. Zamiast malującego się wcześniej przerażenia widniała w nim wielka braterska wdzięczność. Nagle jednak zaczęło dziać się nie tak. Teraz prawa ręka Croftsa zaczęła pokrywać się lśniąca czerwienią, a jego zeszywniały palec usiłował niezgrabnie wsunąć się w osłonę spustu. Na litość boską, przecież on również krwawi! Krew spływa równym strumieniem po jego ręce! Jest rzadsza, bardziej wodnista niż przy poprzednich ranach, ale niemniej to jego własna krew. Ból zaczął ogarniać go coraz silniej, czuł, że traci świadomość, pochłaniały go zapierające dech, wyciskające pot fale nudności. Nie mógł się zdobyć na to, żeby pociągnąć za spust, nie był w stanie spełnić danej przed laty obietnicy i zapobiec temu, co stanie się z sierżantem Boschem, gdy ci z zasadzki zorientują się, że jeszcze żyje. Boże, proszę! pozwól mi nacisnąć spust! Proszę, okaż łaskę i pozwól wpakować kulę w zakrwawioną głowę Hermanna Boschego...

...Leżąca obok niego dziewczyna westchnęła, uniosła się na łokciu i mrugając popatrzyła niepewnie na Croftsa zza zasłony długich blond włosów.

- Czy prosileś o coś?

Crofts miał już otwarte oczy. Podobnie jak sierżant Bosche w kolejny raz przeżywanym koszmarze. Z tą jednak różnicą, że sierżant Bosche nie wpatrywał się w piękne kobiece ciało, lecz w dziewięćmilimetrową otchłań wylotu lufy beretty M 951, która nawet wtedy pozostała niema przedłużając mikrosekundę ostatecznego przerażenia w wieczność oczekiwania, sadystycznie nie

chcąc eksplodować ostatnią brutalną przysługą...

- Nie - odparł cicho Crofts. - Nauczyłem się nigdy o nic nie prosić. Dziewczyna przez chwilę leżała w milczeniu, a potem przesunęła się tak, że znalazła się na nim. Prześcieradło zsunęło się z jej pochylonych pleców. Na tle przesączającego się przez zasłony brzasku wczesnego poranka wyglądała prowokacyjnie eterycznie. Miała cudowne ramiona o barwie wosku, która była wynikiem mijającej już londyńskiej zimy, wspaniale gładką skórę, jaką można się szcycić jedynie w wieku dziewiętnastu, może dwudziestu lat. Uniosła delikatnie dłoń Croftsa z poduszki, pochyliła głowę, rozchyłonymi wargami ujęła jego kciuk i ugryzła leciutko, ani na chwilę nie przestając patrzeć mu w oczy, ta pełna pomysłowości rozwiązłość tworzyła ostry kontrast: słodka niewinność, ale zarazem wszechstronna cielesna wiedza. Niewzruszenie wytrzymał jej spojrzenie i jednocześnie z cyniczną lubieżnością myślał o rozlicznych stopniach intymności, przez które ta dziewczyna przeprowadziła go minionej nocy. Jej nieco wyzywająca uroda była uczłowieczona - a zarazem uczyniona niezrównanie bardziej zmysłową - przez odruchy dziwki wymykające się spod kontroli w czasie szczytów ich całkowitego zapamiętania. Bardzo wielu szczytów. Miło łechcących jego próżność tak straszliwie mu potrzebnych.

- Nigdy jeszcze nie byłem w łóżku z kimś tak starym jak ty - powiedziała powoli. Ale nie było w tych słowach pogardy. Oznaczały zwykłe stwierdzenie faktu, a nawet jakby zdziwione uznanie.

Zmarszczył brwi.

- To doprawdy nic szczególnie dziwnego. Niewielu już takich zostało. Wiesz, mam czterdzieści siedem lat. W przypadku istoty ludzkiej jest to właściwie już z górki. Znowu ujęła dłoń Croftsa i po chwili poczuł, jak mięśnie jej szczęk tężeją, a ostre zęby dygocą przy nasadzie jego kciuka. Musiał walczyć z pokusą rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Nie mógł, do cholery, już nie był w stanie reagować... Wreszcie niechętnie uniosła głowę i oparła wewnętrzną stronę przegubu o jego policzek. Leniwie zauważył kontrastującą z mleczną białością jej szyi opaleniznę swego ramienia i jednocześnie spostrzegł szramę pozostawioną przez odłamek wyprodukowanej w ZSRR przeciwczołgowej miny - obrzydliwe, szkarłatne cięcie od barku do łokcia - osobisty dorobek z okresu jego działalności jako najemnika. I znowu jakież kontrast! Jej dziewicza skóra - i jego, wygarbowana słońcem. Nieskazitelne ciało - i ciało bezlitośnie naznaczone przez wojnę. Nienasycone libido młodości - a z jego strony jedynie otepiałą skorupą dojrzałości, dzięki której mógł kontynuować swoje własne niezawodne dążenie do pełni.

Ale czy istotnie potrzebował tylko zwykłego zaspokojenia seksualnego? Może było to bardziej złożone, niż chciałby się do tego przyznać? Może stanowiło w większym stopniu potrzebę udowodnienia samemu sobie, że na dobrą sprawę wcale się nie postarzał, że jego obecne pragnienia motywują go równie mocno jak erotyczne ambicje, których kapitan Michael Crofts z pułku powietrzno-desantowego doświadczał jakieś dwadzieścia lat temu - zanim kupili go werbownicy najemników i zanim jego ideały rozpuściły się w przelewanej za pieniądze cudzej krwi.

- Wspaniale się kochasz - szepnęła. I Crofts po raz pierwszy od chwili śmierci sierżanta Boschego poczuł się szczęśliwy, to bowiem właśnie chciał usłyszeć.

Pochyliła głowę i jedwabista kaskada włosów spłynęła na jego tors. Czuł, jak wargi dziewczyny przesuwają się po bliźnie na jego rękę, język dotykał jej z lubieżną ciekawością, i przypuszczał, że chce go w ten sposób skłonić do wyjaśnień. Ale nie zrobił tego. Nie można było się spodziewać, że to dziecko zrozumie obłąkańczą okropność zdradzonej operacji wojskowej, usłyszony bezlitosny jazgot ukrytych RKM-ów, zobaczy w wyobraźni rozproszoną grupkę płonących, wypatroszonych

transporterów opancerzonych, śmietnisko ludzkich szczątków, odchodów, oderwanych kończyn zaścielających miejsce zasadzki. Na pewno nie potrafiłaby wyobrazić sobie widoku głów bez tułowi, które uśmiechają się do ciebie bezmyślnie z gotującego się od pocisków kurzu, ale mimo to zachowują koszmarnie podobieństwo do towarzyszy broni, których jeszcze tego ranka widziało się przy stole w mesie...

W jaki sposób można opisać krzyki Hermanna Boschego, z którym przyjaźniło się przez dwadzieścia lat i który na krwawiących kikutach pokonał trzydzieści metrów dzielących go od wątlej osłony dżungli, dopiero tam uświadamiając sobie, że jego męskość i dolna część nóg zostały urwane eksplozją już w pierwszych chwilach ataku. I dopiero wtedy przewrócił się i zaczął błagać Croftsa, by go zastrzelił, zanim dopadną go czarni komuniści.

Crofts ostatecznie zdołał w imię przyjaźni zastrzelić sierżanta Boschego. Ale dziwna sprawa: nigdy nie udało mu się ponownie pociągnąć za spust w żadnym ze wszystkich stale powracających sennych koszmarów.

Zadzwoił telefon. Zawodowo przymilny kobiecy głos oznajmił:

- Siódma trzydzieści, sir. Śniadanie podawane jest w restauracji Carvery. Życzę miłego dnia.

Crofts podziękował, a potem położył się znowu i sięgnął po papierosa. Nawet po upływie trzech miesięcy wciąż uważał za oznakę słabości przebywanie w plastikowym komforcie pięciogwiazdkowego hotelu u boku pięknej kobiety, nie zaś w smrodzie zgnilizny w Namibii, Kambodży czy Jemenu, przy akompaniamencie chrypliwych klątw spragnionych snu mężczyzn w pokrytych plamami kamuflażu polowych mundurach. Ze skrępowaniem uświadamiał sobie również, że luksus w gruncie rzeczy staje się nudny, że życie bez celu zaczyna go drażnić, mimo podjętego wcześniej postanowienia wycofania się.

Dziewczyna przypatrywała mu się przez chwilę, potem jakby z pewnym rozdrażnieniem wstała z łóżka. Zaciągnął się, patrząc na nią przez wijący się błękitnoszary dym papierosowy, gdy przeciągała się, a jedwab jej włosów spłynął z ramion falą złotych płomieni. W jej posągowej nagości była hedonistyczna świadomość własnej doskonałości.

- Ty też jesteś dobra - powiedział z zakłopotaniem uświadamiając sobie, jak wielkie jest to niedopowiedzenie. - Dziękuję!

Był zdziwiony, ale jednocześnie sprawiło mu przyjemność, kiedy zobaczył, jak po raz pierwszy nieśmiało uśmiecha się z wdzięcznością, i nagle zaczął się zastanawiać, czy ona również boi się, że okaże się w jakiś sposób niepełnowartościowa. Być może różnica wieku stanowiła dla niej takie samo wyzwanie jak dla niego - z tą tylko różnicą, że w przypadku dziewczyny niepewność ta mogła wynikać z poczucia, iż jej młodość w zetknięciu z jego doświadczeniem może okazać się niewystarczająca.

- Czy mogę skorzystać z twojej szczoteczki do zębów? - zapytała. I zaraz potem spojrzała z pewnym powątpiewaniem. - Może wolałbyś, żebym tego nie robiła? To niezbyt higieniczne.

Crofts przypomniał sobie ich grę miłosną w czasie minionych godzin i z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Jeżeli tobie to nie przeszkadza, to mnie również. Jest razem z moimi przyborami do golenia. Nawet możesz użyć pod prysznicem mojego mydła, jeśli chcesz.

Pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa.

- Naprawdę jesteś miły. Czy będę mogła jeszcze się z tobą spotkać?

- Tylko pod warunkiem, że nie zużyjesz całego mydła. Jej oczy były szeroko otwarte, niebieskie, i

nagle pojawiła się w nich uraza.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Słowo daję, bardzo bym chciał się z tobą spotykać. Jak najczęściej... - Spojrzał na zegarek.

Była za dwadzieścia ósma. - Czy nie mówiłaś, że jesteś z kimś umówiona dziś rano?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko z tatusiem. O dziesiątej w kawiarni Harveya Nicholasa. Przyjeżdża dziś do miasta na cały dzień.

- No to się lepiej nie spóźnij. Będzie wystarczająco wściekły po tym, jak zechce znaleźć na Knightsbridge miejsce do zaparkowania.

- Graham znajdzie. Zawsze mu się udaje.

- Graham? To twój brat? Czy może przyjaciel?

- To szofer tatusia, oczywiście - odparła rzeczowym tonem.

- Oczywiście - mruknął Crofts, znowu z zakłopotaniem wspominając ubiegłą noc i sposób, w jaki doszło do ich spotkania. Wpadł na nią w hotelowej windzie. Był wtedy jeszcze nie w pełni zdecydowany, jak ma spędzić kolejny samotny wieczór w tym mieście, w którym człowiek czuje się najsamotniej na świecie. Potem z taką łatwością dał się wciągnąć w rozmowę, że aż zaczął z cynizmem oceniać motywy dziewczyny, podejrzewając początkowo, że to nieukrywane zainteresowanie jest jedynie subtelną uwerturą do seksualno-komercyjnej propozycji. Skoro jednak okazało się, że ma wynajęty i opłacony wcześniej pokój piętro wyżej... Teraz zaś dowiedział się, że tatuś ma szofera...

- Wygląda na to - stwierdził z mimowolnym sarkazmem - że następnym razem stać cię będzie na własne mydło.

Dziewczyna wpatrywała się w niego przez chwilę w zamyśleniu, przesuwając delikatnie palcem po jego szramie na ramieniu.

- Myślałeś, że jestem prostytutką, prawda? - zapytała go bez najmniejszego zażenowania.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czy jego poczucie winy aż tak bardzo rzuca się w oczy.

- Przez jakiś czas. Na samym początku - próbował wyjaśnić ostrożnie.

- A czy wziąłbyś mnie, gdybym nią była? Uśmiechnął się.

- Teraz, kiedy już cię poznałem - owszem.

- Za, powiedzmy, pięćdziesiąt funtów? Crofts zmarszczył brwi, próbując jednak podtrzymać żartobliwy ton:

- Pewnie tak. To mniej więcej wszystko, co mam przy sobie. Chyba że byłabyś skłonna przyjąć czek American Express.

Wyciągnęła gwałtownie rękę i obserwowała jego reakcję z dziwnym podnieceniem. Takiej jej jeszcze nie widział.

- Pięćdziesiątka starczy. Za pieprzenie!

Przez długą chwilę Crofts patrzył na nią beznamiętnie, ale z uczuciem głębokiego wewnętrznego bólu. Jego psychiczna potrzeba została tak cudownie zaspokojona tylko po to, by teraz euforię zastąpiła pogarda dla własnej próżności. Powoli wyjął portfel i odliczył pięć dziesięciofuntowych banknotów na wyciągniętą dłoń. Z goryczą zastanawiał się, czy nie odliczyć jakiejś sumy za użycie szczoteczki do zębów, ale nie zrobił tego. Nie miał już najmniejszej ochoty na żarty. Zniknęło uczucie szczęścia.

Pochyliła głowę dotykając palcami pieniędzy, głaszcząc je i okazując na pozór niezwykle

zadowolenie ze swego zarobku. Początkowo obserwował ją z pełną obrzydzenia wściekłością. Odrzucał go, ale zarazem hipnotyzował widok jej piersi unoszonych przyspieszonym oddechem, tętniący dziwnym podnieceniem puls na wciąż kuszącym wygięciu szyi. Och, mógł jej odmówić, to pewne. Mógł teraz odebrać pieniądze. Mógł ją znieważać fizycznie, potraktować brutalnie, nawet zabić, gdyby tylko zechciał - w końcu wielokrotnie zabijał dla pieniędzy, choć poprzednio było to zawsze bardziej bezosobowe. Mężczyźni, kobiety, dzieci ginęli w parszywych małych wojnach prowadzonych przez najemnych żołnierzy - takich jak Crofts.

Nie zrobił jednak tego. Mimo bowiem wyrafinowania i kurewskiej niewrażliwości była wciąż zbyt piękna, zbyt krucha, by mógł jej nienawidzić choć w połowie tak silnie, jak nienawidził siebie. Odwrócił się więc po prostu twarzą do ściany, żeby pozbawić ją choć radości z tego, że zdołała go poniżyć. I odniósł wrażenie, że jest bardzo zmęczony i jeszcze bardziej samotny niż poprzednio.

Poczuł, że wstała z łóżka, usłyszał szelest banknotów, gdy stanęła nad nim. A potem jej głos. Był łagodny jak poprzednio, jedynie z delikatnym tonem nagany:

- Sprawileś mi przykrość, wiesz? Śmiejąc się ze mnie. Ale może w głębi duszy cieszę się z tego. Wiesz, do tej pory zawsze brakowało mi odwagi, żeby zrealizować moje bardzo osobiste marzenie...

Zdezorientowany, odwrócił się do niej. Starannie wkładała banknoty do jego portfela. Odłożyła go na stolik przy łóżku. Potem pochyliła się i pocałowała go z psotną miną.

- Zawsze chciałam być prawdziwą kurwą. Choćby przez chwilę.

Leżał i patrzył na tę niesamowitą kobietę-dziecko, która najpierw podważyła, a potem figlarnie przywróciła mu zachwiane poczucie wartości. I rozkoszował się ciepłem, które powracało do jego lędźwi. Potem powiedział przyciągając ją do siebie:

- Jeżeli o to ci chodzi, jestem pewien, że przynajmniej pod względem techniki masz jak najlepsze kwalifikacje. Wiem to od chwili, gdy zgodziłaś się skorzystać z mojego cholernego mydła!

# Rozdział II

Nie zdołał powitać zorzy wolności nad nowym Zimbabwe, oczywiście pierwsza rana, jaką Crofts odniósł w walce. Przypomniawszy sobie rozdzierający ból, gdy ostre jak brzytwy rytualne lwie pazury rozorały mu plecy. Był wtedy młody, niedoświadczony i oberwał, bo się przestraszył. A potem fanatyczny kongijski Simba zwinął się podziurawiony długą na cały magazynek stena serią, wypuszczoną przez równie młodego i niedoświadczonego Erica Harleya. Było to tyle lat temu.

Ale mimo wszystko... Wyprostował się i uśmiechnął, widząc swoje kretyńskie odbicie skaczące przed nim na golasa. Wysoki - no tak! Dobrze zbudowany? Wzruszył ramionami przyznając, że i owszem. Sprawny fizycznie? No cóż, wciąż jeszcze oddycha, prawda? Większość członków ma na swoim miejscu i działają jak należy. A więc jak w końcu wygląda? Pełen samozadowolenia uśmiech Croftsa stopniowo przekształcał się w grymas, kiedy początkowo rozważał możliwość, że jest „przystojny”, potem spuścił nieco z tonu przyznając, że ma „nieregularne rysy”, aż wreszcie jeszcze bardziej zrewidował swoją opinię, uznając się za „interesująco męskiego”.

Gdy wreszcie resztki jego próżności rozsypały się w pył, mruknął do swego odbicia: „Cholera!” - i jego spojrzenie ponownie padło na walizkę. Marszcząc brwi podniósł wieko, wsunął dłoń pod ułożone starannie koszule i wyciągnął pistolet. Ciągle chłodny w dotyku. Niemal tak samo chłodny jak wtedy, gdy wykończył z niego biednego Hermanna.

Przycisnął zatrask i z wprawą wyciągnął z karbowanej kolby magazynek z ośmioma nabojami. Mosiężne łuski dziewięciomilimetrowych naboju parabellum połyskiwały groźnie w lśniącej cienutką warstwą smaru pudełka magazynka. Trzymając pistolet skierowany przed siebie i nieco w bok, energicznym ruchem odciągnął do tyłu zamek. Zostawił napięty kurek nad komorą naboju i beznamyślnie spojrzawszy w dół na pistolet. Był rozładowany. Po raz pierwszy od chwili, kiedy Crofts sam wykluczył się z gry. To jego pierwszy krok na drodze ku normalizacji, ku całkowitemu opuszczeniu gardy.

Trudno było jednak uniknąć cieni przeszłości. W zawodzie Croftsa nie odchodziło się tak po prostu - nie odwieszało się granatów i nie znikało w cichym mroku. Crofts od zbyt wielu lat był - wprawdzie niewielką, ale drażniącą - zadrą pod paznokciem pokaźnej liczby sięgających po władzę prominentów Trzeciego Świata. Nienawiść politycznych ekstremistów lub religijnych fanatyków tli się długo i wytrwale. Obecnie u władzy znajdowało się paru takich, którzy z radością wydaliby rozkaz zlikwidowania go, gdyby tylko nieopatrznie wystawił się na strzał. Z drugiej jednak strony w jakiś sposób musiał rozpocząć swój powrót do pokojowego życia. Musiał wykonać pierwszy krok, żywiąc nadzieję, że ów nowy świat okaże się normalny i że przemoc będzie w nim istniała jedynie w gazetowych nagłówkach lub bezosobowych obrazach na ekranie telewizora.

Z całą pewnością tego ranka Crofts czuł się o wiele swobodniej niż kiedykolwiek od chwili powrotu i czuł zdecydowanie większą chęć, by uczynić pierwszy gest na rzecz swojego ustakowania



się. Być może był to rezultat przebytego okresu rekonwalescencji, spokojnych, pozbawionych wyrazu dni, kiedy gwałt i przemoc istniały tylko w nocnych koszmarach, a przebyte walki były jedynie milczącym wspomnieniem. Wolał jednak myśleć, że jest 'w tym coś bardziej znaczącego, wolał przypisywać swoje pogodzenie się z losem dziewczynie. Sposobowi, w jaki namówiła go, aby uśmiechał się bez napięcia i żeby się odprężył. Przypomniała mu uczucie, którego od tak dawna był pozbawiony, a które nazywało się „czułość”.

Z namysłem położył berettę na dłoni i spojrzął na nią. Zmuszał się do przypomnienia sobie tamtego. Przyszło mu to prawie bez trudu - niemal natychmiast zaczął czuć smród płonących ciał, mdlącośłodki zaduch kordytu oraz przytłaczający wszystkie pozostałe doznania odór wyciśniętego strachem potu sierżanta Hermanna Bosche - co tak nim wtedy wstrząsnęło, że w gruncie rzeczy stało się katalizatorem jego decyzji porzucenia zawodu najemnika. Nie, nie podjął tej decyzji z tchórzostwa - już dawno pogodził się z myślą, że rany i cierpienia fizyczne są jego nieodłącznymi towarzyszami - ale zmasakrowane ciało Boschego z całą bezwzględnością uświadomiło mu, że właśnie wygasł okres gwarancyjny jego szczęścia. Od dwudziestu lat on sam, Bosche, Eric Harley i Mearns walczyli ramię przy ramieniu wierząc, że są niezniszczalni. Byli przekonani, że ta ich wzajemna nieśmiertelność pozwoli im wyjść cało. Aż do Angoli, Namibii i południowoafrykańskiego kontraktu. Wtedy wszystko runęło. Naczelne Dowództwo Republiki Południowej Afryki wycofało swoje regularne oddziały za linię granicy, podczas gdy złożony z najemników oddział „Delta” ciągle nacierał, chcąc wykonać jeszcze jedno, ostatnie uderzenie i zwiększyć premię za skalpy terrorystów ze SWAPO. Był to właśnie moment, kiedy spotkały się prawo równowagi i armia angolańska. Kolumna „Delta” wpadła w pułapkę, zaplanowaną niewiarygodnie skutecznie, nawet jeżeli założy się, że zorganizowano ją pod kierunkiem radzieckich i kubańskich doradców... W chwilę później Herman Bosche stał się wyjątkim strzępem człowieka, a Mikę Crofts do końca obrzydził sobie próżny trud walczenia w cudzych wojnach.

Ponuro zważył w rękę pistolet, oceniając jego znajomy ciężar. To nie był żal - żałuje się rzeczy przyjemnych, a nie tego, co przynosiło jedynie udręczenie i ból. Ale była to dobra broń, niezawodna w błocie, w czasie monsunów, pewna mimo działających jak papier ścierny wiatrów pustyni. Jasna sprawa, wielu chłopaków kpiło z niej, szczególnie faceci o twardym spojrzeniu, którzy dopiero przybyli ze Stanów, Wielkiej Brytanii albo Legii po to, by wziąć udział w grze najemników. Zabić paru czarnych, a potem wycofać się i dalej żyć za zarobione na tym pieniądze. Był to przecież większy szmal niż dostawało się w regularnej armii. To oni zawsze chichotali spoglądając protekcjonalnie na kaburę przy pasie zmęczonego wojaczką majora. Zawierała berettę z 1951 roku, zaledwie półautomatyczny pistolet. Ale starzy wyjadacze, tacy jak Harley, Bosche czy Harry Mearns, nie śmieli się nigdy. Widzieli, co pistolet Croftsa może zrobić z facetem trafiając go dziewięciomilimetrowym pociskiem parabellum z prędkością tysiąca stu osiemdziesięciu dwóch stóp na sekundę.

Większość tych młodocianych kpiarzy zginęła w Angoli. I bardzo wielu umierało z wyrazem zdziwienia na twarzy przekonawszy się, że czarni afrykańscy buntownicy zdążyli poczynić pewne zakupy od czasów, gdy Sanders władał rzeką. Zamiast włóczyli mieli radzieckie AKM-AK kalibru 7,62 mm, zamiast wilczych dołów z zaostrzonymi palami - miny przeciwpiechotne z wytłoczonym napisem „Made in North Korea”, zamiast tam-tamów - radiostacje UKF z modulacją częstotliwości i zakresów, pracujące na znanych z niezawodności enerdowskich mikroprocesorach.

Crofts niespiesznie uniósł berettę w wyciągniętej ręce i wsunął palec pod osłonę spustu. Zaczął

się pocić czując, jak z przeraźliwą jasnością jawi się w jego pamięci koszmarny obraz oczu Hermanna Boschego przedzielonych pionową linią muszki pistoletu. To było niezbędne działanie, rodzaj narzuconej samemu sobie terapii leczenia wstrętem. Musiał się zmusić do ponownego przeżycia mdlącego obrzydzenia niedawną przeszłością, musiał podtrzymać swoje nie do końca jeszcze ugruntowane przekonanie, że bez względu na to, jak bezbronny się stanie, przyszłość, która go czeka, nie może kryć w sobie nic gorszego...

W tej chwili nie było przy nim dziewczyny, nie znajdował się wcale w pokoju hotelowym. Wokół niego były tylko ciała i terkot diegtarietów rozszarpujących kolumnę „Delta”, urywane jęki rannych, którzy nagle okazali się wcale nie tak twardzi i wołali swoje „Mutter” albo „Maman”, albo „Mamo”, widząc opadające łukiem ostrze pangii... i słyszał pełne bólu błagania przyjaciela.

Ale nie mógł. Wciąż nie był w stanie nacisnąć tego cholernego SPUSTU!

Czuł, że jego mózg jest jakby wypełniony watą, a całą rękę przeszywa rozrywający ból. Jak przez mgłę słyszał matowy ryk ostatniego jeepa w kolumnie, pędzącego w jego kierunku i podskakującego na leżących - martwych i umierających. Samochód przebijał się przez pełzające nad pobojowiskiem dymy, a Harley, wczepiony w podwójne uchwyty zamocowanego z tyłu browninga M 2, odpowiadał krótkimi kontrolowanymi seriami na ogień Angolczyków... i wreszcie zatrzymał się tuż obok. Wtedy dobiegło Croftsa pogardliwe warknięcie najtwardszego skurwysyna z nich wszystkich:

- Pora się wynosić, majorze. Można uznać, że chłopaki właśnie kopnęły w kalendarz. I to z hukiem.

Crofts zezował ku górze, próbując skoncentrować wzrok na rozmazanym obrazie jeepa. Samochód przednią szybę miał rozbitą, na osłonie chłodnicy widniały rozsmarowane szczątki ludzi z jadącej bezpośrednio przed nim ciężarówką. Z okna wyglądała krótko ostrzyżona głowa Mearnsa. Wykrzywił się w dzikim uśmiechu, jak zawsze znajdując rozkosz w grozie i smrodzie walki. Szef kompanii - starszy sierżant Mearns. Szalony Harry Mearns, którego euforia walki ogarniała nawet w obliczu klęski. Oczy sierżanta zmatowiały natychmiast, gdy spostrzegł postrzępione kikuty nóg, zakrwawione podbrzusze i woskową bladość twarzy Boschego, a widząc trzymaną przez Croftsa berettę, domyślił się, co chce zrobić. Nie było jednak w tym spojrzeniu współczucia - to zresztą normalne u Mearnsa.

- No, zrób to, jeżeli masz taki zamiar. A może chciałbyś poczekać, aż szkop sam się wykrwawi na śmierć?

Crofts poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Miał ochotę skierować pistolet w stronę Mearnsa, zestrzelić z jego twarzy ten bezlitosny, szyderczy uśmiech i w ten sposób wyświadczyć przysługę wielu czarnoskórym mieszkańcom Afryki. I Mearns wiedział to. Rzucone przez niego wyzwanie przepełnione było pogardą dla słabości Croftsa.

- Ma pan jeszcze dziesięć sekund, żeby pociągnąć za spust, panie Crofts. Albo razem z Hermannem poczekacie tu sobie na chłopaków z pangami.

Angolański ckm zaczął ich wymacywać przez chwilową osłonę dymu. Jego pociski wybuchały na pobojowisku, podkradały się do Croftsa, a trafiane po drodze, przypominające lalki, ciała drgały i wymachiwały bezsensownie rękami. Browning Harleya łomotał w odpowiedzi, wyrzucone łuski z grzechotem spadały wokół leżących na ziemi mężczyzn. Gorączkowy jazgot diegtarietów ucichł nagle.

Znowu okrzyk, tym razem Erica, dodatkowo pogłębiający dręczący Croftsa dylemat. Przynaglenie, by okazał łaskę...

- On już jest skończony, Mike. Do diabła, człowieku, jesteś mu to winien!

Ale w głosie Erica był skrywany głęboko smutek, gorycz współczucia. Mearns, jakby ostrzegawczo, nacisnął sprzęgło, zmienił ze zgrzytem biegi. Jeep ruszył nieco do przodu... i ponownie się zatrzymał. Było to coś, co w przypadku Mearnsa najbardziej przypominało ustępstwo. Nad burtą samochodu ukazał się M-16 trzymany niedbale jedną ręką. Lecz jego lufa skierowana była w stronę Boschego, nie nieprzyjaciela.

- Dobra! W takim razie ja wyświadczę mu tę przysługę, skoro ty sam nie masz odwagi - powiedział Mearns niemal z kpina w głosie. - Chociaż Bóg mi świadkiem, właściwie nie lubiłem tego faceta...

Sierżant Bosche znowu zaczął skomleć kręcąc głową z boku na bok i Crofts wiedział, że nie chce, aby stało się to w taki sposób. Nie chciał tego z ręki Mearnsa. Nie chciał śmierci bez dobroci.

Pocisk moździerzowy wybuchnął niedaleko, zakołysał jeepem i obsypał ich śmierzącym błotem dżungli, ale Crofts nie zwrócił na to uwagi. Niemal z czułością przyłożył lufę beretty do czoła Boschego i ujął sierżanta za rękę. - Es lut mir leid, Hermann... - szepnął swoją nieporadną niemieczyzną. - Wybacz...

Trzask iglicy uderzającej w pustą komorę naboju był w cichym hotelowym pokoju takim samym szokiem jak strzał. Crofts przez długą chwilę stał nago, wciąż naciskając spust. Zmuszając się do zapamiętania.

- Czy zabiłeś z niego kogokolwiek? - zapytała dziewczyna z zaciekawieniem. Jej głos był spokojny i bez cienia strachu. Crofts poruszył się i odwrócił. Stała w drzwiach łazienki, na jej skórze lśniły jak klejnoty krople wody. Zastygła w geście wycierania włosów, z ręcznikiem zaciśniętym w dłoni.

- Tak - odparł cicho. Nie próbował ukryć pistoletu. W jakiś sposób wyczuwał, że nie musi tego robić.

- Wielu?

- Zbyt wielu.

Podeszła i spojrzała na broń marszcząc z wahaniem brwi. Czuł zapach mydła i pasty do zębów, zapach jej czarującej świeżości łączący się z wonią smaru w jego pistolecie. Gdy uniosła wzrok, aby spojrzeć na niego, miała oczy szeroko otwarte i kryło się w nich pytanie.

- Ci ludzie, których zabiłeś - czy byli źli? Pokręcił wolno głową.

- Niekoniecznie. W każdym razie nie wszyscy. Niektórzy z nich byli po prostu zwykłymi przerażonymi ludźmi. A ja jestem... byłem żołnierzem.

Dotknęła delikatnie palcami jego ramienia.

- Widzę, że miało to na ciebie wpływ. Ale to nie wiązało się z twoją służbą w brytyjskiej armii? Z tym że musiałeś walczyć o coś, w co wierzysz?

Crofts mimo wszystko zdołał lekko uśmiechnąć się w duchu. Znowu dała o sobie znać jej prostolinijność, przekonanie, że motywem działania wszystkich wojskowych jest patriotyzm i wierność Królowej, nie zaś profesjonalizm i zwykła ambicja. Uświadomił sobie, że chce z nią być zupełnie szczerzy.

- Nie służyłem w armii brytyjskiej... w każdym razie od wielu lat. Walczyłem dla reżimów - rządów, które stać było, żeby opłacić robotę. Nie zabijałem żołnierzy przeciwnika z patriotycznych pobudek, ale za pieniądze. A czasami zdarzało się, że pod obstrzałem znajdowali się ludzie, którzy tej wojny nie chcieli, nawet jej nie rozumieli.

Jej dłoń przestała nagle głaskać jego ramię i odniósł wrażenie, że niewiele brakuje, by ją utracił.

- Sądzę, że nie mogłabym czuć do ciebie sympatii, gdybyś kiedykolwiek zrobił cokolwiek, co mogłoby zagrozić tatusiowi, mnie - i ludziom żyjącym w... no, w ustroju demokratycznym, takim jak nasz.

Spojrzał na nią, zaskoczony mocą kryjących się za tym oświadczeniem uczuć i wynikających z tego wniosków. Ale zdawał już sobie dobrze sprawę, jak łatwo jest ją zranić i jak bezwzględna potrafi być w obronie. Zaczął bardzo starannie dobierać słowa:

- Zawsze walczyłem przeciwko komunizmowi, nigdy po jego stronie, jeżeli o to chodzi. Większość europejskich najemników czyni tego rodzaju zastrzeżenia. Może po prostu próbowaliśmy szukać samousprawiedliwień, łudziliśmy się, że bronimy twoich demokratycznych zasad, rządy bowiem, które powinny podjąć zdecydowaną akcję, wycofywały się.

- Używasz czasu przeszłego. Czy już w to nie wierzysz? Wzruszył ramionami.

- Wątpię, czy kiedykolwiek wierzyłem. W każdym razie wycofałem się. Chcę się zestarzeć z godnością, nie oglądać się ciągle przez ramię... i nie chcę już w paskudny sposób tracić przyjaciół.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Zawsze będziesz oglądać się przez ramię, dopóki będziesz miał ten pistolet. To Wielka Brytania...

- Wiem. Mam zamiar się go pozbyć.

- Kiedy?

- Dzisiaj.

Znowu dotknęła palcami jego ramienia.

- Dlaczego dopiero dziś? Przecież już od dość dawna jesteś w Londynie.

- Chyba dlatego, że cię spotkałem - odpowiedział cicho, a potem zawahał się. - Czy naprawdę... mówiłaś serio, kiedy wspomniałaś, że czujesz coś do mnie?

- Tak. Sądzę, że z łatwością mógłbyś stać mi się bardzo bliski.

Uczucie szczęścia, które go ogarnęło, przypominało niemal gorączkę, ale panował nad sobą. Musiał panować nad sobą. Zamiast je okazać, spojrzał na nią poważnie.

- Mam prawie dwa razy więcej lat niż ty. Jestem twardy jak cholera i cyniczny jak diabli. Zbyt długo żyłem na granicy prawa i twoja rodzina znieawidziłaby mnie od pierwszego spojrzenia. Tatusz przełożyłby cię przez kolano i stłukł ci pupę za to, że jesteś takim nieodpowiedzialnym dzieciakiem!

Uśmiechnęła się swoim cudownie nieodgadnionym uśmiechem.

- O wiele bardziej wolałabym, żebyś ty mi stłukł pupę! I na pewno spodobałbyś się tatusiowi. A jeżeli chodzi o cynizm i twardość, to pewnie mógłby ci udzielić paru lekcji.

Objęła go ramionami i położyła głowę na jego piersi. Nie wiadomo czemu nawet beretta w jego rękę nie była już taka zimna, ale mimo to zdecydowanym ruchem odsunął dziewczynę od siebie.

- W każdym razie nie do końca zadowala mnie to, co mi powiedziałaś - oznajmił. - Jest coś, co trzymasz w tajemnicy, coś, co chyba powinienem wiedzieć.

Mrugając oczyma spojrzała na niego zza wilgotnych złotych kosmyków. Po raz pierwszy robiła wrażenie wyraźnie zdziwionej.

- Co?

- Jak się nazywasz? - zapytał sucho. - Uwiodłem cię. Spałem z tobą. Nawet zrobiłem z ciebie prostytutkę... i nawet, do cholery, nie wiem, jak się nazywasz!

Przytuliła się jeszcze mocniej, mimo jego słabego oporu.

- Pam. Pam Trevelyan.

- A ja Mikę. Crofts.

- Jak się masz, Michaelu Crofts - powiedziała dziewczyna.

- Witaj, Pamela Trevelyan!

Zanim rzucił pistolet na łóżko i pocałował ją, uświadomił sobie, że na horyzoncie pojawił się problem, nad którym aż do tej chwili nie miał odwagi się zastanawiać. Wydawało mu się bowiem, że bez względu na różnicę wieku i krótkotrwałość ich znajomości - zaczynają się w sobie zakochiwać.

Kiedy otworzył przed nią drzwi taksówki, uściśnęła mu rękę.

- Przykro mi, że straciłeś przeze mnie śniadanie.

- Nawet tego nie zauważyłem - uśmiechnął się Crofts.

- A więc o szóstej. W restauracji na dachu.

- To chyba będzie dla mnie bardzo długi dzień - stwierdził elegancko i poczuł się dość staroświecko.

- Dokąd mam jechać, szefie? - zapytał taksówkarz.

- Knightsbridge. Do Harveya Nicholasa. Pamela zmarszczyła brwi obserwując ruch uliczny na Park Lane.

- Chyba prędzej będzie na piechotę.

- W tym korku szybciej byłoby dojść na piechotę do Australii - stwierdził ponuro taksiarz.

- Gdybyśmy wszyscy tak myśleli, zostałby pan bez roboty - powiedział Crofts.

- Mój doktor również. Utrzymuje się z leczenia moich stresów.

Zanim Crofts zatrzaskał drzwi, dziewczyna pochyliła się w jego stronę i szepnęła:

- Czy na pewno nie chcesz, żebym to wyrzuciła zamiast ciebie?

Domyślił się, że chodzi jej o pistolet, i poczuł, jak bardzo kocha ją za tę propozycję podjęcia ryzyka w jego zastępstwie.

- Nie. Dam sobie radę. I będę ostrożny.

- Dzisiaj? Obiecałeś.

- Obiecuję. Słowo honoru, i niech ja skonam...

Te ostatnie bezmyślne słowa przypomniały mu znowu sierżanta Boschego. Zatrzaskał szybko drzwi samochodu i zmusił się, żeby pomachać w ślad za włączającą się do ruchu taksówką.

Kiedy wrócił do hotelowego pokoju, który sprawiał wrażenie jeszcze bardziej pustego niż poprzednio, zadzwonił, żeby przysłano mu kawę. Kiedy ją przyniesiono i podpisał rachunek, pomyślał z ironią, że za pieniądze, które wydał na samą tylko kawę, wiele angolańskich rodzin utrzymałoby się przez tydzień. Wiedział, że nie będzie w stanie nawet zacząć zapominać Afryki, dopóki nie pozbędzie się pistoletu.

Na dnie szafy leżała plastikowa torba z butami. Wyjął je, włożył do środka pistolet i spojrzał krytycznym okiem na pakunek. Wyglądał dokładnie jak plastikowa torba z berettą M 951 w środku.

Nalał sobie czarnej kawy, usiadł na łóżku i zaczął zastanawiać się nad tym problemem. Po raz pierwszy od trzydziestu lat nie miał pojęcia, co ma zrobić ze swoim śmiercionośnym narzędziem. Nie licząc oczywiście sennych koszmarów. Wreszcie rozebrał berettę na części i owinął każdą z nich oddzielnie w stronice wczorajszego „Daily Expressu”. Kiedy w końcu włożył do torby jeszcze pięć zapasowych magazynków, zaczęła wyglądać bezkształtnie i anonimowo - jak efekt porannych sobotnich zakupów.

Dopiero gdy ponownie wszedł do hotelowego holu, uświadomił sobie ponury komizm sytuacji.

Żadnemu londyńskiemu policjantowi nie przyjdzie do głowy, że Crofts jest byłym najemnikiem, który szuka odpowiedniego miejsca, żeby pozbyć się nielegalnie posiadanej broni. Mimo to mogą go zatrzymać i zrewidować, kiedy tylko wyjdzie z hotelu, obecnie bowiem w stolicy Wielkiej Brytanii bardzo poważnie traktowano niebezpieczeństwo zagrażające ze strony anonimowych osób niosących bezkształtne pakunki - a szczególnie takich osób, które pozostawiają je gdzieś mimochodem. Tak jak miał to zamiar zrobić Crofts.

Wyjątkową ironią losu było to, że ostatecznie udało mu się „przebrać”... za potencjalnego terrorystę z IRA. Takiego, który szuka jakiegoś cholernego celu.

# Rozdział III

Było to dziwne wrażenie: czuł się bardzo widoczny - mimo że wmieszał się w tłum wychodzący ze stacji metra Picadilly - i łatwo zdołał sobie wmówić, że jest śledzony. Wydawało mu się, że zbyt wiele spojrzeń kieruje się w jego stronę, że są bardziej badawcze, niż usprawiedliwiałyby to zwykła, przelotna ciekawość. Na przykład mężczyzna w czerwonym anoraku spoglądający na niego zza automatu biletowego... na pewno z nadmiernym zainteresowaniem. Albo ten młody facet w skórzanym stroju motocyklisty, tkwiący przy kiosku informacyjnym londyńskiej komunikacji miejskiej i rzucający ciągle wyraźnie niechętnie spojrzenia w jego kierunku.

Po paru chwilach Czerwony Anorak podszedł do niego, wymamrotał jakieś przeprosiny i z charakterystyczną dla krótkowidza, pełną napięcia miną zaczął wpatrywać się w schemat metra znajdujący się za plecami Croftsa. Wkrótce potem na szczycie ruchomych schodów, którymi Michael wjechał na górę, pojawiła się dziewczyna z hełmem motocyklowym pod pachą i pospieszyła na spotkanie czekającego z niecierpliwością chłopaka w skórzanym ubraniu. Wtedy Crofts poczuł się głupio. Ogarnęła go wściekłość na tkwiące w nim poczucie winy z powodu tego, co miał zamiar zrobić.

Jednak możliwość, że znajduje się pod obserwacją, nie była wcale tak mało prawdopodobna, jak się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Brytyjska Służba Bezpieczeństwa prowadziła kontrolę działalności przebywających na jej terenie najemników. Były już przypadki, że o względy bardziej patriotycznie nastawionych czarnych owiec zabiegały pewne osobistości z rządu. Oficjalnie nie popierały one bezpośredniego wojskowego zaangażowania Zjednoczonego Królestwa w wewnętrzne sprawy innych państw, ale potrafiły dyskretnie zainicjować operację realizowaną przez zawodowo dyskretnych specjalistów.

Gdyby schwytano go na gorącym uczynku przenoszenia takiej właśnie zawartości jego plastikowej torby, mogłoby to dla owych państwowych specjalistów stać się nieprzeparłą pokusą. Nie tylko umożliwiłoby pozyskanie Michaela Croftsa, byłego kapitana z pułku powietrzno-desantowego, ale również zapewniłoby znaczne oszczędności budżetowe Skarbu Zjednoczonego Królestwa w wydatkach raczej nieprzedstawianych do publicznej wiadomości. Zwerbowanie kogoś do tajnej służby Jej Królewskiej Mości pod groźbą pięcioletniego zapuszkowania za nielegalne posiadanie broni palnej było nieporównanie tańszą metodą niż płacenie pełnej stawki przewidzianej za potajemne zabójstwo lub inne usługi najemnika.

Crofts szybkim krokiem wyszedł schodami prowadzącymi na róg Picadilly i Shaftesbury Avenue. Wyimaginowane uczucie zagrożenia było zupełnie nowym doświadczeniem i wyraźnie działało na niego deprymująco. Może powodem takiego stanu rzeczy była po prostu ta dziewczyna i przekonanie, że po raz pierwszy ma coś do stracenia. Może istotnie tu był początek jego rzeczywistego powrotu do społeczeństwa rządzącego się prawem. Jego umysł przyjął wreszcie do wiadomości fakt, iż wolności

nie zapewnia pistolet, lecz właśnie rezygnacja z takiej formy osobistej obrony. Ale było to w tej chwili bez znaczenia: nadal w żaden sposób nie mógł pozbyć się uczucia, że stale znajduje się pod obserwacją.

To, co początkowo wydawało się prostym zadaniem, nagle przerodziło się w trudną próbę odporności psychicznej.

Jazda metrem stanowiła część niezbyt wyraźnie sprecyzowanego planu, który zakładał, że na oczach spieszących podróżnych beczelnie wyrzuci berettę do jakiegoś pierwszego lepszego kosza na śmieci. Byłoby to typowe dla Croftsa, wyzywające działanie, które z perspektywy jego dotychczasowych potyczek z losem sprawiało wrażenie bagatelki. Ale nagle zaczął się denerwować - nie, do diabła, po prostu bać! - tysiącokiltny tłum przywykł do czujności, wiedział, że pośród niego może znajdować się zamachowiec z bombą.

Wciąż jednak pamiętał, że Pamela zawierzyła jego obietnicy, a poza tym czuł, że ich dalsze stosunki mogą zależeć od tego, czy istotnie dotrzyma umowy.

- Pieprzę to! - warknął głośno. Nagle ogarnęło go obrzydzenie do samego siebie z powodu tej zupełnie irracjonalnej bojaźliwości i zaczął maszerować w stronę Cambridge Circus wymachując agresywnie torbą. Czyż w końcu Londyn nie był wielkim tygłem międzynarodowych intryg? Przecież służby bezpieczeństwa były w stanie trzymać pod obserwacją jedynie stanowiących największe zagrożenie członków zmieniającej się wciąż społeczności, która zajmowała się wszelkimi dającymi się wyobrazić formami zbrodni, terroryzmu, szpiegostwa i najróżniejszymi innymi występkami ludzkimi. Czy rzeczywiście poświęcono by coś więcej niż chwilę zdawkowej, pełnej pogardy uwagi przegrzanemu drugorzędnemu żołnierzowi fortuny, który jest mniejszym zagrożeniem dla państwa niż jakiś osiemnastoletni szczeniak przepelniony szczerą marksistowską nienawiścią i trzymający w kieszeni domowej roboty bombę zapalającą wielkości pudełka papierosów?

Skreślił w lewo na Rupert Street i skierował się w głąb Soho. Zaczęło padać i z przykrością uświadomił sobie, jak wiele lat był chroniony przed kaprysmi angielskiego klimatu... w tej samej chwili jednak przypomniały mu się zwłoki, okrucieństwo, zimny pot przerażenia tamtego minionego czasu - i nagle londyński deszcz znowu zaczął sprawiać mu przyjemność. Gdy skreślił na Berwick Market, zobaczył przed sobą stoiska handlowe. Zatrzymał się przy nich i kupił niebieski wełniany szalik zapakowany w pudełko. Owinął szalik wokół szyi i stanął, umyślnie jakby z wahaniem, trzymając w ręku puste opakowanie. Stojąca za ladą kobieta odezwała się:

- Na zapleczu jest pojemnik na śmieci, jeżeli chce pan to wyrzucić. Zawsze nam powtarzają, żeby utrzymywać Londyn w czystości.

Crofts wszedł do wnętrza kiosku i wrzucił do pojemnika kartonowe pudełko, trzy zapasowe magazynki, owiniętą w gazetę lufę i zamek beretty. Wsunął to wszystko pod znajdujące się już tam śmieci. Rozproszone części składowe broni będą bezużyteczne dla przypadkowego znalazcy. Powiedział: - Dziękuję! - i wyszedł z kiosku.

Nie zatrzymując się, wrzucił do mijanego kosza sprężynę powrotną i pozostałe magazynki oraz pustą paczkę po papierosach. Na Wardour Street zwolnił i spacerowym krokiem ruszył wzdłuż biur zespołów filmowych i prywatnych kin, aż wreszcie zobaczył stos kartonów ze śmieciami oczekujących na zabranie przed grecką restauracją.

Zatrzymał się na chwilę, czując wyraźnie już mniejszy ciężar pistoletu, który przez pół życia znajdował się w jego posiadaniu. Nie, nie czuł smutku czy żalu... może jedynie bezsensowne poczucie winy, że niszczy w ten sposób ostatnią rzecz, na której spoczął przed śmiercią wzrok



sierżanta Boschego.

Z obojętną twarzą wepchnął plastikową torbę z pozostałymi częściami głęboko w bryłę kuchennych odpadków i odszedł stamtąd w zupełnie nowej roli praworządnego i pokojowo usposobionego członka społeczeństwa.

I natychmiast zdał sobie sprawę z niedorzecznego lęku, jakim napawało go to nowe uczucie. Kiedy dotarł do tłumu kłębiącego się na Oxford Street, na skrzyżowaniu zatrzymał się przy nim motocykl, który chcąc się włączyć do ruchu na głównej ulicy oczekiwał na zmianę świateł. Crofts zobaczył go dopiero wtedy, gdy maszyna ryknęła silnikiem i ruszyła do przodu.

Gdzieś już kiedyś widział tę parę motocyklistów. Przez chwilę. Chłopak z goglami nasuniętymi na oczy stał wpatrzony przed siebie przy kiosku informacyjnym na stacji Picadilly, a dziewczynę z tylnego siodełka widział na ruchomych schodach...

Ogarnęło go jeszcze silniejsze uczucie niepokoju. Czy jednak nie było już zbyt późno na wniosek, że nie! jest to zwykły zbieg okoliczności? A poza tym, skoro właśnie pozbył się już swojej beretty M 951, to chyba może sobie pozwolić na zignorowanie takich fantastycznych wymysłów.

Deszcz ustał i wyjrzało słońce. Crofts powędrował w stronę Marble Arch i Hyde Parku. Nie mógł powstrzymać się przed zastanawianiem się nad tym, czy spojrzenie Hermanna Boschego nawiedzi go również i tej nocy. I czy rzeczywiście przeszłość można tak łatwo pogrzebać. Razem ze starym metalowym weteranem w kupie odpadków kuchennych.

Błądził bez celu po sklepach, kupił koszulę i parę rękawiczek u D.H. Evansa i wreszcie w porze lunchu znalazł się w zatłoczonym Selfridges. Za każdym razem, gdy coś oglądał, łapał się na tym, że szuka czegoś podejrzanego, jakiegoś zbytniego zainteresowania swoją osobą.

Jednak niczego podejrzanego nie dostrzegł. Zresztą wiedział, że niczego takiego być nie mogło. Wreszcie poczuł, że jest bardziej głodny niż załęknioty, i pojechał ruchomymi schodami na górne piętra. Przypomniało mu to znowu dziewczynę z kaskiem na Picadilly, rozżłościł się więc na samego siebie, zaklął pod nosem i stanął na końcu kolejki prowadzącej do samoobsługowej restauracji.

Duszony kurczak wyglądał nieźle. Dziewczyna za kontuarem zapytała: - Z frytkami? - i Crofts podsunął jej talerz. - Proszę.

Dodała mu trochę więcej sosu i uśmiechnęła się. Odpowiedział jej uśmiechem i zaczął przesuwać tacę po poręczy. Potem postawił na niej jeszcze gąbczaste ciastko i szklankę soku pomidorowego. Dwie osoby przed nim jakiś mężczyzna zamawiał herbatę i Crofts czekał cierpliwie, nie chcąc przepychać się do kasy.

Mężczyzna postawił na swojej tacy imbryk z nierdzewnej stali i zaczął szukać portfela.

- Bardzo przepraszam, że panią zatrzymuję - przeprosił grzecznie niską kobietę, która odgradzała go od Croftsa.

Wzruszyła ramionami gestem niezrozumienia i wymamrotała:

- Merci, monsieur.

Crofts uświadomił sobie, jak kosmopolityczny stał się Londyn od czasu jego ostatniego pobytu. Potem spojrzał bezmyślnie na człowieka, który był przyczyną tego zatoru, i zmarszczył brwi, nagle bowiem tamten wydał mu się jakoś odlegle znajomy. Jednak dopiero gdy kolejka znowu ruszyła do przodu, ostatecznie skojarzył sobie tę orlą, nieco posępną twarz.

Kiedy brał sztućce i serwetkę, wysoki mężczyzna skierował się w stronę wolnego stolika. Crofts z tacą w ręku zatrzymał się obok niego.

- Simpson? - zapytał niepewnie. - Jest pan komandorem porucznikiem Edwardem Simpsonem,

prawda?

Mężczyzna, do którego się zwrócił, uniósł brwi i zawahał się, trzymając w ręku uniesioną łyżeczkę.

- Obecnie komandorem. Ale niestety już w stanie spoczynku. - Zakołysał łyżeczką, mrużąc lekko oczy. Widać było, że usiłuje zidentyfikować Croftsa. - Proszę mi nie podpowiadać - rzekł. - Hongkong, co? Albo Singapur.

- Niech pan spróbuje deltę Mekongu. Jakieś osiem lat temu.

Twarz Simpsona rozjaśniła się. Tym razem machnął łyżeczką w stronę Croftsa z wyraźną radością.

- Dobry Boże... Crofts? Major Crofts!

- Już nie major.

- Niech pan się do mnie przysiadzie, drogi chłopie. -

Simpson przesunął się, robiąc mu miejsce na kana; i z entuzjazmem poklepał ją dłonią. - Proszę siadać.

Crofts zestawiał swoje jedzenie z tacy, a napotkany przed chwilą znajomy odwrócił się w jego stronę.

- Już nie major? Mam nadzieję, że to zasłużony awans?

- Dymisja na własne życzenie. Rozczarowałem się. Zresztą w naszych oddziałach stopnie wojskowe, jest pan pamięta, były zawsze raczej akademickim problemem. Otrzymywało się je na podstawie warunków kontraktu, nie zaś listy starszeństwa. Niezbyt zwracaliśmy uwagę na mianowania korpusu oficerskiego Jej Królewskiej Mości.

- Oczywiście - Simpson zamyślił się, wspominając tamten czas. - Byliście taką dość nieformalną grupą. Coś w rodzaju... hmm... samodzielnej formacji sił bezpieczeństwa. Prawda?

- Bardzo dyplomatycznie pan to określił. - Crofts wzruszył ramionami. Simpson doskonale wiedział, że chłopaki w Nam zostali wynajęci przez bliżej nieokreślone koła w celu usunięcia pewnych osobistości z Vietcongu, na północ od strefy zdemilitaryzowanej. Tam, gdzie nawet Oddziały Specjalne Stanów Zjednoczonych nie miały prawa działać.

- Wszystkie rządy mają skłonność do podejmowania w razie konieczności pewnych nieoficjalnych uzgodnień - Simpson próbował beztrząsco zmienić temat.

- Pan chyba powinien najlepiej o tym wiedzieć, komandorze - odparł sucho Crofts. - Do momentu, kiedy pan i pańscy zdyscyplinowani piraci przybyli, żeby nas stamtąd, wyciągnąć, nie mieliśmy zielonego pojęcia, że Royal Navy również działa na Mekongu. Po niewłaściwej stronie linii.

- W Royal Navy również niewielu facetów o tym wie, stary. - Łyżeczka zakołysała się ostrzegawczym gestem. - Proszę jednak pamiętać, że byłem w owym czasie na długim urlopie. Całkowicie rozwiedziony z Ich Lordowskimi Mościami Admiralicji. Czy wystarczająco wyraźnie powiedziałem?

- Ten kurczak wygląda apetycznie - zauważył Crofts biorąc do ręki nóż i widelec. W ten sposób Simpsonowi dawał znać, że wszystko zrozumiał. - Często pan tu przychodzi?

Crofts odsunął talerz i zapalił papierosa. Od chwili, gdy Simpson w czasie rozmowy zrobił swój dyskretny unik, prowadzili światowy dialog dwóch dalekich znajomych - o pogodzie, sytuacji politycznej, szansach Anglii w czasie następnego Pucharu Świata. Był jednak mimo wszystko wdzięczny tamtemu - to przypadkowe spotkanie nie tylko pomogło mu zneutralizować jego

irracjonalne lęki, ale również bardzo skracało czas oczekiwania na spotkanie z Pamelą Trevelyan.

- A co z panem? - zapytał. - Pewnie nadal w taki czy inny sposób jest pan związany ze słoną wodą?

- Ależ skąd, na Boga - odpowiedział Simpson. - Mam już stanowczo za dużo lat na gumowe buty i flotyllę południowo-wschodnią. Jestem teraz cywilnym urzędnikiem. Wciąż w Ministerstwie Obrony, w marynarce wojennej, ale żegluję wyłącznie przy biurku. Cholernie nudna sprawa. Administracyjna robota. Całe biurko zavalone wydrukami komputerowymi, które udowadniają czarno na białym, że nie stać nas na utrzymanie nawet tych paru szarych kominów, które jeszcze mamy.

- Przepraszam - rzekł Crofts. - To musi być denerwujące.

- Ale ma to również swoje dobre strony, mój stary.

- emerytura jest w pełni zabezpieczona przed inflacją, no poza tym mam kontakt z moimi rówieśnikami. Przynajmniej z tymi paroma, którzy nadal zębami i pazurami trzymają się służby czynnej.

Po raz pierwszy od chwili spotkania Simpsona Crofts miał powód, by przypomnieć sobie Hermanna Boschego.

- Większość moich rówieśników dała się załatwić - słyszał swój zimny głos - albo ciągle jeszcze nadstawia głowy pod kule w jakiejś pieprzonej bananowej republice.

- To była twarda gra. Pan i ten drugi facet - pański adiutant, prawda? Okazaliście cholernie dużo zdrowego rozsądku, że z tym skończyliście.

Crofts z powątpiewaniem zmarszczył brwi.

- Adiutant? W delcie Mekongu był nim Eric Harley Dlaczego pan uważa, że wyszedł z gry? Widziałem go po ostatni w Johannesburgu, dobrze ponad rok temu. Próbował przekonać Laurę, żeby pozwoliła mu wrócić do roboty.

- Laura... Jak sądzę, to jego żona?

- Owszem. Mieli mieszkanie w Jo'burgu. A po tym, jak „Delta” została rozwalona...

- Delta?

- To operacja w Angoli - odparł lakonicznie Crofts. - Kolumna „Delta”. Wielonarodowościowe siły złożone z białych najemników. Zostaliśmy rozbici na strzępy przez SWAPO i tylko paru z nas udało się przedostać z powrotem przez granicę. Harley został w Jo z Laurą, a ja wróciłem tutaj, chory z obrzydzenia na ten cały cholerny interes. Ale może się pan założyć, że Eric znowu walczy w wojnie prowadzonej przez jakiegoś sukinsyna ogarniętego żądzą władzy. Chyba że już nie żyje.

- Wyglądał na niezwykle żywego, kiedy dwa tygodni temu widziałem go w Szkocji - zapewnił grzecznie Simpson. - A w Szkocji nie mamy zbyt wielu wojen domowych - nie licząc tych, które toczą między sobą kibic piłkarscy.

Crofts popatrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Szkocja? Dwa tygodnie temu? Myślał o tym przez chwilę i niedowierzanie walczył w nim z irytacją.

- Ale przecież on nie może być w Szkocji. Musiałby dać znać, gdyby miał zamiar przyjechać do Wielkiej Brytanii. Zostawiłem mu adres, pod który ma do mnie pisać.

Orla twarz jego sąsiada wyraźnie pociemniała. Powiedział ze zmieszaniem:

- Przepraszam. Może nie powinienem... Och, prosz posłuchać, spotkałem go tylko przelotnie w Glasgow - podobnie jak dzisiaj pana.

- No cóż, czy ten świat nie jest rzeczywiście mały? - odparł Crofts z irytacją, a potem natychmiast

wzruszył przeproszającym gestem ramionami. - Proszę wybaczyć, nie miałem zamiaru być zgryźliwy. Czy Eric powiedział, jak długo ma zamiar zostać w Szkocji?

Simpson z zakłopotaniem bawił się łyżeczką.

- Mam wrażenie, że raczej nie jest tu przejazdem, że tak powiem. Wygląda na to, że urządził się na stałe. Trochę na północ od Oban. W Auchenzie, jeżeli dobrze pamiętam.

Crofts ze zdumieniem uniósł brwi. Harley zawsze przepuszczał beztrąsko swój żołądek i w żaden sposób nie byłby w stanie wycofać się i żyć ze zgromadzonego kapitału. A jedyną umiejętnością, dzięki której mogłoby zarobić na życie, było... ale w Szkocji?

- Co on tam robi, na rany boskie?

- No... prowadzi farmę i tak dalej, jak sądzę.

- Prowadzi farmę!

Tym razem Crofts naprawdę wytrzeszczył oczy. Prowadzi farmę! Eric Harley? Eric, który podczas dwudziestu lat walki przejmował się ekologią w równym stopniu, co dywizja pancerna podczas blitzkriegu.

Stopniowo zaczął sobie uświadamiać, że znowu czuje się nieswojo. W tym, co powinno być jedynie sprawiającą pewną przykrość wiadomością uzyskaną w czasie przypadkowego spotkania z komandorem Simpsonem, kryło się coś niepokojącego. Crofts zbyt dobrze i zbyt długo znał Harleyów, żeby teraz po prostu pogodzić się z faktem, że jego najbliższy przyjaciel z własnej, nieprzymuszonej woli wycofał się w zacisze szkockiej wsi. Nigdy nie zamieniliby swego domu skąpanego w południowoafrykańskim słońcu na chłód zorzy północnej. Ani też, i było to jeszcze bardziej znaczące, nie zapomnieliby powiadomić go o tym.

Chyba że...

I właśnie wtedy Crofts rozpoznał ponure przeczucie, które prześladowało go od samego ranka. Była to bardziej jakaś pełna wyczekiwania wibracja niż rzeczywista groźba, mimo wszystko odbierał to jako coś, co mogłoby poważnie zagrozić jego tak krótkiemu uczestnictwu w życiu społeczeństwa odzeganego od przemocy. Było to coś, co nawet mogło narazić na szwank jego znajdującą się w początkowym stadium, ale bardzo ważną dla niego znajomość z Pamelą.

Nagle uświadomił sobie, że wcale się nie zmienił, wcale nie stał się skruszonym grzesznikiem. Z całą pewnością kielkowała w nim myśl, która nigdy nie powinna nawet powstać w głowie rzeczywiście przeobrażonego, pokojowo nastawionego człowieka. Przekonanie, że porzucając swego najwierniejszego sojusznika, któremu równego nigdy już mieć nie będzie, właściwie wcale nie wyrzekł się przemocy, ale popełnił największe szaleństwo w życiu.

Crofts wcale nie opłakiwał w tym momencie sierżanta Hermanna Boschego. Postawiony w obliczu nieuchronności jakiegoś nowego, choć wciąż jeszcze niewiadomego zagrożenia, bezwstydnie żałował ofiary, jaką złożył z najwierniejszego towarzysza broni.

Zwanego berettą M 951.

# Rozdział IV

380 SL połykał biegnącą na północ wstęgę szosy z zadowolonym pomrukiem silnika. Był to jeden z luksusowych zakupów dokonanych po powrocie do Wielkiej Brytanii, którego Crofts nigdy nie żałował - sportowy mercedes w kolorze starego złota, ze zdejmowanym metalowym dachem, o szlachetnym, rasowym wyglądzie. Nigdy przedtem nie miał własnego samochodu. Większość jego dotychczasowych środków transportu wykonana była z pokrytej kamuflażem grubej stali, miała szczeliny obserwacyjne w miejsce przedniej szyby i karabiny maszynowe zamiast ostrzegawczego klaksonu.

Ale samochód nie cieszył go tak jak powinien w ten ciepły, wiosenny dzień. Nawet zasnuwane błękitną mgłą łagodne szczyty Trossachs, które mógł dostrzec z obwodnicy pod Glasgow, nie kryły w sobie ani odrobiny czaru. Piętrzące się wspaniałe zbocza położonych bardziej na północ Grampians dostarczyły mu jedynie ulotnej radości ze zbliżającego się końca podróży. Crofts bowiem był sam, podczas gdy powinien podróżować z Pamelą... I spieszył ze wszystkich sił na spotkanie kolejnego gwałtownego wydarzenia, zamiast przyzwyczajając się do roli nawróconego grzesznika, spokojnego człowieka roztaczającego wokół siebie jedynie miłość i zgodę.

Harleyowie musieli znajdować się pod jakąś presją.

W przeciwnym razie nie przyjechaliby do Szkocji nie powiadamiając go o tym. Wszyscy troje byli ze sobą zbyt blisko, musiał więc istnieć tylko jeden powód tego braku wiadomości. Eric był albo zbyt dumny, by się przyznać, albo obawiał się o bezpieczeństwo Croftsa i nie chciał pakować go w coś, co zagrażało jemu samemu.

A może w końcu się dowiedział? O nim i Laurze? To mogło być wytłumaczenie. Może w jakimś nie kontrolowanym napadzie wściekłości wyrzuciła z siebie prawdę o tym, co zaszło między nią a dobrym, starym Michaelem Croftsem, człowiekiem, któremu Eric Harley okazywał tak ślepej lojalność - z narażeniem życia włącznie.

Och tak, oczywiście starszy sierżant Mearns również wrócił po niego w czasie masakry w Angoli. Szalony Harry Mearns, żyjący zgodnie z legendą o sobie. Ale to Harley był oficerem, człowiekiem, który podejmował decyzje, i Crofts nigdy nie zapomniał, że roślinność dżungli, rozmaite błotne stwory i inne koszmarnie istoty mogłyby się teraz żywić czymś więcej niż tylko kośćmi Hermanna Boschego, gdyby Harley zostawił go na makabrycznym poboju na szlaku do Chitequeta.

Zacisnął dłonie na kierownicy, gdy przypomniał sobie to wszystko z nieumniejszoną przez upływ czasu pogardą do samego siebie. Jego krótki związek z Laurą był katastrofą w pełnym znaczeniu tego słowa. Łzawa, nieporadna, niewypowiedziana smutna sprawa, która na długie miesiące pogrążyła ich w poczuciu winy. Eric pozostał w Rodezji polując wraz z całym oddziałem na terrorystów z ZAPU, podczas gdy postrzelonego ze śrutowej strzelby Croftsa przewieziono samolotem do Jo'burga.

Już zdawano sobie sprawę z nieuchronnie zbliżającej się chwili ogłoszenia niepodległości Zimbabwe i w szpitalach w Salisbury niechętnie widziano kłopotliwych rannych najemników. Laura go odwiedziła - dobry Boże, w końcu znali się przecież od lat. No a po wypisaniu go ze szpitala stało się - bez żadnych uprzednich planów. Po prostu były ich spocone ciała podczas kolejnych rozpaczliwych nocy, przedzielanych coraz bardziej wypełnionymi nieszczęściem dniami.

Crofts z wściekłością wcisnął pedał gazu i mercedes z pomrukiem przekroczył osiemdziesiątkę, dziewięćdziesiątkę... Z prędkością ponad stu mil na godzinę wjechał w pierwszą wąską drogę w górskiej dolinie, warknął wściekle: - Głupi skurwysyn! - i zdjął nogę z gazu. Przez krótką chwilę czuł pokusę, żeby pójść na łatwiznę - przekonać samego siebie, że powodem milczenia była istotnie wrogość Erica. W tym przypadku mógłby ze spokojnym sumieniem wrócić do Londynu, do Pameli, i schować głowę w piasek.

Ale nie mógł tego zrobić i dobrze o tym wiedział. Bo wciąż nie tłumaczyło to przenosin Harleyów do Szkocji. I taki właśnie był prawdziwy motyw podróży Croftsa - udzielić im wsparcia w ewentualnej potrzebie. Odegrać rolę człowieka bez honoru, który płaci dług honorowy.

I spłaci go. Na Boga, zrobi to. Nawet jeżeli będzie musiał Ericowi Harleyowi wbić to pięścią w jego uparty łeb.

Zmusił się do pomyślenia o czymś innym. Ale nie o Pameli - żal mu ścisnął serce, gdy wyobraził sobie, co mógłby z nią robić w tej właśnie chwili.

Cholerny Simpson! Zaczął zastanawiać się nad komandorem Simpsonem i wczorajszym pechem, który ponownie zetknął ich na krótko ze sobą. Kiedy pożegnał się ze swoim współbiedziakiem przed Selfridges, bardzo wyraźnie dostrzegł kontrast między Simpsonem z Mekongu, sprzed ośmiu lat, i obecnym, raczej bezbarwnym „miejskim” Simpsonem. Gdyby mijali się na zatłoczonej ulicy, nigdy by nie rozpoznał w tym ulotnym cieniu z przeszłości człowieka, z którym kiedyś zetknął się głęboką nocą w samym środku wietnamskiej wojny.

Chociaż w czasie tego pierwszego, niemal już zapomnianego spotkania, cholernie ucieszył się na jego widok...

Wciąż niemal namacalnie czuł pełne napięcia podniecenie tego odwrotu w Wietnamie... 04.00 czasu sajgońskiego, delta Mekongu - grząska, nieprzebyta topiel czarnego płynnego błota, półkole przykucniętych w napięciu, wstrzymujących oddech żołnierzy, ich obrócone w stronę dżungli pokryte maskującymi pasami twarze nad mdło połyskującą, przygotowywaną nerwowo do strzału bronią. Nienaturalna cisza przerywana jedynie od czasu do czasu ptasim krzykiem. Ale krzyczały nie ptaki, to były sygnały Vietcongu. I wszyscy w najwyższym napięciu wsłuchiwali się w uspokajający szept Harleya do mikrofonu:

- Autobus, Autobus, tu Turysta. Czy mnie słyszysz? Odbiór!

Chwila ogromnego napięcia, ciągle potrzaskiwanie w pustym eterze, a potem wymodlona lakoniczna odpowiedź:

- Turysta, tu Autobus. Natychmiast wskazać punkt spotkania!

Dwa błyski z ich osłoniętej zielonej latarki i w odpowiedzi czerwona iskierka zapalająca się na krótko na ciemnej rzece... długi dziób sampana materializujący się w ciemności, posuwający się w rytm zanurzanych z cichym chlupotem wiosł, dwaj kaemiści leżący z bronią skierowaną na prawą i lewą burtę, rzeczowy, bardzo angielski w tonie głos dobiegający cicho od strony rufy:

- Dzień dobry, džentelmeni. Czy ktoś ma ochotę na przejażdżkę łódką?

...i wtedy ta cholerna rakietka oświetlająca! Rozjarzony księżyc wiszący nad nimi na

spadochronie, przeraźliwie biały i syczący. Vietcong natychmiast otwiera ogień - strzelają do każdego poruszającego się, pojawiającego i niknącego cienia. Prawie natychmiast starszy sierżant Mearns beztrąsko podnosi się, staje na szeroko rozstawionych nogach i mrucząc coś pogardliwie pod adresem pozostałych wali z biodra ze swojego M 16. Schmeisser Boschego terkocze gwałtownie do wtóru - Hermann pozostał zawsze wierny swojemu staremu „SS-special”, jak Crofts swojej beretcie... A potem dołączają pozostali przekształcając dżunglę w pełen gwizdzących, rykoszetujących pocisków dom wariatów. Wszyscy byli świadomi, że Vietcong ma zbyt wielu ludzi, których może spisać na straty, i załatwi ich bez trudu, jeżeli zaczną wycofywać się do łodzi bez osłony ogniowej.

Znowu to, co zawsze - pieprzony bajzel! Wszelkie możliwe niepowodzenia, wpadka jedna po drugiej. Przeznaczone na odstrzał VIP-y najwyraźniej zwiały, zanim zdążyli zaatakować. Zupełnie jakby Vietcong umiał odgadywać ich plany. Cholerny, całkowity niewypał od początku do końca. A teraz jeszcze to.

Nagle z rufy sampana padł suchy, nieoczekiwany rozkaz. „Ognia, ognia!” - i nie do wiary, cała ta groteskowa łódź wybuchła dymem i płomieniami, którym towarzyszyły łupnięcia ukrytych moździerzy i jazgot umieszczonych na dziobie cekaemów.

Jezu, to już nie był normalny defensywny ogień, ale salwa całą burtą! Wysłali po nich nie jakiś dyskretny mały sampanik, ale cholerny miniaturowy okręt liniowy.

Wtedy to właśnie Crofts po raz pierwszy zobaczył Simpsona we własnej osobie, oświetlanego na przemian trupio bladym światłem rakiety i krwistoczerwonymi rozbłyskami płomieni wylotowych. W tym zmiennym świetle wyglądał zupełnie jak pirat-zawadiaka, w chuście zawiązanej na szyi i wielkim stożkowatym kapeluszu wietnamskiego chłopca, zupełnie niezwracający uwagi na całą tę piekielną kakofonię. Jedyne znakiem, że jest reprezentantem jakiegokolwiek marynarki wojennej, była całkowicie nielegalna flaga bojowa Royal Navy powiewająca wyzywająco na bambusowym drągu na rufie.

Crofts sięgnął desperacko do przodu, aby pomóc wejść do łodzi szeregowcowi Stephanakisowi, uginającemu się pod ciężarem polowej radiostacji... ale w tej samej chwili pocisk świetlny wszedł w tył hełmu Stephanakisa i podążając dalej wyrzucił na zewnątrz większość zawartości jego czaszki. Widząc to Crofts pozwolił biedakowi zsunąć się pod połyskującą oleisticie powierzchnię wody i sam wspiął się do łodzi.

Podwójne przyczepne silniki łodzi zbudziły się do życia z rykiem, który po chwili przeszedł w zaniepokojony pomruk, ale jej niesamowity sternik wciąż bez pośpiechu wyglądał za burtę marszcząc brwi.

- Jak widzę, nie zabieracie ze sobą swoich poległych, co, stary?

- Tak jest! - warknął major najemników Michael Crofts, gdy na pokładzie między nimi pojawiła się nowa linia otworów po pociskach. - Lepiej spieprzajmy stąd!

- Cóż za cholerny sposób rozpoczynania dnia - zauważył filozoficznie komandor porucznik Edward Simpson z Royal Navy, zanim wreszcie włączył kopniakiem wsteczny bieg swej zwariowanej łodzi. Potem poklepał zakrwawioną ławkę obok siebie gestem niezmiernie gościnności.

- Drogi chłopie, en voyage moja mesa oficerska jest całkowicie do pańskiej dyspozycji...

I mimo to, osiem lat później, ten sam Simpson był tylko zaledwie przelotnym znajomym, prawdę mówiąc nudnym i bezbarwnym jak cholera. Crofts pędząc swym 380 SL dalej na północ nie mógł powstrzymać się od rozważań, jak przeciętnym człowiekiem stał się Simpson. Trochę go te myśli

przerażały, odnosił bowiem wrażenie, że sam również ku temu zmierza.

Zanim wyjechał z Londynu, zajrzał do książki telefonicznej obszaru Szkocji i przekonał się, że istotnie Eric Harley mieszka na farmie Den of Tarvit w Auchenzie, Argyllshire. Teraz, gdy mercedes jechał przez wioskę, Crofts coraz bardziej dochodził do wniosku, że Harleyowie rzeczywiście musieli się przed kimś ukrywać. O Boże, ależ tu ponuro - ponuro, nieciekawie i zupełnie bez żadnego charakteru. Była to długa szara ulica z niczym nieróżniącymi się od siebie szarymi domami i tylko wspaniałe zbocza otaczających wioskę szkockich gór jakoś łagodziły ten koszmar. To całe Auchenzie zupełnie nie przypominało tętniącej życiem społeczności - bez względu na to, jakie umiejętności i rzemiosła utrzymywały kiedyś ten rejon, dawno już musiały zaniknąć. Wyglądało na to, że nadzieja również umarła, pozostawiając jedynie rozsypujący się w proch, pełen rozgoryczenia skrawek dawnej przemysłowej Szkocji.

Minął rozpadający się garaż z jedną pompą benzynową na wyszczerbionym podejździe. Obok niego znajdował się sklepik ze szkockimi wyrobami ludowymi i tweedem, dzielnie próbujący dodać nieco kolorów monochromatycznej palecie barw Auchenzie. Potem był dom towarowy, niewielka kawiarnia, dość zadbane blok dwóch domków z niebieską tabliczką POLICJA w ogródku od frontu, niegdyś pomalowany na biało hotel z farbą odpadającą po zimowych mrozach i dwiema wyblakłymi gwiazdami oznaczającymi jego standard. Dalej znajdował się sklep ze sprzętem myśliwskim i wędkarskim, który wyglądał tak, jakby jego właściciel wyłapał i wystrzelał wszystko, co pływało lub biegało, a później zamknął interes i wyemigrował. I wreszcie agencja pocztowa. To wszystko, nie licząc ponurych domów z tarasami, składało się na ogólny widok miasta Auchenzie.

Kobieta o imponujących kształtach i zaróżowionych policzkach cofała się od stopni urzędu pocztowego ciągnąc za sobą wózek. Ponieważ Crofts nie mógł dostrzec innego źródła informacji, zatrzymał mercedesa obok niej i wychylił się z wozu.

- Przepraszam, czy mogłaby pani wskazać mi drogę na farmę Den of Tandt?

Odwróciła się, obrzuciła wzrokiem samochód, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet na jotę. Ciągle widniała na niej pełna podniecenia niechęć do dzieci, schodków urzędów pocztowych oraz złożonych problemów zaopatrzeniowych dotyczących jej rodziny - i to w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Widzisz pan, jakie tyn rzund daje zasiłki rodzinne na dzieciaki? - zapytała oskarżycielskim tonem. - Nie uważałbyś pan, że to pora, by starali się nadażyć za ich inflacją?

Crofts zmarszczył brwi i zaczął rozważać tę sprawę. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad inflacją dzieci.

- Zapewne. Nie sądzę, żeby przy dzisiejszych cenach było to bardzo dużo.

- To zupełnie cholerny skandal - warknęła kobieta i zaczęła upychać kołderkę wokół dziecka przypominającymi śmiertcionośne ciosy karate pchnięciami palców. Crofts miał nadzieję, że nie chybi i tym samym przynajmniej częściowo nie rozwiąże za jednym zamachem problemu zasiłku na dzieci.

- A... farma? - przypomniał jej niepewnie. - Den of Tarvit, jak wynika z książki telefonicznej.

- To nie żadna farma - zawyrokowała przerażająca dama. - To tylko skrawki ziemi i torfowiska. I zaszmondruwane to wszystko okropnie.

- Mimo to chciałbym tam dojechać - powiedział niemal błagalnym głosem, w którym pobrzmiwał pewien lęk przed nieoczekiwaną przeciwniczką.

- Pół mili dalej tą drogą. Skręć pan w lewo i jedź pan kole starego kamieniołomu jakie dwie mile. To droga na brzegu i znajdziesz pan te farmę, chyba że pan zamiast tego pojedziesz prosto w



morze.

- Bardzo pani dziękuję - powiedział Crofts pospiesznie i ruszył wolno do przodu.

Ale kobieta władczo zacisnęła dłoń na framudze drzwi, więc wdepnął hamulec w obawie, że wyrwie ją z korzeniami. Nie miał na myśli ręki tej niesamowitej kobiety. Martwił się o karoserię mercedesa.

- Jezdeś pan z Anglii? - zapytała podejrzliwie.

- No... tak - przyznał ostrożnie. - Czy to ma jakieś znaczenie?

- Może nie - rzuciła przez wydeptę z dezaprobatą wargi. - Może pana wpuszczom, kiedy zobaczom, że jezdeś pan jeden z nich i jedziesz pan takom szykowom taksówkom.

Crofts uniósł brwi. Poczul się wyraźnie zaintrygowany, mimo przemożnej chęci ucieczki.

- Chce pani powiedzieć, że tam niechętnie widzą odwiedzających?

- One grozili mojemu Timowi strzelbom, ot co! I powiedzieli mu, żeby trzymał się z daleka, bo inaczej wsadzom go za kłusowanie - a on chciał tylko króla albo dwa, żeby pomóc rodzinie.

- Oni? Pan i pani Harley tak powiedzieli?

- Nie ta paniusia. To je dość miła, ładna kobitka... ale tego Harleya to tu nie lubiejom. Ani tego, którego on nazywa swoim karbowym.

- Karbowym...? - zapytał niepewnie Crofts.

- No ta, jezdeś pan Anglik, to pewne - stwierdziła, kobieta z bezbrzezną pogardą, puściła mercedesa i schwyciła rączkę wózka, jakby miała zamiar ruszyć nim do ataku. - To ten pański angielski rzund to robi, co? Nie daje zasiłku rodzinnego dla dobrych szkockich dzieciaków...

Jechał pełnym gazem do samego zakrętu i dopiero tam ośmielił się zwolnić. Bez względu na to, jaka groźba zawisała nad Erikiem Harleyem, niewątpliwie stanowiła ona zaledwie blady cień Groźnej Matki z Auchenzie. Po raz pierwszy od spotkania Simpsona w Londynie Crofts uśmiechnął się.

To było jednak godne uwagi. Historia jej Tima i strzelby. Ale kim, u diabła, był ten „karbowy”?

Zobaczył ją wjeżdżając ostrożnie przez bramę na podwórze. Był wdzięczny losowi, że teutońska mechanika i zawieszona wytrzymała jazdę po drodze, która wystawiłaby na próbę nawet odporność półgąsienicowego transportera opancerzonego.

Rozwieszała pranie na sznurku przeciągniętym od domu do pnia zniszczonego burzami drzewa. Kilka strapionych kur dziobało ponuro wokół stodoły z zapadniętym dachem, a staroświecki traktor John Deere rdzewiał spokojnie za Pozostałościami rowu melioracyjnego.

Zanim jeszcze odwróciła się do niego, mógł spostrzec, że sprawia wrażenie zmęczonej i równie bezbarwnej jak jej otoczenie. Wszelkie jego poprzednie wątpliwości zostały natychmiast całkowicie rozwiane - bez względu na to, jakie powody skłoniły ich do zamieszkania w takich warunkach, na pewno nie wynikały one z wyboru dokonanego przez Laurę Harley.

Wysiadł z samochodu i podszedł do niej od tyłu. Podniosła zapinkę do bielizny i zawołała:

- Zaraz do pana przyjdę, panie McKay. Potrzebujemy dziś tylko mielonego i może jeszcze ładny kawałek wieprzowiny.

- Halo, Lauro - odezwał się Crofts. Zamarła z jedną ręką uniesioną w stronę sznurka. Ale drżenie w jej głosie było tylko ledwo słyszalne:

- Myślałam... że to pan McKay, rzeźnik.

- Przykro mi - uśmiechnął się łagodnie. - Chociaż gdy się zjawi, może mogłabyś zamówić trochę więcej. Będiesz miała teraz gościa na obiedzie.

Wtedy odwróciła się i poczul dawną przyjemność widząc, że jej ruchy są równie energiczne jak

kiedyś. Mimo zmarszczek wokół oczu była wciąż interesującą kobietą. Nawet w wypłowiałych dżinsach i grubym swetrze z szetlandzkiej wełny. W tej koszmarnej atmosferze zapuszczonej wiejskiej zagrody żona Erica - i jego dawna nieszczęsna miłość - wyglądała równie ponętnie jak dawniej.

- Mikę - szepnęła. - Och, Mikę!

Kiedy objęła go, przytulając się z całej siły, i zaczęła płakać, z przyjemnością odsunął od siebie to, co w ciągu ostatnich godzin stanowiło jedną z jego największych obaw - że Laura Harley rzeczywiście mogła wyznać Ericowi ich dawno już pogrzebany skandaliczny romans. Wykopałoby to między nimi przepaść, której żadne łyzy nigdy nie byłyby w stanie zlikwidować.

Ale żadnej przepaści nie było. I przynajmniej za to Crofts był bardzo wdzięczny losowi.

- Eric wkrótce wróci - oznajmiła Laura między pociągnięciami nosem i wycieraniem oczu.

Zaparzyła kawę dla nich obojga i teraz czekali w ciepłej i zadziwiająco przyjemnej kuchni domu na farmie. Rozmawiali, od czasu do czasu dotykając swoich dłoni, jakby dla upewnienia się nawzajem, że wciąż pozostają przyjaciółmi. Ale niczym więcej - oboje zdawali sobie sprawę, że tamto już nie wróci. Nigdy więcej.

Była jednak między nimi jakaś niemal niewyczuwalna ostrożność, Crofts bowiem unikał stawiania oczywistych pytań, a Laura ani nie zachęcała go, by je postawił, ani sama nie podejmowała tematu. Widząc to niemal manifestacyjne przemilczenie, coraz bardziej dochodził do wniosku, że Laura coś przed nim ukrywa.

Nie mogło być tak dłużej. Położył dłoń na jej rękach i popatrzył w oczy.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czemu tu zamieszkaliście?

Nie odwróciła wzroku. Jakby spodziewała się tego pytania.

- Dlatego, że oboje cię kochamy - odpowiedziała po prostu. Crofts delikatnie ścisnął jej palce.

- Dziękuję. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie, prawda?

- Jak się o nas dowiedziałeś?

Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że Laura próbuje dość niezręcznie zmienić temat.

- Facet o nazwisku Simpson. Spotkał Erica w Glasgow i wspomniął mi o tym.

Zmarszczyła lekko czoło. Najwidoczniej to nazwisko nic jej nie mówiło.

- Taki stary znajomy. Kiedyś byliśmy razem. Krótko i dawno temu... Dlaczego mieszkacie tu oboje, Lauro?

- Czy uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedziała, że się nam tu podoba?

- Nie! To przecież dziura. I cholernie tu chłodno w zimie.

- Wiem - powiedziała posępnie. - Przetrwaliśmy kawałek jednej z nich.

- Jesteście tu już od dawna? - zapytał z zaskoczeniem!

- Ja nie. Przyjechałam zaledwie przed sześcioma tygodniami. Eric jest od końca listopada.

- Ale dlaczego? - nalegał Crofts. - Po co ta przeprowadzka? Po co ta tajemniczość? Na rany Chrystusa,) przecież Eric wie, że pomógłbym mu, gdyby wpakował się w jakieś kłopoty.

- Wie również, Mikę, że postanowiłeś rzucić... no, tę robotę, którą zajmowaliście się obaj.

- Wynika z tego, że on nie rzucił! Czy to jest powrót jego milczenia, Lauro? Chciał mnie ustrzec przed wplątaniem w tę sprawę? Ustrzec mnie przed samym sobą?

Zaczęła płakać i nagle pojął, jak bardzo napięcie dało się jej we znaki, po zaledwie sześciu tygodniach. Ogarnęła go złość na Erica, że obarczył tym osobę, którą tak głęboko kochał.

- Czy Eric znowu działa jako najemnik i jest do tego stopnia szalony, że próbuje wykręcić jakiś

numer tu, w Szkocji? - nalegał dalej. - A może prześladowuje go jakaś sprawa z przeszłości? Czy mu grożono?

- Nie wiem - załkała. - Mike, nic nie wiem i to mnie właśnie przeraża. On się zmienił. Przyjechaliśmy tu, bo myślałam, że rzeczywiście tego chce, ale od tej pory jest ciągle pod jakąś coraz silniejszą presją. Stał się nerwowy łatwo się irytuje. Odniosłam wrażenie, że czasami nawet się czegoś boi. Ale nigdy nie pozwolił mi, żebym nawiązała z tobą kontakt - nie chciał cię w to mieszać.

Przed domem zatrzymał się samochód i dudnienie dieslowskiego silnika urwało się gwałtownie. Crofts rozpoznał trzask zamykających się drzwi land rovera i Laura szybko zaczęła wycierać łzy.

- Wiesz dobrze, że nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać - powiedział niezgrabnie. - Nie teraz, kiedy już tu jestem.

Tym razem ona uściśnęła jego rękę. Szybko. Ostatni raz zanim wejdzie Eric.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Mike. Wiem, że on potrzebuje pomocy i być może jesteś - jesteśmy mu to winni. Zostań, proszę. Nawet jeżeli będzie cię z tego powodu nienawidzić.

Tym razem jednak Crofts nie odpowiedział, w czasie tych ostatnich chwil oczekiwania na Erica spoglądał bowiem z roztargnieniem na górskie zbocze widoczne za małym kuchennym oknem. A gdy w holu rozległy się znajome kroki, spostrzegł na tle torfiastego brązu dolnej części zbocza krótki, ale łatwy do rozpoznania błysk.

Odblask wiszącego już nisko słońca na wypukłej soczewce. Dla żołnierza taki odbłask był ostrzeżeniem przed odległą obserwacją - lecz może to tylko jakiś ornitolog z aparatem fotograficznym?

Ale jeżeli farma Den of Tarat znajdowała się pod obserwacją, to czy anonimowy obserwator znajdował się tam ze względu na przyjazd Erica Harleya? A może jego...?

# Rozdział V

Eric zatrzymał się gwałtownie w drzwiach i przez długą chwilę patrzyli na siebie w bezruchu. Crofts nie wstał na powitanie - po prostu siedział na swoim miejscu z uśmiechem na ustach i figlarnie uniesioną brwią. Natomiast na twarzy najbardziej nieprawdopodobnego farmera na całym wybrzeżu Argyll odmalowała się mimowolna radość, która, jak to Crofts natychmiast zauważył, ustąpiła rosnącemu zdziwieniu, a nawet wrogości, zanim Ericowi udało się wreszcie odnaleźć jakieś słowa.

- Skąd, u diabła, wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- A dlaczego, u diabła, musiałem dowiadywać się o tym zupełnie przypadkowo? - odparł niezmierny Crofts. - Cześć, Eric. Jestem rad, że cieszy cię mój widok.

- Jezu - rzekł Harley, ruszając wreszcie w jego kierunku. - To wspaniałe, Mikę. Przepraszam! Ale nie jesteśmy przyzwyczajeni do niespodzianek.

Crofts wstał i uściśnął mocno wyciągniętą dłoń.

- Jesteś zupełnie pewny, że do żadnych niespodzianek? - zapytał.! Harley spojrzał mu prosto w oczy.

- Straciłeś już swoją afrykańską opaleniznę, stary - odpowiedział gładko.

- Kawę czy herbatę, kochanie? - spytała Laura jedynie ze śladem zakłopotania w głosie.

I cała trójka zaczęła rozmawiać o minionych sprawach. O Afryce i wspólnych znajomych, o wciąż mglistych planach Croftsa wycofania się z dotychczasowej działalności, o różnych nostalgicznych wspomnieniach. Nie powiedział jednak o Pamelii Trevelyan ani o prawdziwej przyczynie swojej obecności w tym pokoju. Eric zaś ze swojej strony nie poruszył sprawy ich przenosin do Szkocji ani nawet nie zapytał o powód przyjazdu Croftsa. Wszystko było tak okropnie eleganckie i tak w niczym nie przypominało dawnych czasów, że poczuł nieomal ulgę, gdy Harley przeciągnął się i wstał z krzesła.

- Cholernie się cieszę, że cię znowu widzę, Mikę. Słowo daję. Słuchaj, muszę pojechać do wioski po to i owo. Może pojechałbyś ze mną? Rzuciłbyś po drodze okiem na nasze włości, a potem wrócilibyśmy na obiad, żebyś coś zjadł przed dalszą podróżą.

- Eric! - zawołała Laura z mimowolnym oburzeniem. Crofts uśmiechnął się.

- Wspaniale. Z tą tylko różnicą, że nigdzie się nie wybieram. Przyjechałem tu specjalnie, żeby zobaczyć się z wami.

Na twarzy Erica pojawił się wyraz napięcia i tym razem nie ukrywał swojego niepokoju:

- Po jaką cholere?

- Dwadzieścia parszywych lat taplania się w błocie u twego boku, kolego majorze. Poza tym kocham twoją żonę niemal tak bardzo jak ciebie... a w ogóle właściwie dlaczego by nie? Może mnie też kiedyś przyjdzie do głowy zostać farmerem.

- Wszystko to gówno prawda! - mruknął Eric w swoim dawnym stylu.

- Tak, zupełnie się zgadzam - odparł Crofts znacząco. Harley jakby zbity z tropu przesunął dłonią po włosach i zrobił zakłopotaną minę.

- Cóż... no wiesz, to nie najlepsza pora, stary. Muszę siać, naprawić ogrodzenia...

- Mów do mnie jeszcze! Myślałby kto, ogrodzenia... Dodaj jeszcze parę innych drobnych przeróbek budowlanych - takich jak wymiana dachów i naprawa dróg.

- Nie mamy wolnych łóżek. Nawet chłopaków lokujemy...

- Chłopaków...?

- Pracowników farmy. Zakwaterowaliśmy ich w pubie, w Auchenzie do czasu, kiedy zostaną wyremontowane stare domki dla personelu.

- A więc jesteś o wiele bogatszy, niż na to zasługujesz - warknął Crofts poirytowany mimo woli.

- Poza tym czy nie powinieneś raczej powiedzieć: „Kiedy stare domki dla personelu zaczną być remontowane”? Jeżeli miałeś na myśli te, które mijałem jadąc do was, to od lat nie tknęła ich ręka robotnika!

- PRZESTAŃCIE! - nie wytrzymała w końcu Laura. - Uspokójcie się obaj! Mamy wolne łóżko i dobrze o tym wiesz, Eric. I jest niewykorzystane tylko dlatego, że nie chcę mieszkać pod jednym dachem z tymi... tymi ludźmi, których zatrudniasz.

- Równie dobrze mogę zamieszkać w pubie razem z nimi - dodał niezmiyszany Crofts. - I przez parę dni pracować jak irlandzki robot, żeby wam pomóc.

- To nie jest konieczne, dziękujemy - rzekł Eric z zimną stanowczością. Crofts filozoficznie wzruszył ramionami.

- OK! No to będę siedział wam na karku jak pijawka. Nocleg i śniadania w Hiltonie w Auchenzie, a Laura może mi gotować obiady.

- Zostaniesz tutaj, Mike, i to moje ostatnie słowo! - oznajmiła Laura rzucając wyzywające spojrzenie na męża. - Przepraszam. Nie wiem, co go napadło.

Harley sięgnął po płaszcz, a potem wcisnął na głowę stary wojskowy beret.

- Poczekam na ciebie w roverze - warknął z goryczą. - A moja żona w tym czasie przeprosi cię w moim imieniu.

Crofts odczekał, aż za Erikiem zatrzasną się drzwi, a potem delikatnie pocałował Laurę w policzek.

Masz rację. Jest ciężko przerażony. [Przywarła do niego na długą, pozbawioną radości chwilę. Ja też. Zostaniesz, Mike, prawda? I dowiesz się, o co chodzi.

Uśmiechnął się z pewnością siebie, której wcale nie czuł. - Żeby mnie powstrzymać, musiałaby mnie pani zabić, pani Harley.

(Nie był jednak wcale tak pewny siebie, jak mogłoby to wyglądać. Zwłaszcza że nie miał już przy sobie nawet pistoletu. I ponieważ wychodząc z budynku farmy ponownie zobaczył błysk szkieł lornetki na zboczu góry.

Eric zapuścił już silnik land rovera, gdy Crofts wsiadł do samochodu i rzucił niedbale:

- Ruszajcie, MacDuffie!

- Już, już... - mruknął zmieszany Harley. Crofts uśmiechnął się.

- Pamiętaj ostatni raz - w Angoli? Wtedy o wiele bardziej zależało ci, żebym wczółgał się do jeepa, i nigdy nie przestanę dziękować za to mojej szczęśliwej gwiazdzie, kolego.

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, dlaczego jeszcze raz przywołał ten koszmar. Znowu ujrzał widmową, zmęczoną twarz Hermanna Boschego patrzącą na niego przez chwilę z tablicy

rozdzielczej land rovera i nagle jego sztuczna wesołość zniknęła.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Crofts nie potrzebował wiele czasu, aby spostrzec, że w czasie dzierżawy arlewa na farmie Den of Tarvit prowadzono bardzo mało prac czy to konserwacyjnych, czy też rolniczych. Dawało to dużo do myślenia. Eric twierdził, że tylko wydzierżawił tę posiadłość. Wyjaśniało to, jak sobie poradził nie dysponując żadnym kapitałem, ale jednocześnie podkreślało nielogiczność faktu, że nie dążył wcale do zwiększenia dochodu, z zakłopotaniem zaczął kręcić się za kierownicą. Och, słuchaj, wiem, że powinienem napisać. Oczywiście miałem ten zamiar, Mike. Ale powiedz mi, tylko żeby zaspokoić moją ciekawość. Jak... hmm... jak dowiedziałeś się że tu jesteśmy?

- Powiedział mi Simpson. Pamiętasz go?

- Simpson?

Crofts zmarszczył czoło i popatrzył na swego towarzysza. Zdziwienie Erica Harleya sprawiało wrażenie nieco przesadzonego.

- Tak, Simpson - potwierdził. - Wietnamski Simpson, ten zwariowany matros, który ewakuował nas po operacji w delcie Mekongu. Powiedział mi, że spotkał Cię w Glasgow parę tygodni temu i...

- Wiem, który Simpson! - odpowiedział z rozdrażnieniem Eric, a potem wzruszył ramionami. - Po prostu jestem trochę zdziwiony. A poza tym to wygląda na cholerny zbieg okoliczności, że wpadł na nas obu prawie jednocześnie!

- Możesz się uspokoić. To ja poznałem Simpsona Gdybym go nie zaczepił, nawet by mnie nie zauważył.

Byli już bardzo blisko miejsca, w którym droga biegła skrajem urwiska, kiedy wreszcie Eric odezwał się ponownie tym razem serdeczniej, niemal tak jak dawniej:

- W porządku, Mike. Ale przecież nie składasz mi wizyty towarzyskiej - dlaczego więc tu przyjechałeś? Crofts spojrzał na niego beznamytnie.

- Czy to nie ja powinienem cię o to zapytać? Nie ty wcale nie jesteś rozgoryczonym oraczem, przyjacielu. Wiesz to dobrze, i ja też. Do diabła, człowieku, zawsze byłeś w swoim żywiole robiąc plan pola ostrzału. Czy ukrywasz się przed czymś w tej cholernej dzicy, Eric? Czy coś ci grozi?

Harley nie od razu odpowiedział, tylko zjechał landroverem na pobocze i zatrzymał się, ze zmarszczonymi brwiami patrząc na drogę przed sobą. Tutaj, sto stóp nad powierzchnią morza, było bardzo cicho i tylko delikatny szum fal rozbijających się na skałach u stóp urwiska, krzyki morskich ptaków i odległy warkot traktora zakłócało milczenie szkockich gór. Crofts siedział cierpliwie i czekał aż jego przyjaciel się odezwie. Patrzył w dół nad krawędzią zbocza na miejsce, w którym fale przez wieki wypłukały długą wąską szczelinę i gdzie jakiś niezbyt starożytny Szkot wykorzystał naturalną osłonę i wybudował falochron odgradzając częściowo wejście od strony morza tak, by powstał maleńki port. Ale obecnie morze odzyskiwało utracony teren, o czym świadczyły nieregularne pozapadane granitowe bloki.

W końcu Harley odwrócił się i spojrzał na niego.

- Odjedź, Mike - powiedział cicho. - Po prostu wróć do Londynu i zapomnij o Auchenzie. Crofts popatrzył na niego spokojnie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu! Przepraszam.

- Ale dlaczego?

Eric z gniewem wyrznął pięścią w oparcie fotela.

- Jezu Chryste! Dobra, Mike, próbowałem tego uniknąć - ale być może to właśnie ty stanowisz dla mnie zagrożenie. Może to ja chcę zerwać z przeszłością, z wszystkim, co mnie wiązało z dawnymi czasami. Trzymać się z daleka od wszystkich i wszystkiego, co dotyczy przeszłości, być może dotyczy to również niejakiego majora Croftsa, który może wrócił, a może NIE WRÓCIŁ na drogę cnoty!

- To możliwe, ale czy to prawda?

Crofts patrzył spokojnie przez dłuższą chwilę na Erica.

Wreszcie spojrzenie jego przyjaciela przestało być tak wyzywające i Harley spuścił wzrok. Wtedy Crofts trącił go delikatnie w ramię i sięgnął do klamki.

Przespacerujmy się kawałek, co? Porzucamy kamienie do wody, złapiemy parę krabów między skałami. Jestem tu na parę dni, mniejsza o to, czy jako proszony gość, czy nie, więc postaraj się mi dogadzać, Eric. Nazwij to łabędzią pieśnią żołnierza, jeśli masz ochotę, pożegnaniem bardzo długiej przyjaźni.

- Zupełnie się nie zmieniłeś - rzekł Harley. - Ciągłe jesteś upartym sukinsynem, prawda? To wcale nie zabrzmiało ostro, kryła się w tych słowach czułość. A także jakiś trudny do określenia smutek.

Mimo protestów Erica, że nie mają właściwie niczego do obgadania, ostatecznie zeszli po rozpadających się stopniach do niewielkiej zatoczki. Crofts rzucił kilka kamieni do wody i rozejrzał się wokół. Był to bardzo malowniczy port - fragment dawnej pięknej Szkocji, który jednak, podobnie jak Auchzie, padł ofiarą postępu.

Ale swego czasu port ten spełniał jednak pożyteczną rolę. Na szczycie urwiska znajdowało się coś w rodzaju prymitywnego wyciągu, teraz rdzewiejący żelazny szkielet wyglądający ponuro na morze, a na samym nabrzeżu również stary ręczny dźwig wciąż wskazywał rozsypującym ramieniem w niebo. Crofts zastanawiał się, jaki to przemysł wymagał tak wiktoriańskiej technologii w tej wiejskiej okolicy.

- Stare kamieniołomy - wyjaśnił Eric mimochodem. - Jak sądzę, swego czasu przewozili morzem bardzo dużo kamienia do budowy tych dużych domów w Glasgow. Transportowali kamień na wozach konnych do górnej platformy przeładunkowej, potem opuszczali zrobione bloki na nabrzeże, gdzie ładowano je na parowce, które przyływały tu z Clyde.

Crofts zaczął iść ostrożnie, starając się nie ześlizgnąć między zapadnięte krawędzie kamieni, z których zbudowano pirs. Wokół widniały sterty wysuszonych wodorostów przypominając o niedawnych zimowych sztormach. Z roztargnieniem podniósł jedno pasmo morszczyzny i idąc dalej rozgniał jedno gniazdo nasienne po drugim, jak robił to w dzieciństwie na wakacjach, w tak odległych, że niemal zapomnianych czasach.

Z plaży dobiegł go głos Erica. Od chwili, gdy tylko zeszli na dół, Harley zachowywał się, jakby siedział na rozżarzonych węglach.

Wciąż namawiał, aby nie szli dalej.

- Nie idź tam - ostrzegł Croftsa ostrym tonem. Tylko tego by mi brakowało, żebyś złamał nogę w kostce. Chodź już, Mike! Chciałbym znaleźć się w wiosce przed zamknięciem sklepu.

Crofts zatrzymał się, długo zapalał papierosa i przyglądał się staremu dźwigowi.

Chodźże! - ponownie zawołał Harley, tym razem bardziej natarczywie. Crofts odwrócił się i niechący upuścił paczkę papierosów, która upadła koło jednego z zardzewiałych pierścieni cumowniczych. Pochylił się, aby ją podnieść. - Śliczny porcik - stwierdził wracając do Erica. - Czy

kamieniołomy ciągle są czynne? Eric skierował się w stronę schodów, wyraźnie chcąc jak najszybciej stąd odejść.

- Od dawna nie. Tutejsi ludzie mówią, że zamknięto je przed pierwszą wojną światową. Ta zatoka to już dawno miniona historia.

- I nigdy już jej nie używano? Nawet miejscowe jachty?

- To własność prywatna - odparł sucho Harley. - Nie popieram niedzielnych żeglarzy. A poza tym wejście do portu jest cholernie niebezpieczne, jeżeli nie zna się miejscowych warunków. Znaki nawigacyjne, które wyznaczały podejścia dla parowców, dawno już przestały istnieć, a ja jestem zbyt zajęty, żeby ustawiać je dla turystów.

- Być może będziesz musiał pewnego dnia. Kiedy sam będziesz mógł sobie zafundować własny luksusowy jacht - Stwierdził Crofts idąc za swym niechętnym przewodnikiem. - Wiesz co, stary? Nie mam ochoty siedzieć znowu w samochodzie. Wskaż mi drogę powrotną na farmę, kiedy będziesz załatwiać swoje sprawy, rozprostuję nogi wracając na piechotę.

- Jak sobie życzysz. - Eric wzruszył ramionami. Najwyraźniej był zły, że zmarnował już tyle czasu. Potem wykrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu, jakby przepraszając za swą szorstkość. - Popatrz - powiedział z zakłopotaniem, wskazując w głąb łądu. - Ta góra nazywa się Ben Muilhadder, jest do niej jakieś dwa tysiące metrów w linii Prostej. U jej stóp znajduje się główna droga na północ, która biegnie równoległe do tego wybrzeża. Będę nią wracał do Auchenzie, przespaceruj się do niej, to cię stamtąd zabiorę, powiedzmy za godzinę, co?

Crofts spojrział na zegarek i zasalutował dziarsko.

- Tak jest! Punkt spotkania główna droga, osiem trzydzieści.

- Daj spokój, stary - jestem teraz farmerem - uśmiechnął się Eric i zatrzasnął drzwi rovera. Zanim jednak odjechał, wychylił się i wskazał kciukiem w stronę portu: - Ale nie wracaj w pojedynkę na dół, majorze, rozkaz!

- A ty daj sobie spokój z rozkazami, jestem cywilem - odciął się Crofts wesoło. - nie pójde. Widziałem już tam wszystko, co można było zobaczyć.

Odczekał, aż landrover zniknie z pola widzenia a potem podszedł do szacownego starego wyciągu wznoszącego się wysoko nad niewielką zatoczką i obejrzał go starannie. Jego mechanizm był wyjątkowo dobrze zachowany pod warstwą odpadającej łuskami rdzy, wielokrażki, które dawniej służyły do opuszczania kamiennych bloków, już dawno temu zostały zdjęte albo rozsypały się w pył.

Nie podjął ponownej próby zejścia na dół na molo, nie musiał wcale łamać przyrzeczenia danego Ericowi - oczywiście widział już wszystko co trzeba. Teraz przydało się jedynie parę wyjaśnień.

Na przykład dlaczego, jeśli zgodnie ze słowami Erica żaden statek nie korzystał obecnie z małego portu farmy Den of Tandt, wewnętrzna powierzchnia zardzewiałych pierścieni cumowniczych była wytarta do połysku!

Zupełnie jakby cumy kołyszącego się przy nabrzeżu statku całkiem niedawno starły z nich patynę lat. Jeszcze bardziej zastanawiające było to, jakim cudem - skoro ostatni pracownik kamieniołomów musiał opuścić Auchenzie na długo przed przyjściem na świat Croftsa i Harleya - stary ręczny dźwig na główce pirsu zachował ślady świeżego smaru na wszystkich ruchomych częściach?

Interesująca była również nowiutka lina dźwigowa. Wymieniona tak niedawno, że nawet guano niezliczonego morskiego ptactwa kołującego w górze nie zdążyło pokryć jej zwojów.

Gdy szedł na przelaj w stronę podnóża Quilhadder, był cudowny wiosenny wieczór z ledwo



wyczuwalnym górskim lodem w powietrzu. Nie licząc rzadko rozsianych, połyskujących pod butami skrawków torfowiska, teren był płaski, a w kępach sztywnej trawy i ostu rozlegało się echem cykanie pasikoników i ostrzegawcze pokrzykiwanie siedzących w gniazdach ptaków. Wiatru prawie nie było, z lewej strony mógł dostrzec delikatny dym unoszący się z ledwo dostrzegalnego komina farmy Den of Tarvit.. Zaczął rozmyślać, jak by to było wspaniale, gdyby jednak zdecydował się przywieźć tu Pamelę Trevelyari ignorując dręczący niepokój, który zmusił go do samotnej jazdy na północ, przecucie zagrażającego niebezpieczeństwa narastające w nim od chwili, gdy Simpson rzucił swą tak niewinną z pozoru bombę.

Chciała z nim pojechać. Czyż nie próbowała go uprosić, by ją zabrał tego wieczoru, kiedy się z nią spotkał w restauracji „Na Dachu”? Przypomnił sobie jej wielkie, pełne oczekiwania, szeroko otwarte oczy, kiedy powiedział, że musi pojechać na północ w niespodziewanie wynikłych interesach - i pełen wdzięku gniew, kiedy stanowczo stwierdził, że pojedzie sam.

Wcale nie musiał jej okłamywać. Nawet nie chciał tego robić. Ale również nie powiedział Pameli całej prawdy - powodem wyjazdu jest jego własna decyzja, nie zaś telefon bardzo bliskiego kolegi z wojska, który kupił jakąś zapuszczoną farmę... - W tym przypadku nawet nie mijał się z prawdą. - Wpakował się po uszy w kłopoty finansowe i chce, żebym został żyrantem jego wstępnej pożyczki bankowej, która uchroni go przed całkowitym bankructwem. Czuję się moralnie zobowiązany pojechać tam i przynajmniej rzucić okiem na to cholerne miejsce.

- Ale dlaczego chcesz jechać sam? - zapytała, wydymając wargi. W jej oczach widniał wyraźny zawód Dlaczego nie moglibyśmy pojechać razem? Czy ten Eric nie mógłby nas przenocować przez kilka dni?

- Z tego, co wiem, wszystko tam się rozsypuje, farma jest w stanie kompletnej ruiny. - Okazało się, że zdołał przewidzieć przyszłość z niesamowitą precyzją. Pewnie nie ma nawet żadnego przyzwoitego pokoju, w którym nie trzymałby świni czy czegoś w tym rodzaju.

- Lubię świnię - odparła Pam i poczuł, jak dotykają ją pod stołem jego kolana. - A poza tym będziemy potrzebowali tylko łóżka. Podwójnego.

- NIE! - zaprotestował rozpaczliwie. - Do diabła! ten facet żyje na dobrą sprawę pod namiotem. Zupełnie! na pierwszej linii frontu - błoto, zimno jak to w szkockich górach, i całe mile do najbliższego cywilizowanego miejsca! nawet do tego całego Auchenzie.

Po tych słowach przez dłuższą chwilę patrzyła na niego dość dziwnie. Jakby się zastanawiała. Ogarnął go dręczący strach, że zacznie podejrzewać, iż w tę sprawę wmieszana jest jakaś inna kobieta... ale nie mógł wyjaśnić nic więcej Nie mógł jej powiedzieć prawdy - że wszystko mówi: iż Eric Harley jest w niebezpieczeństwie, a niebezpieczeństwo wynikające z przeszłości najemnika może mieć kaliber dziewięć milimetrów.

Crofts wolał raczej utracić Pamelę Trevelyan, niż narazić ją na takie zagrożenie.

Nie uszedł daleko od urwiska, kiedy po pokonaniu niewielkiego wzniesienia wyraźnie zaintrygowany zwolnił na chwilę. Widniało przed nim kilka niskich budynków skupionych geometrycznie za wyższą, dziwnie znajomą konstrukcją. Na pierwszy rzut oka mógł jedynie stwierdzić że zabudowania te były od dawna ‘opuszczone. Na pokrytych cementową zaprawą ścianach widniały wielkie, paskudne odpryski i tylko zapadnięte metalowe framugi bez szyb wskazywały, gdzie znajdowały się niegdyś baraki. Przed zabudowaniami biegł szeroki wybetonowany pas który podobnie jak baraki uległ inwazji piasku, traw i niszczącemu działaniu wieloletnich mrozów.

Być może był to wpływ romantycznego odosobnienia tego zapomnianego miejsca, ale Crofts zbliżał się do budynku, który mógł być jedynie wieżą kontrolną opuszczonego lotniska z czasów drugiej wojny światowej, z uczuciem pewnej czci. Ile duchów lotników - dorosłych mężczyzn w czasach, gdy on był jeszcze dzieckiem - błąkało się obecnie wśród tych opuszczonych ruin? Jak wiele załóg wystartowało stąd z udawaną beztrioską na zakrytych maskami tlenowymi twarzach i z wysuszonym przez strach gardłem?

Pas startowy zachował się w zaskakująco dobrym stanie. Jego wzmocniona powierzchnia popękała jedynie w tych miejscach, gdzie roślinności udało się wreszcie przebić do światła. Tu i ówdzie w szczelinach między płytami zakorzeniły się niewielkie jarzębiny i jodełki - samotne świadectwa zwycięstwa sił natury nad tworam ludzkich rąk - a wielkie zarośla jałowców wypełniały obwałowane stanowiska samolotów i wewnątrz obdartego z pokrywającej go kiedyś blachy falistej hangaru.

Poruszając się ostrożnie wśród pośepnych ruin, zajrzał do pozbawionego drzwi wejścia do wieży kontrolnej. Zdawał sobie sprawę, że powinien podążać dalej w stronę drogi i wyznaczonego miejsca spotkania z Harleyem, ale nie mógł opanować chęci spojrzenia za mglistą zasłonę minionych czasów.

Wewnątrz znajdował się ledwie widoczny stary pług zagrządzający wejście na wewnętrzną klatkę schodową. Sterta wygniecionej, suchej jak pieprz trawy, wyglądającej jak legowisko żyjącego tu kiedyś zwierzęcia, kilka kubików siana, połamana łopata, zwoje zardzewiałej liny stalowej... Na jej widok Crofts zmarszczył się - lina była bardzo stara i równie dobrze mogła być zdjeta z pewnego dźwigu na pirsie odległym wcale nie o tysiące mil stąd.

Na pokrytej pleśnią ścianie widniał jeszcze wyblakły rysunek przypominający godło jednostki wojskowej - stylizowana mewa nurkująca w kierunku wzburzonego morza. Wypisane węglem litery były ledwo czytelne - 81' DYWIZJON LOTNICTWA OBRONY WYBRZEŻA. Były tam również inne, mniej oficjalne napisy: Co, nie ma dziewczyn? - Adolf, trzymaj się! - Charlie W. wreszcie nauczył się latać! - Tu przyglebił Pilot Officer Rankine I tajemnicze: Artur lubi Erniego. Gdy wychodził z tego widmowego, cichego miejsca uświadomił sobie, że się uśmiecha. Ale wtedy przypomniał sobie porzuconą linę i znowu zaczął się zastanawiać.

Kiedy wreszcie dotarł do drogi, góra Ben Quilhadder piętrzyła się nad nim. Do wyznaczonego terminu spotkania brakowało jeszcze ośmiu minut, stanął więc i przez kilka sekund rozglądał się wokoło. Właśnie na tych skalistych zboczach błyski szkielec zdradziły nieznanego obserwatora. Zastanawiał się, czy ten człowiek jeszcze się tam znajduje. Nie sposób było to stwierdzić - droga na tym odcinku została wyrębana w skale i tylko poprzekreślana połączeniami zalegającego w żlebach śniegu górna część zbocza była widoczna nad wysoko położoną krawędzią.

Czekając beczynn timer Erica, usłyszał w pewnej chwili nadjeżdżający z tyłu jakiś ciężki pojazd i na wszelki wypadek cofnął się od krawędzi - nawet jak na szkockie góry droga była wąska. Zza zakrętu wyjechała ciężarówka kierująca się na północ i jej kierowca uniósł rękę gestem niedbałego pozdrowienia. Crofts odpowiedział mu tym samym i gdy samochód z warkotem silnika zniknął mu z pola widzenia, przypadkowo spostrzegł na granatowym boku mijającego go pojazdu wypisane słowa: ROYAL NAVY. Przypomniało mu to Simpsona i parsknął z irytacją. Cholerny Simpson! Gdyby nie Simp...

Łoskot i rozlegający się niemal natychmiast po nim wizg hamulców rozerwał bez ostrzeżenia ciszę gór, niszcząc gwałtownie spokój wieczoru. Crofts błyskawicznie odwrócił się w stronę Auchenzie, doskonale orientując się, że ten dźwięk nie mógł być spowodowany przez ciężarówkę

marynarki wojennej. W chwili obecnej musiała się znajdować już dość daleko z przodu, podczas gdy pisk torturowanych opon dobiegał z tyłu...

...zaraz potem dobiegł go zgrzytliwy jęk metalu trącego o kamień, odgłos obijania się powtarzany zanikającym echem przez zbocze góry. I znowu zapanowała cisza.

Crofts zrywając się do biegu poczuł ogarniającą go ponurą pewność. W jakiś sposób wiedział, że wypadek ten musiał spotkać Erica.

Wiedział to na długo przedtem, zanim zobaczył tył land rovera kołyszącego się z precyzją szalek aptekarskiej wagi na osypującej się krawędzi pięćdziesięciostopowej przepaści.

# Rozdział VI

W miejscu, gdzie rover znajdował się o włos od rozpoczęcia długiego lotu, w boku góry została wyrębana droga. Dolna część zbocza Quilhadder została wysadzona w powietrze w taki sposób, że powstała pionowa skalna ściana, potem była wąska półeczka szosy i wreszcie tam, gdzie samochód Erica Harleya zawisł na krawędzi, zaczynał się niemal pionowy spadek aż do samego podnóża góry.

Crofts zatrzymał się gwałtownie. W ciszy wieczoru słychać było jedynie przypominający dźwięk szklanych dzwoneczków plusk płynącego w dole strumienia zagłuszany jego własnym ciężkim oddechem - i wolne, miarowe potrzaskiwanie wiszącego nad przepaścią land rovera, którego kierowca leżał bezwładnie na kierownicy.

Crofts natychmiast spostrzegł, że przednia szyba rozpadła się całkowicie od pierwszego uderzenia. Świadczył o tym strumyczek błyszczących okruchów rozsypanych na drodze. Harley nawet nie drgnął, gdy Mikę zbliżał się ostrożnie, panując nad każdym ruchem, uważając, by nie zakłócić chwiejnej równowagi samochodu. Dostrzegł krew na twarzy Erica i lśnienie drobinek szkła pokrywających jakby warstwą szronu jego zgarbione ramiona opięte wyświechtaną bluzą wojskową. Nie widział jednak żadnej większej rany. Na przykład wyjściowego otworu wielkości pięści, jaki pozostawiłby poruszający się z dużą prędkością początkową pocisk snajpera.

- Coś ciężkiego uderzyło w szybę - powiedział cicho wciąż nieruchomy Eric. - Straciłem panowanie nad maszyną na tym cholernym zakręcie.

- Aha - odparł Croft z udawaną zjadliwością. - A ja przypuszczałem, że zawsze tak jeździsz.

I poczuł, jak ogarnia go ciepła radość, że Eric mimo wszystko nie zginął.

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu - wymamrotał Eric ciągle nie wając się wykonać jakiegokolwiek ruchu - chciałbym się wynieść do diabła z tego pieprzonego fotela. Niestety, całe to draństwo ma zamiar polecieć razem ze mną w dół, jeżeli tylko leciutko nim zakołyszę.

Z krawędzi odpadło kilka dalszych odłamków skalnych i podskakując potoczyło się do płynącego w dole strumienia. Tył rovera zaczął się unosić. Crofts bez wahania rzucił się do przodu i chwycił za klapę wyładunkową czując, jak ponownie ogarnia go lęk o Erica.

- Jezu! - wychrypiął Harley.

- Wejść do środka - oznajmił Crofts spokojnie. - Obciążę go od tyłu...

- Nie bądź cholernym durniem! Jeżeli coś się stanie, możesz polecieć razem ze mną i całym tym majdanem - warknął Eric i Croft zauważył, jak zbiegły kostki jego poplamionych krwią dłoni zaciśniętych na kierownicy.

- Nie, nie polecę - zapewnił siedzącego z drugiej strony tej huśtawki kumpla. - Jeżeli zacnie się obsuwać, zeskoczę.

Ostrożnie usadowił się na klapie wyładunkowej. Nawet pod jego dodatkowym ciężarem tylne koła ledwo dotykały ziemi. Cał po calu Eric Harley zaczął przeczołgiwać się nad oparciem

siedzenia.

- Masz stamtąd wspaniały widok - zauważył Crofts czując, jak jego niepewne siedzisko zaczyna się kołysać. A potem zamknął oczy. Bardzo mocno.

- Ten cholerny kamień musiał się stoczyć stamtąd! stwierdził Eric kilka minut później, patrząc na wysoką ścianę wyciętej w górskim zboczu skalnej półki. Kiedy nie zabezpieczyli rovera przed upadkiem, cofnęli się do miejsc w którym drogę pokryły pierwsze okróchy rozbitego szkliwa.

Crofts zmrużył oczy i spojrzął pod zachodzące słońce.

- Dlaczego sądzisz, że się stoczył? Nie ma nawet śladu jakichś innych osuwisk.

Harley z niewielkim skutkiem wycierał zaimprovizowanym tamponem krew spływającą z rozciętego czoła.

- I co to według ciebie znaczy? - zapytał.

Crofts skierował się z powrotem w stronę samochodu Między pasażerskimi siedzeniami leżał złom granitu, który wpadł tam po rozbiciu przedniej szyby.

- Moim zdaniem oznacza to, że ktoś próbował cię zabić. Tak, żeby sprawiało to wrażenie wypadku.

Eric zatrzymał się gwałtownie. Jego przypominająca krwawą maskę twarz skamieniała nagle.

- Nie pieprz głupstw!

Crofts podniósł kamień znaczącym gestem.

- Gdybym chciał kogoś usunąć w taki sposób, żeby wyglądało to na wypadek i gdybym spodziewał się, że ten ktoś będzie jechał tą właśnie drogą o tej właśnie porze - i gdybym również wiedział, że ten ktoś zachowuje się z kierownicą jak nieodpowiedzialny wariat i bierze zakręt z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę - spuściłby! mu na łeb kawałek skały. Mniej więcej taki.

- Jest tylko pewien szkopuł - nie licząc oczywiście idiotyzmu samego założenia - mruknął Eric niepewnym głosem. - Ten ktoś musiałby się orientować, że mam zamiar jechać tą właśnie drogą o tej godzinie. A przecież nie mogli tego wiedzieć, prawda?

- Ależ oczywiście, że mogli - spokojnie zaproponował Crofts. - Ktoś nas śledził przez całe popołudnie i kiedy zostawiłeś mnie, żeby pojechać do Auchenzie, wcale nie musiał być geniuszem, aby się domyślić, którądy będziesz wracać.

Żałował, że nie mógł dłużej obserwować zaniepokojenia, które malowało się w oczach Erica, zanim jego twarz ponownie zastygła jak maska. Harley wyjął kamień z ręki Croftsa i cisnął go za krawędź urwiska. Po chwili skalny odłamek wpadł z pluskiem do strumienia.

- Słuchaj, masz zamiar mi pomóc czy nie? - warknął z irytacją wskazując na kołyszący się na krawędzi pojazd. „- Oczywiście - odparł Crofts godząc się ze swą chwilową porażką. - Przecież próbuję to zrobić od chwili, kiedy się tu znalazłem.

Nie wracał już do tego tematu. Nawet wtedy, kiedy wyciągnęli na drogę rovera, który poza stłuczoną szybą nie miał żadnych innych uszkodzeń, i ruszyli w stronę farmy. To, czy Eric świadomie unikał dalszych pytań, czy po prostu pograżył się w jeden ze swoich niewytłumaczalnych okresów milczenia, bardzo szybko stało się nieistotne. Nie było już między nimi więzi, braterskich uczuć. Harley wyraźnie dał do zrozumienia, że nic z tego, co tu się działo, nie powinno interesować jego eks-przyjaciela. Gwałtowne zapewnienia, że niedawny „wypadek” nie mógł być rezultatem jakiejś nieczystej gry, jeszcze bardziej podkreślały to wrażenie.

Jednak wydarzenia tego popołudnia uzasadniały uczucie niepokoju dręczące Croftsa od chwili spotkania z Simpsonem. Jeżeli kamień lewitował w wyniku ludzkiego działania, Eric bez wątpienia

uczestniczył w jakiejś głęboko zakonspirowanej i niebezpiecznej grze. I zło, które kładło się cieniem na zaniedbanej farmie Den of Tarvit, wywodziło się nie z przeszłości Erica, lecz z jego obecnej działalności. Ślady niedawno przeprowadzanych na starym molu prac Przekonały o tym Croftsa, ale ostatecznie upewnił go sposób, w jaki Eric usiłował zniechęcić swego dawnego Przyjaciela do bliższego zapoznania się z nabrzeżem.

Harley przemówił dopiero, gdy wjechali na podwórze farmy. Odezwał się nieśmiało:

- Słuchaj, stary. Wolałbym... no cóż, wolałbym, żebyś nie mówił Laurze o tym, co się zdarzyło.

- Wcale mnie to nie dziwi - odwarknął Crofts nie mogąc już opanować ogarniającej go niechęci.

- W końcu do cholery, mnie też niewiele powiedziałaś.

- A o czym miałem mówić? Przecież to był wypadek wymruczał niepewnie Harley.

Crofts wygramolił się z samochodu i z wściekłością obrócił się w stronę Erica.

- Dobra, nie zapomnij tylko wciąż mi o tym przypominać. - Zawahał się przez moment, usiłując przewyciężyć narastającą w nim urazę - i nie udało mu się. Z gniewem wykręcił się na pięcie. - No to lepiej schowaj ten wrak w stodole. I sądzę, że może powinienes przekonywać wszystkich, że pokieraszowałeś gębę potykając się o swoją pieprzoną aureolę. Z tą tylko różnicą oczywiście, że swojej żonie musisz łągać lepiej niż mnie.

Natychmiast gdy przekroczył próg kuchni, wyczuł, że musi być bardzo ostrożny. Laura wprawdzie czekała i najwyraźniej ucieszyła się z jego przybycia, ale był w niej jakiś niepokój. Zanim się odezwał, zaczęła mówić szybko, starając się go ostrzec i jednocześnie wyrazić swoją niechęć:

- Karbowy czeka na Erica, Mike. To znaczy nasz brygadzysta - tu razem z pozostałymi pracownikami farmy.

W końcu Crofts czegoś się jednak tego popołudnia dowiedział. Teraz już orientował się, co Groźna Matka z Auchenzie miała na myśli używając słowa „karbowy”. Niestety nie była to jedyna rzecz, której się dowiedział. Najwyższy spośród czterech rozwalonych za stołem mężczyzn wstał i zasalutował wyraźnie ironicznym gestem.}! Crofts zrozumiał, że bez względu na to, w jakie kłopoty wpakował się Eric Harley, będą one na pewno o wiele groźniejsze, niż był to sobie w stanie wyobrazić w najgorszych nawet przypuszczeniach.

Moment tego olśnienia nastąpił, gdy najbardziej nieprawdopodobny z wszystkich możliwych karbowych farmy Tarvit uśmiechnął się swoim lodowatym uśmiechem, którego Crofts od tak dawna nie widział. Na dobrą sprawę od chwili, gdy na zasłanym trupami pobojuwisku w Angoli strzęp ludzki zwany Hermannem Bosche patrzył błagalnie w lufę jego beretty.

- Miło mi znów pana widzieć, sir! - wyszczerzył zęby Harry Mearns.

Były szef kompanii, starszy sierżant Mearns - były członek byłej kolumny „Delta”.

# Rozdział VII

Po kolacji Crofts z pewnymi oporami wyruszył dla sprawdzenia zawieszenia mercedesa polną drogą w stronę prowadzącej do Auchenzie szosy, aby zadzwonić do Pameli Trevelyai. Właściwie nie bardzo wiedział, dlaczego miał opory przed skorzystaniem z telefonu na farmie. W końcu cóż, u diabła, było takiego krępującego w tym, że zakochał się w dziewczynie - nawet jeżeli miała o połowę lat mniej niż on. Czyż nie było już wystarczająco dużo tajemnic, pogłębiających i tak coraz większą przepaść między nim i Erikiem?

A także między samymi Harleyami, skoro już o tym mowa. Najwyraźniej Laura nic nie wiedziała o prawdziwej naturze związków Erica z Harrym Mearnsem. Nie było w tym nic dziwnego. Na miejscu Erica również nie chciałby informować swej żony o zawodowej znajomości z kimś takim jak Harry - nawet w normalnych okolicznościach. A obecną sytuację na farmie trudno było nazwać normalnymi okolicznościami. Myśli Croftsa wciąż krążyły wokół Harry'ego Mearnsa i towarzyszących mu neandertalczyków, przy których członek zbrodniczej mafii wyglądałby jak jezuicki misjonarz. Dręczyła go też obronna postawa Erica, która przy kolacji jak ponury mur odgradzała go od innych. Wszystko to sprawiało, że Crofts zapragnął na jakiś czas opuścić farmę, choćby miał się tym skazać na ponure samotne rozmyślenia.

Znalazł jedyną we wsi budkę telefoniczną, zapaskudzoną rękopiśmiennymi wyznaniem podającymi do wiadomości obojętnych czytelników, że Eck kocha Jessie, McAlister bel tutaj i arogancko zapewniające, że Gowańscy Hunowie są OK! Świadczyło to aż nazbyt wyraźnie, że Auchenzie jest w zasięgu jednodniowej wycieczki uzbrojonych w sprejową farbę półgłówek „z Glasgowa”.

Pamela odezwała się natychmiast, gdy tylko centrala hotelowa połączyła go z jej pokojem. Nie mógł oprzeć się uczuciu pełnej ciepła wdzięczności. Wprawdzie powiedział, że spróbuje zadzwonić około ósmej, ale przecież Pam była młoda i zdecydowanie zbyt atrakcyjna. Mogła po prostu gdzieś wyjść, a potem wymyślić jakąś wymówkę. Choćby to, że w ogóle zapomniała o jego telefonie.

- Brakuje mi ciebie - powiedziała, i bardzo chciał jej uwierzyć.

- Mnie ciebie też.

- No i co, masz świnię w pokoju? Na chwilę zmarszczył czoło, a potem uśmiechnął się do słuchawki.

- Nie. Ale krąży tu przerażająca szkocka dama, która pożera londyńczyków, a dotarcie do farmy wymaga niemal logistycznego zabezpieczenia jak przy ekspedycji na Annapurnę.

Roześmiała się, ale jej śmiech sprawił, że wydała mu się jeszcze bardziej oddalona.

- Wracasz jutro? - zapytała z cudowną dziecięcą bezpośredniością. Nawet nie próbował ukryć, jak bardzo jest mu przykro.

- Zajmie mi to jeszcze kilka dni. Eric jest koszmarnym farmerem. Prawdę mówiąc, obiecałem mu

pozostać tutaj, aż uporządkuje wszystkie sprawy.

Milczała przez chwilę i Crofts znowu zaczął się martwić. Potem odezwała się z udawaną obojętnością:

- Jakie sprawy?

Crofts popatrzył na swoje odbicie w rozbitym lustrze budki telefonicznej.

- No wiesz... Różne. Rachunki, rozmowy z dyrekcji banku, zepsute traktory... no... takie sprawy.

>|

Następny temat, który podjęła, był wprawdzie przyjęty przez Croftsa z ulgą, ale druzgocąco wpłynął na jego morale.

- Możesz zgadnąć, co teraz robię? - zapytała bardzo łagodnym głosem. Popatrzył tępo na słuchawkę: - Kochasz się!

- Nie.

Kiedy mu powiedziała, poczuł, że zaczyna się pocić i wymamrotał tylko: - O Jezu!

- Czy jesteś pewny, że nie możesz jutro przyjechać? - Pamela Trevelyan bardzo zręcznie wywierała na niego presję. Słyszał wyraźnie jej głośniejszy teraz oddech i zdawał sobie sprawę, że nie jest to tylko prowokacja. Zaczął nienawidzić Erica Harleya, Harry'ego Mearnsa, Szkocji i tak nie w porę spotkanego cholernego komandora Simpsona. Pewnie był wobec niego niesprawiedliwy, ale szczególnie nie cierpiał w tej chwili komandora Edwarda Simpsona w stanie spoczynku). Gdyby nie on, mogliby sobie toczyć w tych opuszczonych przez Boga górach choćby trzecią wojnę światową - bez jego wiedzy.

- Jestem pewien - wymamrotał z utęsknieniem w głosie. - Uwierz mi, Pam, proszę! Jeślibym tylko mógł, przyjechałbym. Przysięgam.

- Wierzę ci - odparła poważnie. - A przy okazji., powiedz mi, skąd dzwonisz? Kolejna zaskakująca zmiana tematu. Rozluźnił się.

- Z Auchenzie. Z budki telefonicznej. Czyżbyś nie słyszała, jak wsypuję do niej forszę?

- A gdzie w Auchenzie?

Crofts zamrugał niepewnie, a potem z trudem obrócił się i popatrzył przez brudne szyby budki. Mógł dostrzec palące się po drugiej stronie wąskiej uliczki ledwo widoczne światła jedyne hoteliku w Auchenzie.

- Naprzeciwno miejscowego pubu. Nazywa się „Caledonian” i biorąc pod uwagę jego wygląd, jest to nazwa zdecydowanie na wyrost. A dlaczego pytasz?

- Czy zadzwonisz jutro do mnie z tego samego telefonu, Michael?

Zmarszczył czoło. To niewątpliwie dość dziwna prośba, ale Pamela była w końcu dziewczyną, której nie sposób się oprzeć. Postanowił nie kusić złego.

- Jeżeli chcesz... Czy mam telefonować o jakiejś określonej godzinie?

- W południe.

Sygnal w słuchawce znowu się odezwał i Crofts zaczął gorączkowo wciskać do automatu kolejną dziesięciopensówkę. Uwięzła w szczelinie. - Niech to cholera! - warknął. Nagle sygnał się urwał i był to znak, że mają zaledwie kilka sekund, zanim połączenie zostanie przerwane.

- Zadzwonię w południe - potwierdził szybko, nie orientując się wprawdzie, jakie będą jego plany, ale dobrze wiedząc zarazem, że nie ma czasu na dyskusje.

- Obiecujesz?

- Tak, obiecuję. Z uderzeniem zegara.



- Z tego samego miejsca?

- Tak, tak... - Jezu, przecież to wariactwo. Ale mimo wszystko miłe wariactwo - zwłaszcza gdy się wie, że to wariactwo sprawia jej przyjemność.

- Kocham cię... - powiedziała, zanim rozległo się „klik”, a potem ciągły sygnał przerwane połączenia. Odpowiedział do> milczącej słuchawki: - Ja też cię kocham. - Poczul się trochę głupio, wyszedł z budki i wolnym krokiem skierował się w stronę mercedesa.

Dlaczego, na - miłość boską, Pamela chce, żeby zadzwonił dokładnie z tej samej budki telefonicznej? I dlaczego o tak wczesnej porze - o dwunastej w południe?

Jechał wolno z powrotem do Tarvit, krzywiąc się z niemal fizycznego bólu, gdy lśniący obiekt jego dumy i radości zapadał się w kolejną dziurę. Zastanawiał się jednocześnie nad pojawieniem się na scenie Harry'ego Mearnsa.

Ale Mearns zawsze był taki. Pojawiał się nieoczekiwanie Wśród oczekujących na rozmowę kwalifikującą, gdy tylko zaczynały krążyć wieści o tym, że organizuje się kolejny oddział. Robił to zazwyczaj w chwili, gdy inni zawodowi zaczynali już przypuszczać, a może nawet mieć nadzieję, że wreszcie dał się zabić przez jakiegoś byłego współtowarzysza o szczególnie dobrej pamięci. Nawet w wypadku poufnych zadań, takich naprawdę ściśle tajnych, Harry zawsze jakoś dowiadywał się o nich akurat w porę, aby na czas znaleźć się w barze, w którym prowadzono rekrutację - obojętne czy był to Londyn, Jo'burg czy Hamburg. Jak legendarny. Feniks odradzał się z popiołów przegranych kampanii.

Nie była to znowu taka zupełnie wydumana konstatacja! Za każdym razem, gdy w robocie brał udział starszy sierżant Mearns, jej finał musiał być oplakany. Na przykład w Wietnamie, gdzie Vietcong uprzedzał każde ich posunięcie, a wyznaczone cele okazywały się zabezpieczone o wiele lepiej niż przewidywano. Można było wtedy tylko popełnić samobójstwo - albo zaniechać wykonania zadania.

Była też sprawa rodezyjskiej wpadki - kiedy to rana Croftsa stała się powodem jego ewakuacji i początkiem smutnego romansu z Laurą. Pozostałych chłopaków równie gwałtownie przerzucono z powrotem do Jo'burga, w chwili gdy zaczęli się na dobre dobierać do skóry terrorystom. Wszystko skończyło się fiaskiem, czyjaś niedyskrecja bowiem ujawniła światowej prasie istnienie kłopotliwych politycznie oddziałów międzynarodowych najemników.

A potem Angola. Chryste, Angola! I nigdy niewyjaśnione wątpliwości, jakim cudem Kubańczycy i kilka czarnych oddziałów SWAPO - niezdolnych nawet do zaplanowania ofensywnego meczu piłki nożnej - zdołali zorganizować zasadzkę, która nie tylko pozbawiła nóg Hermanna Boschego, ale również wykończyła dziewięćdziesiąt procent najtwardszej grupy bojowej, jaka kiedykolwiek działała w afrykańskim biznesie.

Być może były to niesprawiedliwe myśli - jeżeli tylko można być niesprawiedliwym w stosunku do największego i najbardziej bezwzględnego sukinsyna, u boku którego się walczyło. Crofts bowiem sam brał udział w tych wszystkich nieudanych operacjach - podobnie jak Eric Harley i biedny Hermann. Ale bez względu na to, jak bardzo sierżant Mearns upajał się przelewaniem krwi w walce, mimo wszystko był tylko człowiekiem. Pociski, które z taką precyzją spadły na kolumnę „Delta”, mogły okazać się dla niego równie śmiertelne jak dla pozostałych sparaliżowanych strachem żołnierzy. Ktoś, kto chciałby doprowadzić do takiej masakry wiedząc, że znajdzie się po niewłaściwej stronie lufy, musiałby być zupełnie szalony.

Szalony?

Szalony Harry Mearns...

„No, chłopie, zaczniesz mieć cholerną manię prześladowczą” - mruknął pod nosem Crofts, zerkając w lusterko wsteczne, zupełnie jakby obawiał się, że ktoś mógłby usłyszeć, jak mówi do siebie.

Jednak w tych podejrzaniach nie było w obecnej chwili nic z manii prześladowczej. Jak bowiem wytłumaczyć zatrudnienie Harry'ego Mearnsa na farmie Tarvit w charakterze karbowego? Brygadzista na farmie? Śmiechu warte! Mearns nie miałby pojęcia, co robić z kombajnem zbożowym, chyba że byłby tam zainstalowany pod siedzeniem kierowcy granatnik. Jego zaś sumaryczna wiedza na temat zarodowej hodowli zwierząt wywodziła się wyłącznie z pijackich wypraw do wszystkich murzyńskich burdeli między Afryką Północną a granicą Springbok.

Poza tym obecność tych trzech „robotników rolnych”, których rzekomo najął Eric. Crofts nigdy ich przedtem nie widział. Wyglądali ponuro, poruszali się ostrożnie, mówili po szkocku z koszmarnym burskim akcentem, a ich fryzury przypominały krótko obcięte szczotki druciane. Crofts gotów był się założyć, że poprzednio używanym przez nich sprzętem polowym były raczej karabiny maszynowe, nie zaś traktory.

Wszystko to składało się na denerwującą łamigłówkę o mglistych kształtach. Crofts wpatrywał się w ciemność mijając stare lotnisko i kamieniołomy i postanowił, że wygarnie wszystko Ericowi natychmiast po powrocie na farmę. W czasie minionych kryzysów okazywali sobie zawsze prawdziwe zrozumienie i, na litość boską, mogą chyba omówić wszystkie problemy, zanim zdarzy się coś nieodwracalnego i ktoś, może nawet sam Eric, zostanie zabity. A tego rodzaju możliwości nie można wykluczyć w sytuacji, gdy w grę wchodzi taki człowiek jak Mearns.

Doszedł do wniosku, że nie ma sensu wypytywać Laury o Mearnsa. Gdy jednak zostawił mercedesa na podwórzu i wszedł do domu, okazało się, że tego wieczoru nie ma również zbyt wielkiego sensu wypytywać Erica Harleya.

Laura pospiesznie wciągnęła Croftsa do kuchni, zanim zdążył powiedzieć „cześć”.

- Pije - powiedziała z goryczą. - Jest w paskudnym nastroju, Mikę, szczególnie od chwili, gdy przyjechałeś do nas. Wszystko wygląda zupełnie tak, jakby spodziewał się że coś się zdarzy tej nocy, a on nie ma odwagi w tym uczestniczyć, bo ty tu jesteś.

- Tej nocy? Dlaczego tak sądzisz?

- Słyszałam, jak tuż po twoim wyjeździe do Auchenzie rozmawiał z Mearnsem i innymi. Nie mówili zbyt jasno, ale wystarczyło... wyczułam, że nie są zbyt zadowoleni. W każdym razie powiedział, że lepiej będzie, jeżeli zaczną bez niego. A potem coś o... o próbnym obejściu.

- Czym próbnym? - zapytał Crofts.

- Chyba obejściu - zmarszczyła, czoło. - Nie byłam w stanie lepiej dosłyszeć, a poza tym...

- Wiem - odparł. - Nie chciałaś podsłuchiwać Erica. Nawet z najszlachetniejszych na świecie pobudek. Jej oczy mimowolnie wypełniły się łzami.

- Nie wiem, co robić, Mike. On jest zupełnie nie ten sam. Chyba bardzo nie podoba mu się, że tu jestem. Kiedy przyjechałam niespodziewanie, był początkowo strasznie wściekły, a i teraz wciąż mi powtarza, że chciałby, abym jak najszybciej wróciła... aleja nie chcę tego zrobić, Mikę. Nie zostawię Erica. Chociaż mnie namawia.

Michael popatrzył na nią ze współczuciem, ale w tym samym momencie poczuł ulgę, że przynajmniej jedna, bardzo go nurtująca część łamigłówki nagle się wyjaśniła.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie prosił cię, żebyś przyjechała do Szkocji? Że po prostu bez

zaproszenia zjawiała się na progu?

Laura uśmiechnęła się smutno.

- W twoich ustach brzmi to równie koszmarnie. Ale Eric chciał uporządkować wszystko, zanim wyprowadzę się z Johannesburga. Mieliśmy zamiar przenieść się późną wiosną, chyba że zdecydowałby się zrezygnować z dzierżawy i postanowił wrócić do Afryki.

Crofts nic nie odpowiedział, nie chciał jej ranić jeszcze bardziej, ale nie przeszkodziło mu to dodać dwa do dwóch. Na przykład w sprawie rzekomych wysiłków Erica mających przekształcić Tarvit w stałe miejsce zamieszkania. Dochodziło do tego odkrycie, że gdyby nie zdecydowanie Laury, to na farmie Den of Tarvit mieszkaliby tylko Harley, Mearns i trzej wojskowkształtni brutale zdolni wyperswadować miejscowym ochotę do interesowania się czymkolwiek, co dzieje się na jej terenie. I że Eric najwidoczniej o wiele wcześniej przygotowywał powrót do Afryki. Najprawdopodobniej jeszcze przed swoim przyjazdem do Tarvit.

W każdym razie Eric Harley próbował zapobiec wmieszanemu swojej żony w tę aferę i Crofts ucieszył się z tego niewielkiego potwierdzenia ich trwającej wciąż miłości. To jednak sprawiało, że czuł się w jeszcze większym stopniu zobowiązany, jeżeli bowiem Laura mimowolnie naraziła się na jakieś ryzyko - a znając jej upór był tego niemal pewny - to dlaczego Eric w dalszym ciągu prowadził tę swoją działalność? Dlaczego, na litość boską, po prostu nie wycofał się i nie zostawił Mearnsa i spółki, żeby wysadzali sami cały ten cholerny świat w powietrze, podczas gdy oni oboje będą siedzieli w Afryce Południowej - może niebogaci, ale żywi.

A jeżeli wszystko to było poza możliwością kontroli ze strony Erica? Może jego życie byłoby zagrożone, gdyby teraz się wycofał? Tłumaczyłoby to napięcie, które stopniowo go niszczyło. Ale skoro tak było istotnie, to dlaczego ktoś chciał go dzisiaj zabić? Zanim wykonał to, co planowano?

- Dziś w nocy, prawda...? - powiedział z zamyśleniem Crofts i chcąc dodać Laurze otuchy pocałował ją w policzek. - Próbnym obejściem, powiedziałaś?

- Chyba nie masz zamiaru zrobić jakiegoś głupstwa Mike? Obiecujesz?

- Mogę zrobić, jeżeli natychmiast nie pójdziesz do łóżka - uśmiechnął się. - Bo w przeciwnym razie ulegnę pokusie, żeby wciągnąć cię do mojego...

Gdy Laura poszła na górę, odnalazł Erica w niewielkim saloniku. Siedział wpatrzony ponuro w przestrzeń z butelką stojącą obok. Miał już w sobie sporo miejscowego wyrobu gorzelnianego.

- O, widzę, że kasyno otwarte - powiedział Crofts. - Czy masz zamiar zaproponować mi pięćdziesiątkę? Harley spojrzał na niego łzawiącymi oczyma.

- Tylko pod warunkiem, stary, że nie będziesz mi zadawać kretyńskich pytań.

- Nie będę - uśmiech Croftsa był z gruntu fałszywy.

Potem siedzieli we dwóch z Ericem do północy przed płonącymi kłodami drzewa i popijali słodową whisky - Crofts bardzo mało, a jego gospodarz zdecydowanie więcej - i na krótką chwilę odnaleźli na nowo tę bliskość, o której Crofts zaczął już myśleć jak o straconej na zawsze.

Stopniowo jednak oszałamiający wpływ alkoholu dawał znać o sobie. Eric Harley zaczął coraz bardziej obwisać w fotelu i użalać się nad samym sobą. Crofts zdawał sobie sprawę, że na jakąkolwiek sensowną rozmowę zostało już niewiele czasu.

- Co z Harrym, Eric? Do jakiej pomocy na farmie; potrzebujesz Harry'ego Mearnsa? Eric zamrugał niepewnie oczyma. - Harry? Ja nie potrzebuję Harry'ego, Mike. To oni; potrzebują starego, dobrego sierżanta sztabowego Harry'ego...

Crofts pochylił się do przodu, zachęcając Erica do dalszych zwierzeń.

- Oni? Masz na myśli tych chłopaków, których miał ze sobą?

- Chłopaki! - warknął pogardliwie Eric. - To śmiecie. Śmiecie! Ty i ja, Mikę, nie powierzylibyśmy im w czasie akcji nawet zapasowych skrzynek z amunicją. Śmiecie!

- No więc co to za „oni”?

Eric próbował popatrzeć na niego przytomnie i Crofts nagle dostrzegł złość migoczącą w jego zamglonych oczach.

- Ci, którzy uważają, że jestem judaszem, Mikę - właśnie ci „oni”! Uważają, że jestem judaszem. Zupełnie jak ten zboczony mięczak Thomson.

Crofts zmarszczył brwi. Nie znał żadnego Thomsona, ani normalnego, ani odznaczającego się jakimś zboczeniem, działającego choćby w luźnej styczności ze światkiem najemników. Eric mruczał coś w dalszym ciągu, najwyraźniej nie zdając już sobie sprawy z jego obecności.

- Głupi mały mięczak, cholerny zboczeniec. Chryste, przecież nawet ryba ma więcej pomysłu niż ten Thomson. Właściwie to ryba może myśleć lepiej niż ktokolwiek z nas.

Tym razem to Crofts zamrugał ze zdziwieniem. Ten najwyraźniej jakoś zboczony Thomson i RYBA? Ryba, która umie myśleć?

Szybko się opanował, za wszelką cenę nie chcąc tracić przewagi, jaką uzyskał dzięki alkoholowemu zamroczeniu Harleya.

- Co takiego z tym Thomsonem i... eee... rybą? To dość rzadko spotykane zboczenie, co?

Harley raptem wyczuł niebezpieczeństwo. Jego nieobecny wyraz twarzy nagle zniknął. - Co cię obchodzi Thomson? Thomson nie żyje.

W tej jednak chwili alkohol zmógł go całkowicie i Eric ponownie opadł na fotel, bełkocząc nieszczęśliwym głosem:

- Zabili tę nieszczęsną ciotę, prawda? Pojechał zobaczyć „syrenkę” pełen nadziei na nowy, wspaniały świat, jaki zrodził mu się w jego małym zboczonym mózdzku, a oni go zmasakrowali!

Jego nieskładna gadanina powoli zamierała. Crofts się dział patrząc z zamyśleniem na swego nieprzytomnego przyjaciela, aż wreszcie wstał, przeturlał farmera amatora na kozetkę i przykrył go kocem. Eric Harley aż do rana będzie niezdolny do działania.

Wchodząc do pokoju włączył światło, ale tylko ma chwilę - jedynie na tyle czasu, ile potrzeba, by przygotować się do snu. Przebranie się w ciemne spodnie i czarny sweter nie trwało długo, podobnie jak wygrzebanie ziemi ze znajdującej się na podorędziu doniczki i rozsmarowanie jej w znajomy wzór kamuflażu na wszystkich wystających częściach twarzy.

Zgasił światło, podszedł do okna i zaczął cierpliwie czekać. Po paru minutach jego oczy odzyskały zdolność widzenia w ciemności. Nieco później dostrzegł jakiś ruch po którym - nie do wiary! - w złożonych dłoniach kogoś, kto pełnił wartę koło domu, zapłonęła zapałka. Crofts zastanawiał się, którego z trzech osiłków Harry zostawił, by go pilnowali i nie mógł powstrzymać ponurego uśmiechu na samą myśl, co starszy sierżant sztabowy Mearns zrobiłby tej ofierze, gdyby się dowiedział o zapalanej zapałce.

To cyniczne rozbawienie zniknęło, gdy opuszczał dom przez tylne okno. Miał zbyt wiele innych spraw do przemyślenia.

Takich jak zamordowanie homoseksualisty o nazwisku Thomson. Ryba, która umie myśleć. I „syrenka”.

# Rozdział VIII

Było tylko jedno miejsce, które mogło dostarczyć mu jakiegoś punktu zaczepienia. Wykorzystując naturalne osłony terenowe i unikając polnej drogi skierował się szybkim krokiem w stronę morza. Szedł skulony, nawet czołgał się, pokonując grzbiety wzniesień oddzielających go od starego nabrzeża. Ofermowaty strażnik wystawiony przez Mearnsa nie tylko się zdekonspirował, ale potwierdził również przekonanie Laury, że coś ma się zdarzyć tej nocy, coś, w czym Mearns bardzo chciał uniknąć udziału swego zbyt wścibskiego gościa. Coś, co wiązało się z... „próbnyim obejściem”?

Crofts usłyszał delikatny pomruk, kiedy omijał skraj starego kamieniołomu, w którym pośępna, stojąca woda odbijała monochromatyczne barwy tej chłodnej nocy w szkockich górach. Wokół panował przeraźliwy spokój, niemal namacalna cisza spływająca jak łagodna zasłona z piętrzących się gór, które na tle rozjaśnionego księżycową poświatą nieba wyglądały jak wycinanka z czarnego papieru.

Aż do chwili, gdy usłyszał ten pomruk. Od strony morza. To go upewniło, że podąża we właściwym kierunku.

Dostrzegł kontury zbliżającego się statku, kiedy tylko przedostał się do miejsca, w którym Eric zaparkował po południu swojego rovera - na krawędź niskiego urwiska opadającego do zatoczki. Był to niski, jakby przyczajony jacht motorowy długości mniej więcej trzydziestu metrów o masywnej, znamionującej potężną moc silników sylwetce. Jednostka znajdowała się w odległości jakiejś pół mili na otwartym morzu i powoli kierowała się w stronę brzegu Crofts o wiele wyraźniej dosłyszał odległy huk silnika z turbodoładowaniem, gdy uniósł głowę, by uniknąć akustycznych zakłóceń wywołanych przez odbicia od linii brzegowej.

Marszcząc brwi obserwował, jak jacht zbliża, się coraz bardziej, rozcinając na boki połyskującą wodę.

Fale odchodzące od jego dziobu rozbiegały się zmarszczkami po gładkim jak szkło morzu. Bliżej, coraz bliżej wejścia do Przystani Kamieniołomów, po rzekomo niezeglownym torze wodnym. Ciekawe, w jaki sposób ma zamiar tu wpłynąć? Z pomocą radaru? Kierując się wskazaniem zegarów i pomiarami odległości. - z zapartym tchem śledził te poczynania. Crofts wystarczająco dobrze znał pracę sternika i zdawał sobie sprawę, że przy wchodzeniu z tak minimalnym zapasem między skaliste obrzeżenia wejścia do portu ma się niewiele czasu na zmianę kursu według wskazań radaru. Zaobserwował już wcześniej, że nie zachowały się żadne znaki nawigacyjne - nabieżniki usytuowane tak, że gdy znajdowały się w jednej linii, kurs, jakim należało sterować, stawał się oczywisty.

Bliżej, coraz bliżej - zadarty dziób niemal zrównał się z mołem i dalej ślizgał nieubłaganie przez szybko zwężający się pas wody. Jezu, ten szyper musiał mieć nerwy ze stalowego drutu. Ciągle

płynął do przodu starając się zrównać śródkręcie z główką nabrzeża, na której stał ów; częściowo wyremontowany dźwig. Z dziobu do skalistej krawędzi brzegu, która nawet bez ostrzeżeń radaru wywołałaby u mniej opanowanego żeglarza gwałtowną tęsknotę za kamizelką ratunkową, można było bez trudu sięgnąć splunięciem.

Crofts zeszywniał - ktoś biegł po wyszczerbionym molu, druga niewyraźna postać widniała na śródkręciu Wymach ramienia posłał zrzutkę nad wąskim pasemkiem wody, a potem z dziobowych prowadnic zaczęła pełznąć w stronę lądu ciężka cuma. Usłyszał delikatny brzęk metalu uderzającego o kamień, kiedy mocowano linę do jednego z pierścieni cumowniczych - tych tak podejrzanie wypolerowanych tarciami pierścieni. Potem rozległ się gwałtowny ryk pracujących przez chwilę pełną mocą silników i biała woda zakotłowała się pieniście, gdy obracające się śruby zaczęły pracować wstecz.

Jednostka okrążała kikut mola wykonując zwrot na napiętej cumie dziobowej i zataczając szeroki łuk rufą, aż wreszcie dobiła i zatrzymała się obok szkieletu starego dźwigu. Crofts z rozbawieniem usłyszał własny oddech ulgi. Choć nie był człowiekiem morza, w pełni zdawał sobie sprawę, że stał się właśnie świadkiem czegoś niemożliwego. Teraz mógł mieć nadzieję na rozwiązanie tajemnicy owego „próbego obejścia” Laury.

Ale nadzieja ta nie została spełniona. Gdy tylko ciemny intruz w końcu się zatrzymał, prawie natychmiast zaczął się znowu poruszać. Na cumie dziobowej okrążył molo i zaraz potem wyślizgnął się w stronę morza z tak samo zwodniczo niewymuszoną sprawnością. A przecież zdezorientowany Crofts był pewien, że nie nastąpiła żadna wymiana. Nikt nie zszedł z pokładu, nie przekazano żadnego ładunku, nawet paczki - nie zrobiono nic, co usprawiedliwiłoby podejmowane przez tajemniczą jednostkę ryzyko.

Po odpłynięciu na odległość pół mili statek powtórzył manewr. Zatoczył szeroki krąg i wykonał drugie podejście dokładnie takim samym kursem. Tym razem jednak płynął nieco szybciej - gładka jak szkło powierzchnia wody była raczej rozcinana niż rozpychana na boki, za rufą ciągnął się szerszy, bardziej skłębiony wachlarz połyskujących drobnych fal. Jacht kierował się prostym jak strzała kursem do maleńkiego wejścia w ten niewiarygodny przesmyk między skałami.

Wtedy właśnie Crofts zorientował się, jakim cudem załoga statku odważyła się na tak ryzykowny manewr. Tajemnicę rozwiłała poświata na dole - czerwony poblask osłoniętej latarki odbijający się na występie skalnym. Z zaciekawieniem zlustrował opadający gwałtownie w dół teren oddzielający go od morza i wykrył drugą poświatę zdradzającą starannie usytuowane drugie stanowisko naprowadzające Dwa skierowane w stronę morza światła, niewątpliwie obsługiwane przez Mearnsa i spółkę. Sternik zbliżającego się statku powinien utrzymywać je dokładnie w jednej linii - miał w ten sposób prowizoryczne światła nabieżnikowe wskazujące mu wejście do skalnej przystani przy kamieniołomach. Ale po co, do diabła?! Po co w ogóle] zawracać sobie głowę naprowadzaniem statku, jeżeli po jego przybyciu nic się nie dzieje? Statek podpłynął, zacumował, a potem natychmiast) znowu odbił. Następnie ponownie podpłynął, zacumował i... Te bezcelowe manewry wykonano ogółem pięciokrotnie. Za każdym razem nieco szybciej i nieco sprawniej - choć bez żadnego ostatecznego rezultatu. Przypominało to ćwiczenia wojskowe. Pozornie bezsensowne powtarzanie zadań taktycznych, w czasie których atakuje się pozycje przeciwnika, ale jest się pozbawionym satysfakcji strzelania do obrońców prawdziwymi pociskami. Po prostu ćwiczy się za każdym razem cholernie nudne próbne po... Próbne obejście?.. Próbne PODEJŚCIE! Do diabła, słowa, które Laura niewyraźnie dosłyszała! musiały tak właśnie brzmieć „Próbne podejście”! W

całej pełni odpowiadało to czynnościom, które tajemniczy statek wykonywał z pomocą małych ruchomych latarni morskich Harry'ego Mearnsa. To były ćwiczenia! Stanowiły przygotowania do prawdziwej akcji, miały zmniejszyć ryzyko i czas trwania operacji. Ale kiedy miała ona nastąpić? Leżał w ciemności i czekał jeszcze wówczas, gdy statek ostatecznie zniknął z pola widzenia. Odplynał na pełne morze kierując się na południe, być może w stronę Clyde. Crofts nie miał wprawdzie żadnych wątpliwości, ale mimo wszystko chciał się jeszcze upewnić, że to istotnie Mearns i „robotnicy rolni” trzymali latarki tam na dole. Przekonał się o tym Wkrótce. Rozpłynęli się w ciemności. Harry wyprostowany, jakby kij połknął, Bez troski i niezniszczalny jak zawsze, natomiast „synowie roli” wlekli się za nim zmęczeni i zziębnięci. Nie należeli do ludzi, jakich Crofts miałby kiedykolwiek ochotę zaangażować.

Odczekał jeszcze trochę. Mearns odbierał swoje lekcje sposobów przeżycia na tych samych okrutnych polach bitewnych co Crofts i wykształcił w sobie iście zwierzęcy instynkt. Było prawdopodobne, że zatrzyma się nieco dłużej, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Crofts poczuł, jak bardzo chciałby mieć przy sobie swoją beretkę. Nagle odniósł wrażenie, że jest nagi i bezbronny. Nie miał najmniejszych złudzeń, co Mearns z nim zrobi, jeżeli tylko zorientuje się, że ich obserwował. Wcześniejsze postanowienie rozpoczęcia pokojowego życia w zaistniałej sytuacji wydawało się nieco nie na miejscu. Teraz, gdyby nagle wszystko przybrało gwałtowny obrót, natychmiastowa reakcja Croftsa sprowadzałaby się do decyzji: „Najpierw zastrzelić skurwysynów, a potem przeprosić społeczeństwo”.

Miał właśnie zamiar się poruszyć, gdy z niewielkiej odległości dobiegł go ledwo słyszalny hałas. Był to grzechot kamieni przypadkowo strąconych z krawędzi zbocza do Przystani Kamieniołomów. Natychmiast zamarł w ukryciu i zaczął intensywnie wpatrywać się w mrok. Nieco później znowu wydało mu się, że usłyszał drugi, bardziej oddalony dźwięk, ale uznał, że mógł się pomylić.

Odwrócił się na plecy i leżał patrząc w niebo. Nie musiał się spieszyć i miał wystarczająco dużo do przemyślenia, by zapełnić sobie te wczesne godziny poranne. Na przykład ryba obdarzona myślącym mózgiem i syrena na dodatek. Można dodać do tego zmasakrowanego trupa jakiegoś Thomsona, zaciemniony statek i grupę szukających szczęścia najemników. A na dokładkę tajemniczego osobnika z lornetką na górskim zboczu i samoistnie latające kamienie...

Teraz zaś dodatkowe intrygujące odkrycie, że ktoś poza nim również obserwował próbną podjęcie do Tarvit.

Nie mógł powstrzymać się przed wątpliwością, czy Eric Harley istotnie śpi tak mocno, jak na przyzwoitego pijanego przystało. Chyba że to Laura cierpi na bezsenność...?

Kiedy późnym rankiem zszedł na dół, bardzo przekonywująco skacowany Eric przywitał go kwaśnym uśmiechem ale w jego głosie pobrzmiwały tryumfalne nutki:

- Niektórzy z nas są już na nogach od dawna. Whisky jest dla mężczyzn, a nie chłopczyków.
- Zamknij się i daj mi kawy - mruknął Crofts udając że fatalnie się czuje. Weszła Laura z koszykiem pełnym prania. Wcale nie robiła wrażenia, że całą noc spędziła na obserwowaniu wybrzeża. Uśmiechnęła się pogodnie.
- Dobrze spałeś, Michaelu?
- Jak zabity - wyszczerzył zęby Eric, który poczuł się o niebo lepiej. Potem zaczął wodzić łyżką po wzorku na obrusie i zapytał jakby od niechcienia: - Czy mówiłem coś ubiegłej nocy? Jakies głupoty?

Crofts osłonił oczy przed światłem.

- Myślisz, że coś z tego pamiętam?

- Co chciałbyś dziś robić, Michaelu? - spytała Laura. Skinął głową w stronę Erica gestem niechętnego szacunku.

- Proponuję, żebyście mnie traktowali jak gościa pracującego. Może farmer Giles potrzebuje pomocnej dłoni aby oczyścić to, co wymaga oczyszczenia?

- Nie - odparł Eric szybko, raczej zbyt szybko. - Nie, jedź i zwiedzaj Szkocję. Zabierz tę swoją bajerancką maszynę tam, gdzie jest jej miejsce - na krajobrazów szlak do Loch Ave czy gdzieś indziej. O nas się nie martw Crofts zgodził się ochoczo. Możliwość swobodnego poruszania się doskonale mu odpowiadała. Chciał dowiedzieć się tego i owego i wolał robić to sam. Odmowa Erica wcale go nie zaskoczyła - raczej nie spodziewał się, że Harley będzie go zachęcał do samotnego włóczenia się po gruntach Tarvit. Zresztą ulga malująca się w oczach jego przyjaciela była tego najlepszym dowodem.

- Dobra. A więc zabawię się w turystę. Słuchaj, Lauro, czy nie chciałabyś wziąć sobie wychodnego i przejechać się przyzwoitym samochodem?

Posmutniała.

- Nie mogę, Mikę. Bardzo bym chciała, ale obiecałam o drugiej otworzyć w zastępstwie pani MacLaren jej sklep z rękodziełem. Dokuczają jej stopy i musiała pojechać do pban na zabieg.

Crofts bacznie obserwował Erica. Chciał się przekonać, do jakiego stopnia Harleyowi, Mearnsowi i „chłopcom” zależało, by tego popołudnia uniknąć obserwacji.

- W takim razie może odłożylibyśmy wycieczkę do jutra - zaczął umyślnie zastanawiać się na głos. - Może tylko powłóczę się po najbliższej okolicy i poodycham powietrzem szkockich gór.

- Przecież możesz pojechać jutro jeszcze raz, prawda? - warknął Eric, wracając do pełnej nerwowego napięcia agresywności. - Po co masz się pętać tutaj, gdzie nie masz nic do roboty? Szkocja jest dość duża i nie zdołasz obejrzeć jej całej w jedno popołudnie!

Crofts udał, że nie zauważył pełnego niepokoju spojrzenia Laury i wzruszył pokornie ramionami.

- Chyba masz rację. Mało prawdopodobne, żebym zobaczył coś ciekawego koło farmy Tarvit. Co, Eric?

Zaparkował mercedesa nie opodal samotnej budki telefonicznej i spojrzął na zegarek. Była 11.25. Miał jeszcze prawie pół godziny do spędzenia, zanim ulegnie nielogicznej zachciance Pameli Trevelyan i zadzwoni do niej zgodnie z jej życzeniem. Pod warunkiem, że telefon nie padł do tej pory ofiarą wędrownych wandalii.

Zapalił lucky strike'a, wsunął kasetę Jamesa Lasta do szczeliny stereofonicznego odtwarzacza i siedział w samochodzie patrząc bezmyślnie w dół pustej ulicy stanowiącej główną arterię Auchenzie. Zaczął padać deszcz, a Crofts znowu zmagął się z zagadkami, które wyłoniły się przed nim ubiegłej nocy. Zaciemniony statek, precyzyjnie wykonane podejście, światła naprowadzające, które świadczyły o tym, że planowana akcja będzie miała miejsce w ciemnościach. Następne nasuwające się pytanie brzmiało więc: czy jednostka ta miała wyładować tu jakiś nielegalny ładunek czy też przyjąć go na pokład? jak ciężki i duży będzie ten ładunek? Czy tłumaczy to na przykład niespodziewany remont, któremu poddano stary dźwig na główce mola?

- O Boże! - jęknął nagle chwytając gwałtownie za kierownicę. Na końcu ulicy pojawiła się postać - niepokojąco znajomy kształt zmierzający w jego stronę z drapieżnym zdecydowaniem orki poszukującej łupu.

Kiedy rozglądał się próbując znaleźć drogę ucieczki poczuł ogarniającą go panikę. Niewiele było



zagrożeń którym Crofts in extremis nie stawiałby czoła z uniesioną głową i angielską odwagą, ale Szkocka Matka z Auchensis była jednym z nich.

# Rozdział IX

Gościnne schronienie hotelu „Caledonian” wabiło go śmiało się gromko promiennym uśmiechem, z przeciwległej strony ulicy. Crofts wyskoczył z samochodu i odpowiedział promiennie... pospieszył w ukrycie, unikając o włos o wiele mniej groźnego dlań w skutkach zderzenia z ciężarówką, która z rykiem przemknęła parę cali za jego plecami.

- Kiedyś ukatrupią jakiegoś bidoka - oznajmił ze współczuciem barman, gdy Crofts wpadł do pustej sali - Widziałem go przez okno. Te chłopaki z marynarki jeżdżą jakby byli na rajdzie Monte Carlo. Wypije pan szklaneczkę? Na uspokojenie nerwów, jeżeli pan ma to Glenfiddisch, podwójną - powiedział Crofts z uczuciem. - Te służbowe ciężarówki jeżdżą tędy chyba dość regularnie, prawda?

- Po drodze do Ardarroch. Na poligon doświadczalny.

- Doświadczalny...?

- Tak. Broni podwodnej. Nazywają to badaniami kontrolnymi. Miny, torpedy. Każda nowość, która wymaga Wypróbowania, wędruje do Ardarroch, żeby ci magicy mogli najpierw nimi popukać.

- Niech pan też wypije jednego - zaprosił go Crofts. - Wygląda na to, że wie pan dużo o marynarce.

- Odслужиłem w niej dwadzieścia dwa lata - odparł barman z odcieniem dumy w głosie. - Skończyłem jako bosman. Przede wszystkim na okrętach podwodnych. Teraz marynarka nie jest już taka jak dawniej.

- A co jest? - przytaknął Crofts posepnie. - Czy ten poligon doświadczalny jest daleko stąd?

- Jakieś piętnaście mil na północ. Może dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut samochodem.

- Pewnie próbują tam te wszystkie ściśle tajne sztuczki, co? Barman spojrzał na niego surowo.

- Pewnie jest pan kolejnym rosyjskim szpiegiem, co? Wpadają tu na wódkę po drodze do Ardarroch.- Ale ja się maskuję. Mylę wszystkich pijąc whisky.

- Slainte mhath! - wzniósł toast barman.

- Na zdrowie! - odparł Crofts i dyplomatycznie zmienił temat. Ale nie mógł przestać myśleć o zaciemnionym statku, wrócił się i spostrzegł wypisane na jej boku „Royal Navy”.

Zanim zadzwonił do Pamelii Trevelyan, musiał dłużyć w szczelinie automatu telefonicznego, żeby wyciągnąć dziesięciopensówkę, która utkwiała mu tam, kiedy telefonował wczoraj wieczorem. Najwidoczniej nikt od tej pory nie Wykrzesał z siebie dość energii, by spróbować wykorzystać tę jedyną więź Auchenzie z zewnętrznym światem. Gdy odezwała się centrala telefoniczna hotelu, włożył nową monetę i powiedział:

- Proszę połączyć mnie z panną Trevelyan. Pokój sześćset dziewięćdziesiąt dwa.

- Łączę, sir...

- Bardzo mi przykro, sir. Panny Trevelyan nie ma.

Crofts z oszołomieniem patrzył na kretyńskie malunki którymi zapaskudzona była budka i w

gruncie rzeczy To go nie obchodziło, czy rzeczywiście jej tam nie ma, odeszła i ona, gdzie mógłby jej szukać. - Czy ma pan zamiar zajmować tę budkę przez cały dzień? - To była Pamela.

Odwrócił się w jej stronę z groźnym wyrazem twarzy. Mówiłaś żebym zadzwonił w samo południe. - wzruszyła ramionami.

- Tylko w ten sposób mogłam się zorientować, gdzie mogę cię znaleźć. Gdybym cię poprosiła, nie pozwoliłbyś mi przyjechać, prawda?

- Prawda.

- A poza tym spóźniłeś się cztery minuty. Już mnie nie kochasz? Spojrzał na nią.

- Nie bądź niemądra. A spóźniłem się tylko dlatego bo w aparacie tkwiła moneta...

Przestał mówić, bo Pamela zaczęła chichotać. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że to on usprawiedliwia się przed nią. - W każdym razie nie możesz tu zostać, do licha - warknął. - Nie ma wolnego pokoju na farmie.

- Ale są w „Caledonian”. Całe mnóstwo. Już wzięłam jeden. Baggo jest bardzo miły.

Zamrugął oczyma, ponownie zbity z tropu.

- Baggo?

- Właściciel, pan Nialls. Służył całe lata w Marynarce Wojennej i dlatego tak go teraz nazywają - Baggo Niall.

Crofts przypomniał sobie barmana, który tak dobrze wiedział, co piją rosyjscy szpiedzy, i to przywiodło mu na myśl dość ponure sprawy. A ponure sprawy przypomniały mu Harry'ego Mearnsa i powód, dla którego on sam się zjawiał.

- Cóż, nie możesz zostać w Auchenzie - powiedział stanowczo. - Nie ma odwołania.

- Owszem, mogę - odparła Pamela z jeszcze większą stanowczością. - I od tego też nie ma odwołania.

Crofts znowu zamrugął, mruknął: - Och! - i poczuł się całkowicie bezradny. - Posłuchaj. Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale są pewne powody, dla których nie powinnaś tu przyjeżdżać. Bardzo poważne.

- Wiedziałam o tym. Masz jakieś kłopoty, prawda? Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie mam.

- W takim razie ma je twój przyjaciel Eric. I jak mogę sądzić po twoim zachowaniu, o to właśnie chodzi.

- Przecież już ci mówiłem, że je ma.

- Nie chodzi mi tu o zarząd banku czy zepsute traktory, Michaelu. To coś o wiele poważniejszego, prawda?

Znowu poczuł się schwyty w pułapkę. Miała niesamowitą intuicję. Musiała domyślić się tego jeszcze ubiegłego wieczoru, kiedy łągał jej przez telefon. Jak na młodą kobietę, była wyjątkowo spostrzegawcza - albo może to on był wyjątkowo złym kłamcą. Trochę jej ustąpił, ale tylko dlatego, że chyba nie miał innego wyjścia.

- Wplątał się w coś, co może okazać się nieco... nieprzyjemne. Słowo daję, nie wiem, co to takiego, ale nie mogę tak po prostu zignorować całej tej sprawy. Poza tym trzeba jeszcze mieć na względzie Laureę.

- Laureę...?

W jej głosie nie było zazdrości, lecz jedynie szczere przejęcie. Wiedział już, że przepadł z kretesem. W oczach Pameli Trevelyan płonąła stanowczość, która wymagała wyłącznie całkowitej

prawdy - inaczej teraz to ona zacznie szperać w okolicy farmy Den of Tarvit.

- Wszystko zaczęło się tego ranka w Londynie - uległ wreszcie. - Po tym, jak pożegnałem się z tobą, rzeczywiście wyrzuciłem beretkę. Ale później spotkałem faceta o nazwisku Simpson...

Zajął mu to dwadzieścia minut. Opowiedział jej o wszystkim - o Ericu, nieszczęsnej Laurze i Harrym Mearnsie, o Przystani Kamieniołomów i zadziwiających manewrach minionej nocy. Przekazał jej nawet pijackie zwierzenia Erica Harleya, ale uczynił to z pewną rezerwą, trudno bowiem rozmawiać poważnie o myślących rybach i syrenach. Nawet zażartował trochę na ten temat, ale nie robił tego mówiąc o Thomsonie. Nie można traktować lekko morderstwa, nawet jeżeli było ono częścią pijackich majaczeń.

Pam myślała tak samo. Był to jedyny moment w trakcie całego jego opowiadania, gdy nabrała gwałtownie powietrza.

Kiedy skończył, ujęła jego dłoń, uścisnęła ją lekko spojrziała na niego wielkimi niebieskimi oczyma.

- Dlaczego nie pójdziesz na policję, Michaelu? Dlaczego narażasz się na ryzyko, choć nie masz z tym nic wspólnego?

- A co mógłbym im powiedzieć? Poza tym... - zawahał się. Opowieści o zmasakrowanych zwłokach, mniejsza o to, w jak wielkim stopniu zmyślane, mimo wszystko go niepokoiły. - Nie wiem jeszcze, jak bardzo Eric jest w to Wplątany i czy jakieś prawo zostało złamane. Niech mnie diabli, jeżeli zaryzykuję wpakowanie go do mamra tylko dlatego, że mam niesprecyzowane przekonanie, iż ocali mu to życie.

- Masz więc zamiast tego zamiar węszyć dookoła czekając, aż wydarzy się ten wydumany przez ciebie akt przemocy? I będziesz oczywiście zbyt lojalny i głupi, by zwrócić się do kogoś o pomoc, choć w chwili, gdy zorientujesz się, na czym polega niebezpieczeństwo, może już być zbyt późno - i sam możesz zginąć?

- Przedstawiłbym to może nieco delikatniej - mruknął agresywnie. - Ale skoro chcesz ująć to w ten sposób - to owszem!

- Tak też sobie myślałam - stwierdziła pokornie Pamela. Sięgnęła za siebie, przeciągnęła nad oparciem torbę podróżną British Airways i położyła mu ją na kolanach.

- Dlatego właśnie ci to przywiozłam. To najbardziej praktyczny prezent, jaki zdołałam wymyślić w obecnej sytuacji. Jest nowiutki i z gwarancją na dwanaście miesięcy.

Otworzył niepewnie zamek błyskawiczny torby, jak zwykle zdezorientowany jej nagłą zmianą tematu. Dopiero gdy otworzył znajdującą się w torbie ciężką paczkę i zobaczył jej zawartość, przeżył największy wstrząs w swoim życiu.

- Jezu! - zawołał mimowolnie. Odkrył bowiem, że trzyma najbardziej śmiertelny, nie wspominając już o tym, że dość nietypowy i całkowicie nielegalny dowód miłości, jaki kiedykolwiek został komukolwiek ofiarowany. - samopowtarzalny walther Pl. Razem z dziesięcioma magazynkami amunicji.

- Skąd to zdobyłaś? - wykrztusił.

- To tylko niemiecki - powiedziała usprawiedliwiająco. - Nie mogłam w tak krótkim czasie zdobyć następnej beretty.

- Nie zmieniaj tematu! Skąd go wzięłaś?

- Przywiozłam go, bo poznałam już twój upór. Ale musisz mi obiecać, że użyjesz go tylko wtedy, kiedy będzie miało się stać coś strasznego i nie będziesz miał wyj...

Urwała gwałtownie, gdy Crofts schwycił ją za ramiona i potrząsnął ze ślełą wściekłością.

- Skąd... go... wzięłaś?! - ryknął.

- Od tatusia - wyszeptała cichutko.

- A skąd go wziął tatuś?

- On... on ma coś w rodzaju kontraktu na dostawę zaopatrzenia, Michaelu.

Crofts przestał nią potrząsać, a Pamela zamrużyła szeroko otwartymi, promieniejącymi niewinnością oczyma. Mój Boże, gdy tylko jej to odpowiadało, potrafiła wyglądać tak cholernie pokornie.

- Dostawca zaopatrzenia? Chcesz powiedzieć, że twój ojciec jest handlarzem bronią?

- Jest bardzo surowy w tych sprawach - zaprotestowała. - Robi wszystko wyłącznie na podstawie zezwoleń i prowadzi interesy tylko z rządami, które uzyskały aprobatę.

- Chyba że jego słodka Pamela ma ochotę podarować jeden czy dwa pistolety swemu przygodnemu znajomemu - mruknął. - Wtedy tatuś otwiera swój worek z prezentami i podaje jej walthera P1 jak torebkę landrynek.

- To nieprawda. Przecież trudno cię uważać za przygodnego znajomego - wydeła wargi Pam. - A poza tym musi mieć w domu specjalnie zabezpieczoną zbrojownię, żeby przechowywać w niej egzemplarze pokazowe. Ja tylko... no cóż, pożyczyłam sobie klucz.

Crofts pokręcił głową, patrząc z niedowierzaniem na pistolet.

- I pomyśleć, że kiedyś zażądałaś ode mnie, abym ci obiecał, że nie uczynię niczego, co mogłoby zagrozić demokracji - podczas gdy tatuś dla zysku z radością wysadziłby cały świat w powietrze.

Zerknęła na niego z ukosa łobuzerskim spojrzeniem.

- Mówiłam przecież, że przypadniecie sobie z tatusiem do serca.

Dopiero wtedy, gdy pomimo swego nieodwołalnego postanowienia, by być surowym, zaczął się śmiać, ostatecznie Wyszła na jaw cała szelmowska natura Pameli Trevelyan.

- Przywiozłabym ci porządny karabin maszynowy powiedziała z przeproszącą miną. - Ale obawiałam się że nie wpuściliby mnie z nim do samolotu. Na dobrą sprawę nie wiedział, co go skłoniło do takiej właśnie reakcji - po prostu czuł w jakiś sposób, że zasadnicze znaczenie dla jej bezpieczeństwa może mieć fakt, aby nikt w Auchenzie i okolicy nie wiedział o ich związku.

- Dokąd mnie wiesz? - zapytała po kilku minutach jazdy na północ, żeby cię wysłać prosto do domu.

- Mów poważnie - zaprotestowała, kreśląc bezwstydnie sugestywne wzorki na jego kolanie.

- Do Ardarroch.

- Baza Royal Navy, o której mówił ci Baggo? Po co? Czy sądzisz, że może to mieć coś wspólnego z Erickiem Harleyem?

- Zapewne nie. Ale nie mogę wymyślić nic innego, od czego mógłbym zacząć, a poza tym mam dzięki temu czas żeby się zastanowić, co z tobą począć.

Pam położyła mu głowę na ramieniu i zerknęła z ukosa przez kosmyki blond włosów.

- Wiem, co mógłbyś ze mną zrobić Gdybyś zatrzymał samochód.

Jestem głodna - poskarżyła się Pamela. Nie jadłam nic od czasu tego plastikowego śniadania w samolocie do Glasgow.

Przyglądał się uważnie mijającym witrynom sklepów i nagle zatrzymał się przy krawężniku.

- Tutaj jest coś w rodzaju herbaciarni. Dadzą ci przynajmniej jakąś kanapkę czy coś w tym rodzaju.

Jechali jeszcze przez jakiś czas i wreszcie pojawiło się. Weszli do środka. Niewielka kawiarenka wyraźnie cierpiała na zastój wynikający z tego, że sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, ale starsza pani uśmiechnęła się gościnnie zza szklanej gablotki wypełnionej ciastkami. Crofts zamówił kawę, a Pamela wybrała niesamowity zestaw sprzecznych z wszelką dietą słodczy i wielki dzbanek herbaty. Sprawiająca macierzyńskie wrażenie gospodyni przyniosła wszystko do stolika i powiedziała:-

Dodałam jeszcze kilka jęczmiennych placuszków, kilka owsianych ciasteczek.

Crofts uśmiechnął się i pokręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem.

Starsza pani wesoło machnęła ręką.

- Och, przecież to tylko młoda głodna dziewczyna, znikną, zanim się pan obejrzy. Pamela spojrzała na wciąż jeszcze wypełnioną gablotkę.

- Może będę musiała zjeść jeszcze trochę. Ale jak udaje się pani sprzedać je o tej porze roku?

- Proszę się nie martwić, do piątej ich już nie będzie - zapewniła ją starsza pani. - Wstępują tu miejscowi farmerzy po drodze z targu w Oban, wszyscy oni lubią słodczy. W tych dużych domach naokoło żyje wielu rencistów, a żony mężczyzn z bazy przychodzą koło czwartej kiedy odbierają dzieci ze szkoły, oznajmiająca „Królewskie Miasto Ardarroch” Wyglądało sympatycznie - czyste i zadbane, w niczym nie przypominało przemysłowego cementarzyska, które zadusiło Auchenzie.

- Dotarliśmy na miejsce - stwierdził Crofts ten dość oczywisty fakt. - Baza marynarki jest zapewne za miejscowością, z drugiej strony. Może podążamy w stronę najbliższego portu? Ma pani na myśli bazę Marynarki Wojennej? - Zapytał szybko Crofts. Była to nieoczekiwana okazja. - mieszkają tam również rodziny?

- Tak. Przeważnie pracowników cywilnych. Naukowców i różnych innych z ministerstwa. Ale nie widzimy ich często w Ardarroch. Mieszkają w państwowych domach na brzegu zatoki, a to kawał drogi, jeżeli nie jest się samochodem.

- Wygląda więc na to, że marynarki prawie się tu nie strzegą. - Pam widząc zainteresowanie Croftsa starała się podtrzymać rozmowę.

- Tylko wtedy, gdy prowadzą próby. Czasami słyhać z daleka wybuchy. No i śmigłowce. Są strasznie hałaśliwe, te śmigłowce, które przylatują, żeby zrzucić różne rzeczy oczywiście przetransportowywane ze Skandynawii, doświadczalne urządzenia do zatoki, wjeżdżające wielkie ciężarówki.

Kiedy wróciła do swoich zajęć za kontuarem, dopił kawę i spojrzał na zegarek. Była późna godzina, Niecierpliwie patrzył przez okno, czekając, aż Pam skończy jeść. Był zbytnim optymistą sądząc, że z przypadków rozmowy w herbaciarni dowie się czegoś interesującego. Miał też szczególne powody, aby znaleźć się w Den Tarvit w odpowiednim czasie. Szybki przejazd przed bramą bazy Royal Navy w Ardarroch i będą mogli się skupić bardziej na prawdopodobnych powodach zainteresowania Erica Harleya tym rejonem.

Podeszli do lady i poprosili o rachunek. Crofts zapłacił i odwrócił się w stronę drzwi, a właścicielka herbaciarni uśmiechnęła się do Pam.

- Mam nadzieję, że uda się wam pobyt. Pewnie jesteś z Anglii? Pamela skinęła głową.

- Owszem, z Londynu. Dziękuję za jęczmienne placuszki, były doskonałe. I prawdziwe szkockie owsiane ciasteczka na dokładkę.

- Jeden z policjantów, którzy w ubiegłym roku prowadzili tu śledztwo, powiedział dokładnie to samo. Też był z Londynu, jeżeli dobrze sobie przypominam.

Crofts zatrzymał się gwałtownie.

- Policjanci...?

- Tak. Było ich tu wielu i zadawali mnóstwo pytań. Wszyscy obcy, co do jednego. To nie byli ci panowie z baz]

- Musieli tu narobić zamieszania. Czy to było dawno temu?

- Chyba pod koniec lipca. Tak, to był lipiec, kiedy ten... och, no cóż, to należy powiedzieć... kiedy ten dziwny naukowiec nie wrócił ze swoich zagranicznych wakacji.

- Dziwny?

Starsza pani spojrzała surowo.

- Skarżono się w miasteczku, że spędza zbyt wiele czasu na rozmowach z małymi chłopcami. Tego rodzaju zachowanie nie jest właściwe dla dorosłego mężczyzny. Ale to nie powód przecież, żeby go zamordować. A w dodatku dopiero w połowie swojej grupowej wycieczki. W każdym razie tak mówiono. Crofts szybko zerknął na Pamelę. Zaczęła grzebać w torebce, starając się zyskać na czasie.

- Czy zanim pójdziemy, mogłabym prosić jeszcze ćwiartkę irysów?

Wrócił pozornie niedbałym krokiem do lady, podczas gdy właścicielka sklepu sięgnęła na półkę.

- Ten... hmm... naukowiec. Jak on się nazywał? Czy pani pamięta? - zapytał. Starsza pani marszcząc brwi spojrzała na wagę.

- Chyba Thomas? - Dołożyła jeszcze parę irysowych kostek i nagle uniosła palec gestem pełnym tryumfu. -, nie. Ten pan, o którego pytali, nazywał się Thomson.

Crofts spojrzał beznamietnym wzrokiem na pobladałą nagle Pamelę, ale jego myśli zaczęły wirować gwałtownie! Pijackie zwierzenia Erica Harleya. Thomson - nazwisko rzekomo zamordowanego homoseksualisty, który >pojechał zobaczyć „syrenkę”, pełen nadziei na nowy, wspaniały świat...

Tuż przed samym wyjściem zawahał się na moment.

- A przy okazji... Czy wie pani, w jakim rejonie Skandynawii został zamordowany ten Thomson, o którym, pani wspomniała? Jak pani myśli, czy to mogła być Dania? Na przykład Kopenhaga?

- Tak, sądzę, że to tam - odparła starsza pani bez namysłu. I dopiero gdy zamknął delikatnie drzwi za sobą, zawołała za nim: - Ale jakim cudem zdołał pan to odgadnąć?

Natrafili na wysokie ogrodzenie z siatki drucianej za miasteczkiem. Niemal natychmiast pojawiła się też w zasięgu wzroku biała tablica z czerwonymi literami: plao Tiomson

MINISTERSTWO OBRONY (MARYNARKA WOJENNA)

Tu zaczyna się TEREN STRZEŻONY

Osobom nieupoważnionym WSTĘP WZBRONIONY

Niestosujący się do zakazu

PODLEGAJĄ KARZE ARESZTU

Żadne z nich nie odezwało się w czasie jazdy. Znaczenie nieoczekiwanego potwierdzenia morderstwa dokonanego na człowieku o nazwisku Thomson nie uszło również uwagi Pam Trevelyan. Siedziała zamyślona, jakby uświadomiła sobie wreszcie po raz pierwszy, że zabawa w miłość i pistolety może przybrać kiepski obrót.

Po pokonaniu zakrętu znaleźli się przed bramą. Czerwono-białe szlabany zamykały wjazd z głównej drogi, krawężnik z pomalowanych na biało kamieni prowadził obok oszklonej budki strażniczej, a tuż za ogrodzeniem znajdował się większy budynek wartowni. Wszystkich

wjeżdżających na teren jednostki witała kolejna tablica, na której widniało godło Royal Navy oraz napis:

Ministerstwo Obrony (Marynarka Wojenna)

POLIGON DOŚWIADCZALNY BRONI PODWODNEJ ARDARROCH

Osoby wchodzące na teren jednostki proszone są o zgłaszanie się na WARTOWNI.

Nie widać było żadnych innych budynków, droga na terenie jednostki, opadając w stronę brzegu morza, znikła w głębi gęstego lasu. Nie widać było również nikogo z personelu Marynarki Wojennej - jedynie przed wartownią stał land rover w barwach Royal Navy, a dwóch potężnie zbudowanych policjantów z Ministerstwa Obrony (Crofts słyszał kiedyś ich niezbyt eleganckie przezwisko „burki ministerialne”) rozmawiało chroniąc się przed wiatrem za budką wartowniczą.

Miał jednak wrażenie, że jednostka Royal Navy w darroch wcale nie była tak bezbronna, jak mogło się to wydawać jakiemuś obserwatorowi z zewnątrz. Po prostu” takie były obyczaje Brytyjskich Sił Zbrojnych - także w czasach, gdy zagrażała możliwość ataku terrorystycznego: aksamitna rękawiczka okrywająca stalową pięść.

- Przejdziemy obok nich, a potem zawrócimy i pojedziemy z powrotem - postanowił Crofts. - Nie przypuszczam, żeby akceptowali czyjeś zbytnie zainteresowanie tym miejscem. Nawet jeżeli interesuje się nim ktoś tak ładny jak ty.

Nieco dalej odnalazł polną drogę i z trudem zawrócił mercedesa. Główna droga na północ była tu równie wąska jak koło Auchenzie, gdzie anonimowi ludzie zrzucali kamienie na innych. Nikt jednak nie zrzucił na nich kamienia w Ardarroch i wkrótce ponownie przedefilowali przed bramą.

Tym razem stał tam samochód, który prawdopodobnie jechał za nimi od chwili, gdy opuścili herbaciarnię, a teraz zakręcił w stronę wjazdu. „Ministerialny burek” podszedł do pojazdu i sprawdzał dokumenty podane przez kierowcę. Rzucił jedno wprawne spojrzenie na pasażera na tylnym siedzeniu i gestem ręki polecił jechać dalej, pod wartownię, gdzie dało się zauważyć pierwsze świadectwo obecności Royal Navy - starszego bosmana, który zgrabnie zsalutował i zrobił krok do przodu, by otworzyć tylne drzwiczki podjeżdżającego samochodu.

- To musi być ktoś ważny - stwierdziła Pam. Crofts kiwnął głową i kiedy mijali bramę, wykręcił szyję starając się zobaczyć możliwie jak najwięcej.

- Służbowy samochód i kierowca na koszt podatników. Doprawdy, bardzo ładnie...

Poderwał się nagle z okrzykiem: - Jezu! - i omal nie wjechał na zakręcie na krawężnik.

Pam pisnęła: - Uważaj, kochanie! - chwytając go z przerażeniem za ramię, gdy gwałtownie skręcił kierownicę.

Sprawdził w lusterku, że są już niewidoczni od strony bramy, a potem zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

Siedział bez słowa, patrząc niewidzącym wzrokiem prosto przed siebie. Pam spojrzała na niego, zaniepokojona jego wyrazem twarzy.

- Michael...? Co się stało?

- Jeszcze nie wiem - mruknął z napięciem w głosie.

- Ale przecież coś zobaczyłeś? Co to było?

Przez długą chwilę siedział nieruchomo, próbując jakoś uporządkować szybko następujące po sobie wydarzenia. Wreszcie odwrócił się i spojrział na nią.

- Wracasz do Londynu! Jeszcze tej nocy! - powiedział tonem, który nawet Pamela Trevelyan musiała uznać za nieznoszący sprzeciwu.



Jej oczy zdradzały, jak wielki wstrząs przeżyła. Przecież była już zupełnie pewna, że teraz, kiedy jego pierwsze oburzenie minęło, pozwoli jej zostać. Była jeszcze zbyt młoda i naiwna, by pogodzić się z myślą, że przemoc może z równą łatwością dosięgnąć i zniszczyć podobnych do niej zwyczajnych ludzi, jak najwyraźniej uczyniła to z pewnym człowieczkiem, który wybrał się na zbiorową wycieczkę po Skandynawii.

- Dlaczego? - zapytała na wszelki wypadek.

- Po pierwsze chciałbym, żebyś porozmawiała ze swoim tatusiem i zadała mu w moim imieniu jedno pytanie. Być może jest on osobą, która najlepiej zdoła na nie odpowiedzieć.

- A po drugie?

Tym razem unikał jej spojrzenia.

- Teraz zdaję już sobie sprawę, że Eric wplątał się w cholernie niebezpieczną aferę. I ja również nie jestem w stanie uniknąć w niej udziału, nawet gdybym tego chciał. Wygląda na to, Pam, że wszystko zostało zaplanowane tak, żeby mnie w to wciągnąć. Od samego początku.

- Ale w jaki sposób, Michaelu? Przecież musisz mieć jakieś podstawy, żeby tak uważać. Co takiego tam zobaczyłeś, że nagle nabrałeś takiej pewności?

- Rzeczywiście, zdobyłem taki dowód. Nareszcie znalazłem jedyny powód, dlaczego w niewinności swojej pojechałem odwiedzić Szkocję, a przede wszystkim starego dobrego Erica Harleya.

- Jaki? - szepnęła.

- To, co uważałem przed paroma dniami za „przypadkowe spotkanie” - warknął Crofts, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. - A ten powód siedział teraz na tylnym siedzeniu tamtego służbowego samochodu. Powód, który nazywa się Simpson, a mówiąc ściślej - komandor Edward Simpson z Royal Navy... który twierdził, że przeszedł w stan spoczynku.

# Rozdział X

- Nie chcę wracać do Londynu - powiedziała drżącym głosem, kiedy ponownie przejechali sympatyczną główną ulicą Ardarroch i Crofts ruszył z pełną szybkością drogą do Auchenzie.

- Ja też nie chcę, żebyś wracała - mruknął. - Ale mimo wszystko musisz.

- A czego takiego chciałbyś się dowiedzieć od mojego tatusia, że nie mogę zapytać go o to przez telefon?

- Chciałbym uzyskać parę ściśle tajnych informacji o charakterze obronnym. A tatuś, nawet twój tatuś, może mieć niejakie opory przed dwukrotnym łamaniem w czasie jednej rozmowy „Ustawy o tajemnicy państwowej”.

- Dwukrotnym...?

- Będziesz miała wystarczająco dużo kłopotów z przekonaniem go, żeby osobiście przekazał ci informacje, na których mi zależy. Nie jest przecież do tego stopnia szalony aby narażać swoje ministerialne kontrakty trąbiąc o nich przez ogólnie dostępne środki łączności.

- Jakie to informacje?

- Wszystko, co wie o Bazie RN Ardarroch, szczególnie zaś o wszystkich nowych rodzajach uzbrojenia, które tam są poddawane próbom.

- A na jakiej podstawie sądzisz, że tatuś ma dostęp do takich ściśle tajnych spraw?

- Jest handlarzem broni, prawda?

- Dostawcą wyposażenia wojskowego - poprawiła go Pam zaciskając z urazą usta.

- Wystarczająco poważnym, żeby stać go było na utrzymanie córeczki urządzającej wyprawy po zakupy z pięciogwiazdkowych hoteli w Londynie, i na rolls-royce'a z kierowcą. Musi wiedzieć o tych tajnych wynalazkach, które robią „bum”, tyle co premier. Mogę się założyć.

- Ale to wcale nie oznacza, że nawet jeżeli wie, to mi powie. Będzie chciał wiedzieć, po co mi te wiadomości są potrzebne, a ja będę mogła mu przekazać tylko to, co wiem od ciebie - i co samo w sobie jest wystarczająco zwariowaną historią. Nie ma wcale powodu mieć do ciebie zaufania, kochany - nie do tego stopnia.

- Jeżeli jest takim człowiekiem, za jakiego go uważam, to będzie miał. Zwłaszcza kiedy oddasz mu jego walthera i wyznasz swoje grzechy, okazując odpowiednią skruchę. A teraz zawiń ten pistolet i schowaj z powrotem do torby.

Spojrzała na niego z zatroskaniem. Jej dziecinna uraza już minęła.

- Ale skoro nie chcesz iść na policję, to chciałabym, żebyś miał go do obrony. Między innymi po to tu przyjechałam.

- I zatrzymałbym go - powiedział z płynącą z głębi serca szczerością. Pomyślał w tym momencie znowu o Mearnsie i paskudnej historii z Thomsonem, która najprawdopodobniej miała miejsce w Kopenhadze - gdybym cię nie kochał. Ale nie wzięłaś pod uwagę, że broń jest zarejestrowana na

nazwisko twojego taty. Gdybym musiał kiedykolwiek jej użyć albo nawet gdyby policja tylko znalazła ją przy mnie, tatuś byłby skończony w tej branży i prawdopodobnie i ty przy okazji! Mogę tylko mieć nadzieję, że będzie mi wdzięczny, bo ci o tym przypomniałem, i dzięki temu zaufa mi nieco bardziej.

- Jesteś bardzo mądry - powiedziała przytulając się do jego ramienia mimo całego rozczarowania, jakie czuła. - Wszystko to sobie wymyśliłeś, prawda?

Kiedy pojawiły się przed nimi szare kominy Auchenzie, uśmiechnął się cynicznie. Najemnicy w Szkocji - a w dodatku jeden z nich dziwnie niechętny. Statki w nocy, zbrojeniowy ośrodek doświadczalny, naukowiec o homoseksualnych skłonnościach zamordowany w innym kraju. I przypadkowe spotkanie w Londynie, które wcale nie było przypadkowe.

A Pamela Trevelyan sądzi, że wszystko to sobie wymyślił!

Chryste - Crofts chwilowo nawet nie był w stanie wyobrazić sobie, po co on sam został z premedytacją zwabiony na farmę Den of Tarvit.

Jak do tej pory.

Pozostawił Pam przed hotelem „Caledonian”, spoglądającą zagubionym wzrokiem w ślad za nim. On zaś z bólem w sercu skierował się w stronę Tarvit. Nie odważył się jednak wrócić razem z nią. Harry Mearns i „chłopcy” mieszkali tam również i choć nie przypuszczał, by znajdowali się w tej chwili na farmie, to jednak mimo wszystko nie chciał specjalnie reklamować jakichkolwiek swoich związków z Pam Trevelyan. Powiedział jej na pożegnanie:

- Idź i powiedz Baggo Jak-mu-tam, że musisz niespodziewanie wyjechać: choroba w rodzinie czy coś w tym rodzaju. A potem bierz taksówkę do Glasgow. Powinnaś zdążyć na popołudniowy samolot do Londynu... przepraszam, ale nie mogę sam cię zawieźć. Mam tu coś do zrobienia.

Przytuliła się do niego mocno.

- Coś... coś wisi w powietrzu. To ma się zdarzyć bardzo szybko, prawda?

- Zadzwoń do ciebie po informacje w sprawie Ardarroch. Jutro, nie wiem jeszcze o której - odparł, bardzo starając się być twardy i praktyczny, choćby tylko po to, by zapobiec łzom gromadzącym się w ukochanych niebieskich oczach. Ale nie udało mu się.

- Nigdy cię już nie zobaczę, prawda? - wyszeptwała na koniec. Oczywiście, że zobaczysz, głuptasie - potraktował z lekceważeniem tą obawę. Musieliby mnie chyba zabić, żeby...

- Głupi sukinsyn - warknął wściekle do siebie, skręcając mercedesem na dróżkę prowadzącą do farmy. Tak bardzo zależało mu na przedstawieniu jej napawającego otuchą obrazu „macho”, że nawet nie uświadomił sobie, iż dokładnie to właśnie miała na myśli - że zostanie zabity.

Mercedes zakołysał się na niewidocznym wyboju i Mikę zaklął ponownie. Zbliżał się właśnie do skraju wzniesienia, skąd droga zaczynała opadać w dół, w stronę starego kamieniołomu i morza. Spostrzegł wczoraj, kiedy Eric wiózł go po owym „wypadku”, że z tego miejsca rozpościera się widok na prawie całą farmę Tarvit.

Zjechał na bok drogi, wyłączył silnik i spojrzał na zegarek. Była niemal czwarta. Miał dobry pomysł, kiedy po wyjściu z herbaciarni w Ardarroch kupił sobie lornetkę. Pochylił się i wyciągnął ją ze schowka na rękawiczki, a potem wysiadł z wozu i szybkim krokiem podszedł do krawędzi wzniesienia. Tam położył się i poczołgał dalej, tak by jego sylwetka nie odcinała się na tle nieba.

Przez parę minut nie widział najmniejszego ruchu. Leżał i dokładnie przepatrywał wybrzeże oraz zaniedbane, zarosnięte janowcem tereny farmy, które Eric mógł przynajmniej wykarczować, ale najwyraźniej nie pomyślał o tym. Zaczynał być nieco rozczarowany. Harleyowi tak bardzo zależało

na tym, by pozbyć się go dzisiejszego popołudnia z Tarvit, że Crofts czuł niemal pewność, iż coś musi się zdarzyć.

Z namysłem opuścił lornetkę i zaczął obgryzać kciuk, myśląc o Simpsonie. To wszystko nie miało sensu. Nie miał teraz już najmniejszych wątpliwości, że spotkanie w Selfridges z tym piratem w meloniku na głowie było dokładnie Wyreżyserowane. Musiałby uwierzyć w zbyt wielki zbieg okoliczności zakładając, że zainteresowania Simpsona nie bezpośrednio wiązały się z wydarzeniami w Den of Tarvit. W przeciwnym razie po cóż byłoby to całe polowanie na niego? Z całą pewnością Simpson musiał być związany z tym, co działo się obecnie za ogrodzeniem poligonu Ardarroch. Dlaczego tak zależało mu na kłopotliwej dla Erica obecności Mike'a? Jeżeli Harley i Mearns przedstawiali sobą jakieś niesprecyzowane zagrożenie dla Royal Navy, to z pewnością Simpson mógł wezwać na pomoc całe siły bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii.

Chryste, a jeśli narażony był jakiś materiał z oznakowaniem „ściśle tajne”?! Ale jedno słowo do Ministerstwa Obrony i Simpson mógłby mieć do swojej dyspozycji Royal Marines, SAS, kompanię czołgów, a na dodatek dywizjon myśliwców. Po co więc był mu potrzebny Crofts?

Nagle od strony starego lotniska dostrzegł jakiś ruch! Schwycił lornetkę i nastawił ją w samą porę, aby zobaczyć, jak land rover Erica Harleya wyjeżdża zza wieży kontrolnej i jedzie bezdrożem w stronę morza i Przystani Kamieniołomów. Siedziało w nim pięciu ludzi, niewątpliwie, grupa uderzeniowa z Tarvit. Crofts widział zbyt wielu pasażerów transporterów opancerzonych, by nie rozpoznać sztywnej postawy siedzących z tyłu land rovera ludzi. Mieli przy sobie broń. I to zapewne nie taką, z jakiej korzystali szkoccy ziemianie, aby ustrzelić jakiegoś bażanta.

Obserwował beznamiętnie postacie opuszczające rover; i znikające w przystani. Jeden człowiek, chyba Mearns został na straży przy pojeździe. Potem tamci zjawili się ponownie i skupili na szczycie urwiska wokół starego wyciągu, który obecnie, podobnie jak dźwig na nabrzeżu, sprawiał wrażenie ponownie przygotowanego do użytku.

Cała grupa pracowała równo do chwili, gdy długi, nieokreślony ciężar wyłonił się podciągnięty z dołu na linie. Następnie, jakby wykonując starannie przećwiczone czynności, obrócili dźwig umieszczając ładunek z tyłu land rovera, wskoczyli do wozu i ruszyli w stronę wieży kontrolnej lotniska.

Powtórzyli tę operację jeszcze trzy razy, odwoząc potem ładunek z powrotem do przystani. Po to, by znowu przetransportować go do wieży. Za każdym razem podróż zajmowała im coraz mniej czasu. Crofts wiedział, że jest świadkiem kolejnej próby, ćwiczenia w wojskowym stylu, i pomogło mu to dopasować jeszcze jeden fragment do łamigłówek zwanej Auchenzie. To, co miało zostać przetransportowane, będzie długie, najprawdopodobniej cylindrycznego kształtu - i cholernie ciężkie!

Na przykład jak...

- Michael? To ty, Mike? Crofts wykrztusił:

- Jezu! - i z przerażeniem przetoczył się na plecy.

Laura Harley patrzyła na niego z niepewnie, nieco komicznie uniesionymi brwiami. Jego zmysły musiały być niebezpiecznie przytępione, skoro nie dosłyszał, jak nadchodzi.

- Padnij, na litość boską!

- Mike!?

- PADNIJ!

Kucnęła, przyglądając mu się z lękiem, ale nie mógł ryzykować, że ich zauważą właśnie tutaj.

Zespół z Tarvit akurat opuścił wieżę kontrolną, najprawdopodobniej zadowolony z rezultatów, z tyłu pojazdu bowiem nie było już ładunku. Odwrócił się i spojrzął przez lornetkę. Zobaczył, że znikają w kierunku farmy. I wtedy właśnie nieostrożny błysk szkieł na zboczu znowu zwrócił jego uwagę.

- Wracalam do domu od pani MacLaren. Przyjechała z Oban wcześniej, bo lekarze chcą, żeby zgłosiła się ponownie jutro na niewielką operację - i obiecałam jej, że znowu otworzę sklep w jej zastępstwie. Eric miał mnie zabrać dopiero o szóstej, więc postanowiłam, że pójdę na piechotę. Na co patrzyłeś, Mike? Czy ma to coś wspólnego z Erikiem?

Nie odpowiadał przez chwilę, uważnie oglądając przez lornetkę zbocze za ich plecami. W końcu skinął głową i odparł:

- Tak.

Poczuł się jeszcze bardziej poirytowany, nie mógł bowiem odszukać postaci tego kogoś, kto jego właśnie obdarzył identycznym nieustającym zainteresowaniem, z jakim on obserwował poprzednio dziwne poczynania najemników.

Odczekali kilka minut. Była prawie piąta. Wreszcie odczołgał się do tyłu, tak że nie mógł już być widoczny na tle nieba, potem wstał i skierował się z powrotem do samochodu. Laura niepewnie podążyła za nim.

- I co teraz, Mike?

- Chciałbym przyjrzeć się staremu lotnisku. I usunąć mercedesa z drogi. Jeżeli Eric pojedzie po ciebie, może pojawić się tam w każdej chwili... Albo nawet Mearnt i spółka, wracając na kwatery. Jazda okrężną drogą byłaby w ich przypadku czymś zupełnie zrozumiałym.

- Chcę pojechać z tobą.

- Nie ma potrzeby. Najprawdopodobniej nie będzie tam nic więcej do oglądania, a poza tym Eric może być wcześniej w domu - i zacznie się zastanawiać, gdzie przepadłaś.

- Mimo to chcę iść z tobą. Nie mam już dłużej zamiaru chować głowy w piasek.

Popatrzył na nią w zamyśleniu. Zdecydowanie widoczne w oczach Laury sprawiło, że postanowił jej nie odmawiać. Poza tym zresztą miał paskudne przeczucie, że wkrótce bez względu na to, czy spodziewa się tego czy nie, jej głowa zostanie wyszarpięta z piasku.

- Wsiadaj - powiedział. - Najwyższa pora porozmawiać.

Rozmowa, którą przeprowadzili w czasie, gdy jechali ostrożnie w stronę wieży kontrolnej wyboistą, zarośniętą zielskiem drogą, była spokojna i bez żadnej zgrywy. Powiedział jej wszystko - nawet o Pameli Trevelyan i swoich uczuciach do tej tak wyrafinowanej i narwanej dziewczyny. Poruszając ten szczególny temat, kątem oka obserwował Laurę z pewnym niepokojem, ale okazała jedynie szczerzy zachwyty, zmacony być może jedynie odrobiną smutku. Musiała bowiem uświadomić sobie, że dla niej i Erica dawno już minął czas, kiedy zaufanie było częścią składową również ich miłości.

Nie mówił jej tylko o nieszczęsnym naukowcu z ministerstwa, Thomsonie. Był to jedyny temat, który starał się pominąć milczeniem. Jak bowiem mógłby powiedzieć jakiegokolwiek kobiecie, że jej mąż związany był, choćby pośrednio, z morderstwem?

Dopiero gdy podjechali do zniszczonej wieży i zakończył swoją opowieść nie dodając żadnego komentarza, powiedziała cicho:

- Chyba wiem, kiedy ma się to zdarzyć, Mike.

Cokolwiek to jest. Crofts spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Wiesz?

- Dzisiejszego ranka, po twoim wyjeździe mieliśmy koszmarną sprzeczkę. Eric udawał, że chciał mi zrobić niespodziankę. Dał mi bilet na pociąg do Londynu i powiedział, że zamówił mi hotel - abym mogła spędzić tam parę dni robiąc zakupy i odpoczywając. Załatwił nawet bilet do teatru - wszystko. Powiedziałam mu, że nie wyjadę, dopóki ty tu będziesz. Że byłoby niewybaczalnym święństwem, gdybyśmy cię w ten sposób wygonili za drzwi po tylu latach znajomości.

- I co ci odpowiedział?

- Że tak czy owak jutro wyjedziesz - odpowiedziała beznamiętnie. - Ma zamiar powiedzieć ci dziś wieczorem, że chce zerwać wszystkie więzy z przeszłością. I ze wszystkimi, którzy się jakoś z nią wiążą.

- To powinien zacząć od Harry'ego Mearnsa - mruknął Crofts. - Wtedy może bym mu choć trochę uwierzył.

- Nie wiedziałam nawet, że Mearns był również najemnikiem - dopóki mi tego nie powiedziałaś. Czułam tylko, że go nie lubię. Mnóstwo martwych żołnierzy zgodziłoby się z tym uczuciem, pomyślała z wściekłością Crofts. Ale nie powiedział tego na głos.

- Na kiedy kupił ci ten bilet?

- Na piątek. Na sliping z Glasgow.

A więc pozostały dwa dni. Popatrzył ponuro przez przednią szybę na betonową wstęgę popękanego i zarośniętego pasa startowego. Kiedy wczoraj wieczorem pobieżnie go oglądał, nie zwrócił uwagi, że jego skierowany na zachód fragment prowadził prosto na krawędź urwiska i dalej nad morze, mniej więcej nad Przystanią Kamieniołomów. W swej nieodwołalności przypominało to start z pokładu lotniskowca... Kiedy się już zaczęło rozbieg, kraniec pasa był zbyt blisko, żeby się wycofać. Ilu pilotów siedziało dokładnie w tym miejscu tuż przed startem, oceniając swoje możliwości przeżycia następnych paru sekund?

- Lauro...? - zmarszczył nagle brwi - czy na wiosnę w Szkocji krzaki nie powinny być nieco bardziej zielone?

Spojrzała na niego. Michael wyszedł już jednak z samochodu i wędrował na czworakach, z całkowitym brakiem szacunku dla naturalnego środowiska odgrzebując korzenie wszystkich większych drzewek rosnących na opuszczonym pasie startowym byłego dywizjonu 814 Lotnictwa Ochrony Wybrzeża.

- Wszystkie zostały wykopane - stwierdziła Laura parę minut później. - Każde w miarę spore drzewko i krzaczek na pasie startowym zostało wykopane, a następnie wsadzone z powrotem w ziemię. I to w ciągu paru ostatnich dni.

- A większe szczeliny zasypano - dodał Crofts. Otworzył dłoń i wysypał z niej garść spulchnionej ziemi. Była wciąż jeszcze wilgotna. Chyba dopiero dziś po południu.

- Spodziewają się samolotu, prawda? - zapytała na wszelki wypadek. Musiał się uśmiechnąć. Cóż, było to dość oczywiste!

Zaczęła spoglądać z niepokojem w niebo, jakby spodziewając się, że samolot wkrótce nadleci.

- Nie tak od razu. Przyleci w nocy. Tuż nad powierzchnią morza, żeby uniknąć radaru - uspokoił ją.

- Po co więc najpierw oczyścili pas, a potem umieścili to wszystko z powrotem?

- Bo ponowne oczyszczenie zajmie im zaledwie kilka minut - i najprawdopodobniej po odlocie nocnego gościa wetkną to wszystko z powrotem. Robiliśmy coś podobnego w dżungli. Taki natychmiastowy pas startowy, który prawie przez cały czas pozostaje zamaskowany.

Laura rozejrzała się wokoło po opuszczonym lotnisku. Znowu panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie brzęczeniem owadów i słabymi krzykami mew. Zadrżała nagle.

- Byłam tu kilka razy tuż po przyjeździe, kiedy wszystko na farmie było taką podniecającą nowością. Ale to miejsce mi się nie spodobało - ma się niemal uczucie, że słyhać szept... duchów, które są nie do końca duchami.

- Nie do końca duchami...?

- Pochodzą z niezbyt odległej historii. Z martwej przeszłości, jednak nie dość jeszcze odległej, aby rozproszyć wszystkie emocje i uczucia - strach, miłość i rozczarowanie - których każda baza lotnicza w czasie wojny musiała być świadkiem.

- To było czterdzieści lat temu. Czy duchy istotnie mogą przemawiać aż tak długo? - zapytał skonsternowany Michael.

- Ja sama istniałam już czterdzieści lat temu. Byłam dzieckiem - oboje byliśmy dziećmi! Teraz jestem w średnim wieku. Być może to miejsce przypomina mi mnie samą, sprawia, że nazbyt dokładnie uświadamiam sobie, że ja też jestem śmiertelna.

Crofts przysunął się do niej, uświadamiając sobie jej fizyczną obecność i to, że jej dyskretny erotyzm wyzwała w nim reakcje dużo silniejsze, niż mogłaby wywołać Pamela Trevelyan - przynajmniej dopóty, dopóki również nie stanie się dojrzałą osobą.

- Wiesz, zawsze chciałem, żebyś wyszła za mnie, a nie za tego paskudnego żołnierzyka - powiedział lekkomyślnie. - Do diabła, w dalszym ciągu mam na to ochotę, bez względu na to, czy uważasz się za kobietę w średnim wieku, czy nie!

Laura spojrzała mu w oczy z niewymownie czułym smutkiem.

- Masz teraz kogoś innego. A ja wciąż kocham Erica, Michaelu. Proszę, uratuj go.

- Do licha! - mruknął Crofts kierując się w stronę ziejących pustką drzwi wieży kontrolnej. - Zawsze jesteś taka cholernie praktyczna!

Rdzewiejący pług stał jak przedtem. Obok nadal leżały zwoje starego drutu, siano... jedynym nowym elementem był kawałek rury kanalizacyjnej.

Crofts spojrzał na nią uważnie. Miała mniej więcej sześć stóp długości - był to wzrost dorosłego mężczyzny - lecz jej obwód był taki, że człowiek ukryty w jej wnętrzu byłby bardzo ściśnięty - i zapewne również bardzo martwy! A więc jakie mogła mieć zastosowanie? Doszedł do wniosku, że właśnie ta cylindryczna atrapa była przed godziną obiektem tak czulej troski najemników - świadczyły o tym połyskujące zadrapania pozostawione przez stalową linkę mocującą.

Końce rury zostały zamknięte niezbyt starannie dopasowanymi drewnianymi kręgami. Z trudem uniósł jeden jej koniec i spróbował oszacować ciężar. Była ciężka, wystarczająco ciężka, aby do jej przeniesienia na niewielką nawet odległość trzeba było przynajmniej czterech mężczyzn. Kiedy opuszczał ją z powrotem, zajrzał w szparę między żeliwnym korpusem rury a drewnianym czopem. Wyglądało na to, że rura została wypełniona zwykłą, całkowicie niewinną ziemią.

A więc było to tylko kolejne ćwiczenie. Wykonana naprędce atrapa zastępowała prawdziwy obiekt. Potem na jej miejscu znajdzie się na przykład zasobnik z jakąś nieznaną zawartością... może narkotyki? Ale jeżeli jego przypuszczenie jest słuszne, to dlaczego mieliby przywozić je tu statkiem, żeby natychmiast wywieźć samolotem? Jeżeli tak właśnie wyglądał ich plan.

Potem połączył to znowu z bazą RN Ardarroch, Simpsonem i pierwszym przypuszczeniem, które przyszło mu na myśl, gdy w szklach jego lornetki pojawił się ten wydłużony ładunek podciągany na dźwigu w Przystani Kamieniołomów. I nagle już wiedział, co miał zastępować ten zardzewiały

kawał rury.

- Wiesz, Lauro, chyba się już domyśliłem, co to ma być.

Laury już jednak obok niego nie było. Najwyraźniej czuła się wciąż nieswojo w tej cuchnącej mrocznej ruinie i wyszła na zewnątrz. Wyprostował się i otrzepał ręce z poczuciem, że nieco przybliżył się do prawdy.

- Mike! O Boże... MIKE!

W jej stłumionym krzyku brzmiało przerażenie. Obrócił się gwałtownie, czując, jak serce podchodzi mu do gardła mdlącym przeczuciem nieszczęścia, podbiegł do drzwi i zamarł w bezruchu. Stał, wyraźnie widoczny na tle czarnego prostokąta, stanowiąc doskonały cel oświetlony zachodzącym słońcem, bez cienia szansy na wykonanie następnego kroku. Jego trzydzieści lat nauki sposobów przeżycia na rozmaitych polach bitewnych narzuciły mu jedyną możliwą reakcję... całkowity bezruch.

Tkwiał w miejscu jak sparaliżowany. Ale jednocześnie próbował ocenić możliwość wykonania jakiegokolwiek dalszego ruchu.

Przed nim znajdowało się sześciu ludzi. Wszyscy ubrani w bezosobowe mundury polowe koloru khaki, wszyscy zamaskowani, w czarnych wełnianych kominiarkach tak lubianych przez kochające anonimowość paramilitarne zwierzęta. Trzech klęczało z wycelowaną bronią - jeden z nich trzymał hiszpański pistolet maszynowy star Z-62 wymierzony między oczy Croftsa, drugi - pistolet maszynowy czeskiej, a może polskiej produkcji, skierowany w jego pierś, a ostatni - absolutnie niewyrefinowaną dubeltówkę z obciętymi lufami, która mimo to stanowiła najbardziej mrozący krew w żyłach środek perswazji, zwrócony dość niedbale w stronę Michaela... Na dobrą sprawę ta broń wcale nie wymagała jakiegoś szczególnie starannego celowania.

Dwaj następni mężczyźni przewrócili Laurę i teraz przy ciskali jej rozkrzyżowane ramiona i nogi do betonu pasa startowego ze zdyscyplinowaną brutalnością, która przeraziła Croftsa bardziej niż jakieś niezgrabne próby gwałtu.

Szesty mężczyzna nawet nie spojrział w jego stronę Powoli, z rozmysłem, sięgnął do tyłu i wyciągnął z pochwy myśliwski nóż o ośmiocalowej klindze. Ukląkł, rozsunał zamek błyskawiczny czystutki błękitnego anoraka Laury Harley i wsunął ostrze pod obcisłą bluzkę, tuż pod łukiem wygiętej ku górze klatki piersiowej uwięzionej kobiety.

Dopiero wtedy odwrócił głowę i popatrzył na Croftsa. Jego oczy w wycięciach kominiarki przypominały wąskie szpary, czarne kawałki lodu połyskujące szyderczą obietnicą. A gdy jego palce zacisnęły się mocniej na rękojeści noża, uśmiechnął się. Był to obramowany wełną złośliwy grymas zapowiadający wszystko co najgorsze.

- Nie! - wykrztusił Crofts. - Na litość boską, NIE!!!

Laura zaczęła pojękiwać i wić się, szaleńczo próbując uwolnić się z obezwładniających ją rąk. Teraz Wełniani Faceci uśmiechali się już wszyscy z oczekiwaniem pełnym pożądlivosti, a ich skierowana w stronę Croftsa broń kołysała się niemal niedostrzegalnie, jakby zapraszająco, podczas gdy palce na spustach pokonywały pierwszy opór...

Crofts uznał, że nie pozostało mu nic innego, tylko umrzeć. Usłyszał swój pełen nienawiści ryk docierający do niego słabo, jakby przytłumiony przez pajęczynę koszmaru:

- Wy SKURWYSYNYYYY!

Kiedy rzucił się do przodu, w przedostatnim momencie swego pełnego zapamiętania samobójczego gestu, nóż tamtego faceta błysnął, przesuwał się wzdłuż i do góry, rozcinając pasek,



bluzkę i bieliznę. Laura wrzasnęła cofając się, gdy ostra jak skalpel klinga obnażyła jej wygięty ku górze mlecznobiały tors. Napastnik rozbierał Laurę nawet jej nie dotykając, plugawiąc ją jednak samą bezgraniczną lubieżnością tego czynu.

Crofts zorientował się, że jest siedmiu zamaskowanych mężczyzn dopiero w chwili, gdy wymierzona z boku kolba karabinu trzymanego przez niewidocznego napastnika wyrznęła go w pachwinę. Ciągłe był ogarnięty bojowym szaleństwem, wciąż zataczając się szedł na oślep, by przyjść Laurze z pomocą, kiedy kolba trafiła go ponownie.

# Rozdział XI

Crofts, całym wysiłkiem woli zaciskając powieki, leżał i czekał, aż ból i mdłości nieco się zmniejszą.

Dręczyła go wyobrażenia, przewijające się przez nią obrazy tego, co mogło się zdarzyć z Laurą. Boże, przecież nawet teraz, kiedy zwleka z otwarciem oczu, mogą wciąż ją gwałcić. Ale jednocześnie nie dochodził go żaden dźwięk, który uzasadniałby taką obawę - tylko krzyki krążących mew i rytmiczny szum morza”. Ich szansę przeżycia musiały być odrobinę większe, niż początkowo sądził - w przeciwnym razie byłby już martwy. Napastnicy stanowili bardzo zdyscyplinowaną grupę i każdy z nich był zawodowcem, specjalistą we władaniu bronią. Wystarczyłby jeden amator, którego palec w chwili paniki przezwyciężyłby pierwszy opór spustu i Crofts, zanim zdążyłby zrobić drugi krok, rozleciałby się jak krwawa bańka mydlana.

Kim oni są? Skąd się wzięli? Stojąc w obramowaniu framugi drzwi, spostrzegł wiele w ciągu tych jakby zatrzymanych w czasie chwil. Miał całkowitą pewność, że Mearnsa ani żadnego z jego trzech rekrutów wśród nich nie było. Czy oznaczało to, że pojawiła się nowa, najwyraźniej niezależna siła, dodatkowo komplikująca zagadkę Auchenzie? Zaprzestał bezowocnego zgadywania i otworzył oczy. Laura siedziała, obserwując go z odległości zaledwie kilku jardów. Była pochylona do tyłu, swój błękitny anorak trzymała niemal niedbale - zupełnie jakby to już nie miało znaczenia - ściągnięty na piersi. Przeżyty szok wciąż jeszcze był widoczny w jej apatycznym spojrzeniu, ale cała uwaga zwrócona była wyłącznie na Mike'a.

Pozostali byli tam również. Wciąż zamaskowani, wciąż patrzący na nich z pogardliwą pewnością siebie uzbrojonych ludzi, uważających się za lepszych od innych. Postawa ich nie była już jednak tak groźna. Broń trzymali swobodniej, jakby lekceważąc zagrożenie z jego strony. Dopiero kiedy spróbował się ruszyć, zrozumiał, co było tego powodem. Jego ręce i nogi zostały starannie związane zardzewiałym drutem.

Kiedy tylko spostrzegła, że jest przytomny, spróbowała się podnieść, ale mężczyzna, którego Crofts uważał za przywódcę, przyłożył klingę swego cholernego noża do jej karku i Laura cofnęła się z cichym mimowolnym jęknięciem.

- Co ci zrobili, Lauro? - zapytał bardzo spokojnie. Jej głos drżał, ale słychać w nim było wyzwanie.

- Nic, Mikę. Nawet mnie nie tknęli.

Oparł się o ścianę wieży kontrolnej i znowu zamknął oczy czując jedynie wszechogarniającą ulgę... i jeszcze większe zdezorientowanie.

Kopniak sprawił, że ponownie uniósł powieki i spojrzał wściekłym wzrokiem na człowieka z nożem. Oczy w czarnych szczelinach odpowiedziały beznamiętnym spojrzeniem.

- Ta kobieta ma dobre ciało, Crofts. Nietrudno by mi było namówić moich kolegów... żeby

nacieszyli się jej wdziękami w nieco większym stopniu.

A więc znali jego nazwisko. Ale bezosobowy zwrot „ta kobieta”... Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że Laura jest żoną Erica Harleya? Crofts z całej siły starał się opanować wściekłość: nie można tracić spokoju w obecności takiego sukinsyna jak ten. W każdym razie nie więcej niż raz. Musi słuchać i próbować dowiedzieć się jak najwięcej. Na przykład ten mężczyzna mówił z... czyżby to był amerykański akcent? I coś jeszcze - jakaś precyzja wymowy zabarwiona leciutkim wahaniem, jakby angielski nie był jego ojczystym językiem.

- Przedstawiłeś swoje argumenty - mruknął. - No przekaz teraz polecenie!

Otoczone wełnianą włóczką usta rozchyliły się nieco, ale nie było w tym cienia wesołości.

- Polecenie brzmi: „Wyjedziesz z Auchenzie, Crofts...” - Znowu to samo - nieuchwytna, jakby europejska wymowa. „Ch” w słowie Auchenzie brzmiące jak twarde „k”... - Mówiąc dokładniej, musisz opuścić Szkocję na dobre. Odjedziesz po cichutku, nie zwracając niczyjej uwagi...

- A dlaczego mam to zrobić?

- Czy naprawdę masz tak wielką ochotę dowiedzieć się, co możemy zrobić z twoją kobietą? - zapytał niemal obojętnie tamten. Uniósł dłoń obciążoną skórzaną rękawiczką i natychmiast dwaj mężczyźni przewrócili Laurę i ponownie przycisnęli jej ramiona do ziemi. Wrzasnęła, szarpiąc się konwulsyjnie, podczas gdy trzeci klęknął nad nią.

- Nie! - ryknął Crofts. - Przecież słucham, do diabła!

Przywódca wzruszył ramionami, opuścił dłoń i wtedy puścili ją. Zaczęła łkać, a Crofts zorientował się, że on sam też dygocze i nie może przestać. Ale przy okazji dowiedział się czegoś jeszcze. Gdy tamten uniósł rękę, Crofts zauważył niedającą się pomylić z żadną inną niebiesko-białą blizną, która pozostaje na całe życie po oparzeniu chemicznym środkiem zapalającym. Często widywał takie szramy: w Wietnamie, szczególnie po komunistycznej stronie strefy zdemilitaryzowanej po ataku napalmowym USAF.

- Nie dbasz o jej dobre samopoczucie, Crofts. Obiecuj, że wyjedziesz najpóźniej jutro o tej porze. Poza tym nie powiesz Harleyowi ani słowa o tym, co się tu wydarzyło. Nie powiesz też nikomu i nigdy ani o tym wydarzeniu, ani o istnieniu naszej grupy. Czy słyszysz mnie dobrze i wyraźnie, Crofts? Żeby nie było potem wykrętów i tłumaczeń, że; zaszło nieporozumienie.

- Tak! - odparł Mikę. Było to zaskakująco łatwe, zupełnie jakby jego nienawiść czyniła kłamstwo czymś o wiele bardziej prostym.

- Dobra - skinął głową przywódca. - Bo jeżeli uznasz za stosowne zlekceważyć ostrzeżenie, znajdziemy was oboje bez względu na to, gdzie się ukryjecie. Ale następnym razem, kiedy moi towarzysze z nią skończą, Crofts, ta kobieta będzie tylko kawałkiem mięsa - zgwałconym, bezmyślnym mięsem. A ty staniesz się po prostu nienadającymi się do identyfikacji zwłokami.

Laura była fantastyczna. Och, oczywiście płakała po tym, jak Wełniani Faceci rozplłynęli się w krajobrazie i gdy usiłowała rozplątać drut owinięty wokół jego przegubów. Przytuliła się na chwilę do Croftsa, gdy masował ręce przywracając krążenie krwi i kłął z wściekłością. Wreszcie pociągnęła nosem i z niezwykle dzielnym wyrazem twarzy zaczęła upychać i podwiązywać swoje pocięte ubranie. Potem spojrzała na zegarek i powiedziała cicho:

- Już prawie wpół do siódmej. Eric będzie się o nas martwił. - Zupełnie jakby to była najważniejsza rzecz, jaka zdarzyła się tego dnia.

Opamiętał się, uświadamiając sobie nagle swój brak należytego zainteresowania jej osobą.

- Czy jesteś całkowicie pewna, że dobrze się czujesz? Nie jesteś zbyt zdenerwowana, żeby

wracać już do domu? Opuściła wzrok, ale głos miała równy i spokojny:

- Czuję się poniżona, zakłopotana. Mam wrażenie, że jestem brudna i bardziej przerażona, niż sądziłam, że jest to możliwe - ale nie wolno pozwolić mi sobie na luksus hysterii, Mike. Ten potwór powiedział, że Eric nie może się dowiedzieć o tym, co mi zrobili - nam zrobili - i nie dowie się, przynajmniej ode mnie.

- Och, mam w nosie Erica! - zawołał z pasją Crofts. - Najwyższa pora spojrzeć prawdzie w oczy i zastanowić się, co począć z tobą.

- Nie! - zawołała Laura z mocą, która go przerażała podkreślała bowiem bardziej niż łyzy, jak bliska była załamania psychicznego.

- Nie, Mike - ciągnęła już spokojniejszym głosem. - Chcę, żebyś wyjechał jutro i zapomniał o nas. Cokolwiek Eric robi, robi to dla mnie. Muszę w to uwierzyć, jeżeli mam pozostać przy zdrowych zmysłach. Czy tego nie rozumiesz!

- Dobrze - skinął głową z potulnością, która - gdyby Laura nie była w tej chwili tak spięta - zaniepokoiłaby go jeszcze bardziej. - W takim razie będę siedział cicho. Wyjadę jutro, ale pod jednym warunkiem.

- Warunkiem...?

- Że zrobisz to, czego chce Eric, i również wyjedziesz z Auchenzie. Jedź do Londynu i wtedy wszyscy będą zadowoleni!

Spojrzała na niego bardzo nieszczęśliwym wzrokiem.

- Zadowoleni?

- W każdym razie będziesz daleko od tych wrednych sukinsynów z paskudnymi pomysłami - powiedział Crofts. Choć sam niezbyt w to wierzył.

Gdy wrócili na farmę, Erica jeszcze nie było. Laura przed jego przyjściem zdołała się nawet wykapać i przebrać. Wyglądała świeżo, była zupełnie opanowana i prawie nic nie zdradzało jej niedawnych bolesnych przeżyć.

Wszystko jednak od samego początku zaczęło się nie tak układać, nawet zanim usiedli do spóźnionego wieczornego posiłku. Eric był już w paskudnym humorze z powodu niepotrzebnego wyjazdu po Laurę i stało się to, czego nie sposób było uniknąć. Jego zły humor spowodował, że i tak, już nadwątlona cierpliwość Croftsa pękła. Z posępną miną próbował mu wytłumaczyć, że spotkał ją zupełnie przypadkowo i zaproponował krótką przejażdżkę, zanim zacznie robić kolację.; - ... no bo właściwie czemu nie, panie rolniku? Pracuje jak Murzyn od świtu do nocy, podczas gdy ty jesteś zbyt cholernie zajęty swoimi własnymi kłopotami, żeby się o nią jakoś zatroszczyć!

- A co to ma znowu znaczyć? - eksplodował Eric. - Wracasz znowu do tej swojej historyjki z trupem w szafie? Jeżeli tak, to wynoś się do swojego pieprzonego Londynu i napisz mi o tym w liście.

- Oczywiście, że pojedę! - ryknął w odpowiedzi Crofts. - Zaraz z rana, przyjacielu! Eric wytrzeszczył na niego oczy. Stopniowo jego gniew przechodził.

- Ooo? - powiedział.

Wyglądał, jakby wiadomość ta sprawiła mu częściową ulgę, ale robił też wrażenie jakoś dziwnie zagubionego. Jak mały chłopak, który nagle znalazł się sam na sam z piłką pośrodku boiska w czasie swojego pierwszego meczu rugby w reprezentacji szkoły.

- To ostatni wieczór Mike'a. Może byśmy gdzieś poszli? - powiedziała szybko Laura z udawanym ożywieniem, niebezpiecznie graniczącym z histerią. - Nawet gdyby to miał być tylko drink

w „Caledonian”. Proszę cię, Eric.

Co, jak się Crofts zorientował, właściwie oznaczało: "Wyjdźmy stąd, bo jeżeli będziemy dalej tu siedzieli i nienawidzili się nawzajem, to się załamię”.

Spojrzał na zegarek, zanim wyszedł w ślad za nimi z budynku farmy. Prawie dziewięta wieczór. Gdy wsiadali do land rovera w pełnym napięcia milczeniu, zobaczył, jak ciemno i zimno zrobiło się na dworze.

A oświetlona zielonkawym światłem padającym z tablicy przyrządów twarz Erica Harleya pochylającego się, by nacisnąć rozrusznik, nagle, na jeden ulotny moment, nabrała upiornego zabarwienia twarzy kogoś już martwego.

W barze hotelu „Caledonian” było zaskakująco tłocznie. Zapewne mieszkańcy Auchenzie nie mieli tego chłodnego wiosennego wieczoru jakiegoś szczególnego wyboru możliwości realizacji swoich potrzeb towarzyskich.

Ich gospodarz, Baggio... Nialls, rozdzielał trunki ze swej pocieszająco bogatej kolekcji tym, których jeszcze dręczyło pragnienie, i przyjazne dobre rady tym, którzy już aż nadto zaspokoili swe potrzeby. Crofts skulił się, gdy dostrzegł wojownicze spojrzenie Groźnej Matki dobiegające go spośród skądinąd przyjaźnie nastrojonego tłumu. Z gniewnie zaciśniętymi ustami rzucała wyzwanie finansowym ograniczeniom narzuconym jej przez Ministerstwo Opieki Społecznej i, zaciskając w rękę jak ręczny granat bacardi z coką, wpychała do kąta pomarszczonego mężczyznę o całkowicie usprawiedliwionym ponurym wyglądzie. Crofts ze szczerym współczuciem domyślił się, że ów uwięziony mężczyzna musi być jej mężem - kłusownikiem Timem, któremu niedawno w Tarvit grożono dubeltówką. Było to jednak przeżycie zapewne o wiele mniej stresujące niż wesoły wieczorny wypad z żoną.

Tym razem Matka postanowiła zignorować Croftsa przemykającego się w ślad za Ericem i Laurą. Wdzięczność, jaką czuł z tego powodu, została jednak zmacona, kiedy usiedli i spojrzał w stronę baru. Dla odmiany napotkał teraz nieruchomy wzrok Harry’ego Mearnsa.

Cóż - w tym, że Harry tej właśnie nocy był obecny w hotelu „Caledonian”, nie kryło się nic złowieszczonego. Ani w obecności jego trzech towarzyszy, którzy z półlitrowymi kuflami w dłoniach spoglądali na Harleyów i na Croftsa z należnym szacunkiem robotników rolnych, spotykających swoich chlebodawców na gruncie towarzyskim. W końcu mieszkali tutaj.

Mimo wszystko jednak uczucie, jakie ogarnęło Mike’a w chwili, gdy ich spojrzenia się spotkały, było dość dziwne. Z byłym szefem kompanii wymienił zaledwie parę słów tuż po przyjeździe i ani razu się z nim nie spotkał, nie licząc momentów, kiedy obserwował go z daleka i z ukrycia. W przeciwnym razie musiałyby nastąpić krótkie spięcie. Mearns czuł do Croftsa niechęć, powodowaną nienawiścią do jakiegokolwiek władzy, nawet jeżeli było to tylko dowodzenie oddziałem najemników, Crofts zaś odpłacał mu pogardą, której nawet pomoc udzielona w czasie angolańskiej klęski nie była w stanie zmniejszyć.

Kiedy jednak jego spojrzenie napotkało wzrok Mearnsa, Mike zrozumiał, że pozostało już bardzo niewiele czasu. Do tej pory były to tylko przeczucia, zaledwie świadomość, że wydarzenia nieodwracalnie zmierzają do nieuniknionego rozwiązania. Obecnie doszedł jeszcze jeden dodatkowy czynnik - nieomylny sygnał widoczny w spojrzeniu Harry’ego. Był w tym spojrzeniu jakiś rodzaj satysfakcji, ale bardzo kontrolowany. Miał wyraz oczu szefa kompanii, starszego sierżanta Mearnsa, wyraz, który pojawiał się tuż przed każdym atakiem przeprowadzanym przez kolumnę „Delta”.

Być może Eric również to zobaczył i zrozumiał, i poczuł z tego powodu wyrzuty sumienia. W

każdym razie ponownie zaczął ostro pić, opędzając się przed delikatnymi próbami Laury, by go powstrzymać. Jego wzrok ponownie stawał się tak samo szklany jak poprzedniej nocy i znów pojawił się w nim wyraz przerażającej pustki.

Około dziesiątej był już ponuro zagłębiony w sobie. Trzy porcje whisky później jego umysł przestał panować nad językiem i poczuciem rozsądku.

Wybuch musiał nastąpić. Był nie do uniknięcia. Niechcący takim detonatorem stał się właśnie Mearns. Być może chodziło tu o sposób, w jaki mimowolnie co jakiś czas on i jego ludzie zerkali w stronę Harleyów. Z całą pewnością nie mieli zamiaru prowokować awantury, ale Eric nie potrzebował już żadnych pretekstów. Przez jakiś czas patrzył na całą tę czwórkę przez szkło swojej szklaneczki, aż wreszcie zmarszczył brwi.

- Harry znowu nas obserwuje - mruknął nagle. I zanim zdolali go powstrzymać, wstał i zaczął machać niepewnie ręką. - Hej, chodź tu, Harry! Chodź i powiedz nam, dlaczego zawsze nas obserwujesz!

Laura z przerażeniem spojrzała na Croftsa. Niektórzy ze zgromadzonego w barze tłumu zwrócili uwagę na zamieszanie i już się odwracali z niepewnymi uśmiechami na twarzach.

- Widzisz Harry'ego, Mike? - Eric wykrzywił się. - Dobrego starego sierżanta Harry'ego?  
- Siadaj, Eric - warknął Crofts. Nie był to czas ani miejsce na konfrontację. Harley zignorował go. Patrzył wściekle poprzez tłum na Mearnsa już nie kryjąc swych uczuć.

- No chodź, Harry, i powiedz nam. A może wolisz, żebym ja to zrobił, co? Czy chciałbyś, żebym powiedział im, że nas obserwujesz dlatego, że nas nienawidzisz?

Crofts zeszywniał. Mearns szedł w ich stronę z przyjaznym uśmiechem, a pozostała trójka kręciła się niezdecydowanie przy barze. To jednak nie powstrzymało Erica. Odwrócił się niedbale i powiedział do Croftsa:

- Tacy już są, wiesz? Harry i jemu podobni - oni wszyscy nas nienawidzą. Nienawidzą nas nawet wtedy, kiedy nas wykorzystują. Jesteśmy spisani na straty, mój miły. Jak i inne ludziki z ideałami. Ale oczywiście Harry wie wszystko o tych małych facecikach. Jadą sobie zobaczyć „syrenkę”, a zamiast niej spotykają kumpli Har...

Mearns najwyraźniej potknął się podchodząc do nich i padając całym ciężarem na Erica przerwał potok jego bełkotliwych inwektyw. Krzesło, na którym siedział Eric, poleciało w kąt sali.

- Bardzo przepraszam, panie Harley - oznajmił z pełnym zakłopotania przejęciem, podnosząc Erica i otrzepując mu marynarkę. - Te moje kulasy... cholerny niezgrabiasz ze mnie. Może drinka, co? Drinki dla pana, pani Harley i tego drugiego dżentelmena.

Tylko Crofts dosłyszał właściwy tekst, warknięty lodowatym szeptem.

- Weź stąd tego chlapiącego ozorem sukinsyna, majorze. I to zaraz! Bo w przeciwnym razie jest już trupem... i lepiej będzie, jeżeli w to uwierzysz!

Nie było czasu na dyskusje. Nie można było też poddać się początkowej pokusie i przyładować Mearnsowi, nie zważając na jego chłopaków. I tak stali się już przedmiotem zainteresowania wszystkich zgromadzonych w barze „Caledonian”. Ludzie przyglądali się im ze słabo skrywaną ciekawością. Baggo Nialls wyszedł już zza baru i nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Laura zbladła gwałtownie. Szybko złapał Harleya za ramię.

- Chodź, Eric. Pora iść. Daj mi kluczyki od row... Ale Eric odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Usta dygotały mu z wściekłości.

- Ty? Ty jesteś nie lepszy od niego, ty dwulicowy sukinsynu! Ty i ona! Ta dziwka, moja żona...

- Eric! - zawołała z przerażeniem Laura. - Nie, kochany... Proszę!

Crofts poczuł, jak coś podchodzi mu do gardła - ze wstydu, z poczucia winy i... lęku.

- Słuchaj, Eric, pogadamy jutro. Zanim wyjadę.

- Żeby na nią poczekać! Uważasz, że tego nie zauważyłem, co, Crofts? Że nie wiem o tym, że masz zamiar się z nią spotkać po to, by ją pieprzyć jak wtedy w Jo'burgu... tę cholerną dziwkę, która chowa się za tobą!

Rzucił się do przodu i uderzył Laurę. Ktoś z przyglądającego się tłumy krzyknął, widząc, jak kobieta stoi nieruchomo, pozwalając, by cios dotarł do celu. Tylko białe ślady palców, które pojawiły się na jej policzku, i lśnienie płynących ciurkiem łez świadczyły o jej cierpieniu.

- Zostaw ją w spokoju! - ryknął Crofts chwytając Harleya za rękę. Nagle poczuł, jak eksploduje w nim wściekłość.

Eric wrzasnął histerycznie:

- Zabiję tę dziwkę! - i ponownie szarpnął się do przodu.

Crofts rzucił jedno spojrzenie na Mearnsa - nawet on wyglądał w tej chwili na kompletnie zdezorientowanego - a potem schwycił Harleya, obrócił go i z całej siły popchnął. Eric machając rękami dla złapania równowagi przeleciał między rozstępującymi się w popłochu mieszkańcami Auchenzie. Michael ruszył za nim w ślepej złości.

- NIEEE! - krzyknęła Laura z takim bólem, że wszyscy w sali zamarli w bezruchu: Crofts, Eric Harley i nawet Baggo Nialls, który ruszył ku nim ze stanowczym zamiarem zaprowadzenia porządku.

Dopiero wtedy Eric wydał dziwny, łkający okrzyk, odwrócił się i zaczął na oślep uciekać przed samym sobą i uświadomionym nagle koszmarem swego postępu. Wszyscy patrzyli z zaszokowanym zakłopotaniem, jak niepewnym krokiem biegnie w stronę drzwi. Crofts, również z poszarzałą po przeżytych wstrząsach twarzą i ogarnięty nagłą obawą o przyjaciela, zawołał chcąc uspokoić Laurę:

- Dogonię go... - i popędził za nim w ciemność.

Kiedy zbiegł po schodkach „Caledonian”, usłyszał warkot zapuszczanego dieslowskiego silnika, a potem chrzęst kół toczących się po żwirze. Rover Erica niepewnie wyjechał tyłem z parkingu, zderzył się z przednim błotnikiem sąsiedniego pojazdu, a potem Michael usłyszał zgrzyt przełączanego pierwszego biegu i samochód popędził szaleńczo drogą w stronę Ardarroch i Den of Tarvit.

Crofts wahał się tylko przez chwilę. Jego obawa o Erica przytłumiła nawet niepokój o Laurę. Jeżeli wróci teraz po nią, straci jeszcze więcej czasu, a pełne zgrozy spojrzenie przyjaciela, które dostrzegł tak wyraźnie na kilka jakby zastygłych w czasie sekund przed jego histeryczną ucieczką, nie pozwalało mu ryzykować nawet chwili opóźnienia. Podobne spojrzenie widział dotąd tylko raz w swoim życiu. Pojawiło się ono w oczach sierżanta Boschego ponad rok temu. Wtedy, gdy spoglądał w dziewięćmilimetrowy otwór lufy i widział w nim własną śmierć.

Crofts zaczął biec, uświadamiając sobie jedynie ogarniający go strach.

Trwało to dwadzieścia minut, w czasie których oddech rozrywał mu płuca. Był wciąż w wystarczająco dobrej formie, aby pokonać ciemną drogę do Tarvit bez zatrzymywania się, popędzany przecuciem nieszczęścia.

Kiedy wchodził na podwórze, na którym opuszczony land rover stał zaparkowany krzywo obok jego mercedesa połyskującego w ciemności, światła w domu paliły się.

Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Crofts zatrzymał się i przez chwilę niepewnie nasłuchiwał... cisza wisiała nad Tarvit jak ciężka czarna kotara z aksamitu. Coś kazało mu zachować

ostrożność. Prześlizgnął się przez drzwi do pustej kuchni. Zawahał się ponownie - spod zamkniętych drzwi przytulnego saloniku, w którym obaj z Erikiem siedzieli ubiegłej nocy, padał wąski strumień światła.. Ostrożnie nacisnął klamkę i lekko uchylił drzwi - a potem otworzył je szeroko.

Eric Harley patrzył niewidzącym wzrokiem w belkowanie niskiego stropu. Leżał na plecach, ręce i nogi miał szeroko rozrzucone. Przypominał martwą rozgwiazdę wyrzuconą na brzeg. Na przedzie jego koszuli widniały trzy, a może cztery dziury pozostawione przez kule, tuż nad sercem, w odległości dwóch cali od siebie. Sądząc z ilości krwi, były to pociski dużego kalibru, które wyszły przez plecy.

Ktokolwiek zabił Erica, zrobił to z zawodową dokładnością. Harley niemal na pewno był już martwy po pierwszym trafieniu, które cisnęło nim do tyłu. Kiedy padał, mimo wszystko ciągle strzelano - do chwili, gdy znalazł się na ziemi. Był to podręcznikowy przykład profesjonalnego morderstwa.

Poza jednym niewytłumaczalnym, zadziwiająco nielogicznym błędem. Wyglądało na to, że pozostawiono narzędzie zabójstwa.

Crofts jak przez sen spostrzegł broń leżącą u jego stóp.

W przytępionym wstrząsem umyśle nie zadźwięczał żaden sygnał alarmowy, gdy uklęknął i podniósł pistolet nie spuszczać oczu z ciała Harleya. Ciężar broni w jego ręku

°kazał się dziwnie znajomy.

Kiedy wreszcie świadomość tego zaczęła świtać w jego umyśle, właściwie nie musiał spoglądać w dół, żeby się Upewnić. Zrobił to jednak mimo wszystko i przekonał się, broń wygląda dokładnie tak samo, jak przed dwoma dniami, zanim porzucił jej części składowe po londyńskiego Soho.

A więc to odrzucone przez Croftsa narzędzie jego zbrodniczej działalności wcale nie zostało zneutralizował żono je znowu, potem oczyszczono, załadowano i w zupełnie niedawno - wystrzelono z niego.

Z pistoletu, który kiedyś znał bardzo dobrze. Z M 951.



# Rozdział XII

Crofts wciąż jeszcze klęczał, kiedy dobiegł go odgłos zajeżdżającego samochodu, trzask zamykanych drzwi i szybkie kroki. Trzymał berettę i rozpaczliwie usiłował wszystko zrozumieć, gdy przez drzwi za jego plecami wszedł policjant.

Był to posterunkowy, młody chłopak, niemal w wieku szkolnym. Spoglądał szeroko otwartymi oczyma spod daszka czapki z otokiem w czarno-białą szachownicę. Wpatrywał się bardziej w pistolet niż w Erica i sprawiał wrażenie przerażonego.

Crofts uświadomił sobie, że jest zupełnie spokojny, zrezygowany. Bardzo było mu żal Laury, a swoją własną niebezpieczną sytuację przyjmował do wiadomości z niemal cynicznym dystansem. Wstał i wyciągnął berettę w stronę policjanta.

- Proszę, niech pan weźmie. Ja... leżał przy zwłokach. Policjant przełknął ślinę.

- Przepisy nie pozwalają mi go dotykać. Może zechce Pan położyć go na stoliku... Bardzo pana proszę.

Crofts zrobił parę kroków i odłożył pistolet. Posterunkowy stanął szybko tak, by odgrodzić go od broni, i na tym kończyły mu się pomysły. Niecodziennie natrafia się w Auchenzie na zwłoki zastrzelonego człowieka i prawdopodobnego mordercę.

- Czy nie powinien pan raczej wezwać kogoś do pomocy? - Crofts skinął ręką w stronę ciała. - W holu jest telefon.

- A więc on nie żyje? - zapytał chłopak, niebezpiecznie blednąc na widok kałuży krwi.

- Tak.

Policjant zdjął czapkę i zawahał się wodząc palcem po jej wewnętrznej stronie, jakby była zbyt ciasna. Crofts spostrzegł, że chłopaka mdli, a na twarzy wystąpił mu zimny pot.

- Niech pan idzie - popędził go. - Nie ucieknę panu Jeżeli pan chce, mogę wyjść razem z panem z pokoju, żeby czuł się pan pewniej.

Przeszli do maleńkiego holu i policjant zadzwonił.

A potem Crofts trzymał mu czapkę z lśniącą nowiutką odznaką, gdy chłopak wymiotował.

Sierżant w mundurze przybył po dziesięciu minutach W białym policyjnym land roverze przywiózł jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Jednego z nich zostawił razem z Croftsem w holu i wyprowadził młodego posterunkowego na zewnątrz. Rozmawiał z nim zbyt cicho, by Crofts mógł coś usłyszeć.

Potem przybyło dwóch policjantów w cywilu i cała grupa porozumiewała się jeszcze kilka minut, zanim wreszcie weszli do środka. Jeden z nich przeszedł prosto do saloniku, na który drugi cywil tylko rzucił okiem, odwrócił się i lekko skinął głową Croftsowi.

- Jestem inspektor Duncan z Wydziału Zabójstw. Mój kolega to detektyw sierżant Reekie. A kim pan jest?

- Nazywam się Crofts. Michael Crofts.
- Czy pan tu mieszka?
- Jestem na urlopie. Państwo Harley są moimi przyjaciółmi.
- Pan Harley... czy to on został zabity?
- Tak.
- Andy!

Sierżant w mundurze pojawił się w drzwiach.

- Weź pana Croftsa i posiedź z nim w samochodzie. Kiedy przyjedzie doktor i ekipa kryminalistyczna, skieruj ich prosto tutaj. Czy ten chłopak dobrze się już czuje?

- To jego pierwszy raz. Już wszystko w porządku.
- Gdzie jest pani Harley? - przerwał im Crofts. - Czy posłano po nią?

Duncan spojrział na niego. Nie robił wrażenia szczególnie przyjaznego czy choćby tylko przyjaźnie nastawionego do Laury.

- Zadbano o nią. Jest z policjantką w „Caledonian”. Crofts nie zdołał się powstrzymać.
- Chryste, to przecież jej mąż tu leży. Człowieku, przecież ona na pewno chciałaby być tutaj, a nie siedzieć w jakimś cholernym hotelu.

Inspektor popatrzył na niego ponuro. Sprawiał wrażenie, jakby był zły na Croftsa, ale była to bezstronna, zawodowa złość, wyprowadzająca z równowagi pogarda.

- Może pani Harley już za bardzo robiła to, co chciała. Może gdyby postępowała inaczej, nie musielibyśmy się tu w ogóle fatygować.

Crofts wyczuł, że znalazł się w fatalnych kłopotach. Ale uświadomił to już sobie przedtem - w tej samej minucie, w której odnowił znajomość z bardzo starym i bardzo bliskim towarzyszem walki.

Dziwne. W tym pełnym goryczy momencie nie był do końca przekonany, czy myślał o beretcie M 951... czy też o komandorze Edwardzie Simpsonie z Royal Navy. W stanie spoczynku...?

- Niech mi pan powie, panie Crofts - zapytał inspektor Duncan z niezbyt subtelną bezceremonialnością. - Czy kiedykolwiek widział już pan ten pistolet? Tę berettę?

Kiedy doktor zakończył już swoje wstępne badania, Przykryto Erica zieloną plastikową płachtą. Crofts był z tego zadowolony, miał bowiem wrażenie, że jest to jakoś nieprzyzwoite pozostawiać go w takiej rozkrzyżowanej, Poniżającej pozycji. Tylko pole walki stanowiło wytłumaczenie, jeżeli nie usprawiedliwienie, traktowania ludzkich szczątków z lekceważeniem. Pamiętał jedne potraktowane w ten sposób zwłoki sprzed wielu lat - w Kambodży. Jakieś chore dziecko wyrwane przez odłamek pocisku haubicy z nie kończącej się kolumny uciekinierów sunącej koło okopanych na pozycjach obronnych transporterów. Żaden z żołnierzy ani żaden z żołtów nie zadał sobie trudu, by przesunąć drobne ciało, i początkowo nadjeżdżający kierowcy starali się je ominąć, ale w końcu jakiś spocony żołnierz - nieostrożny, śpiący czy po prostu zupełnie obojętny, nie do końca ominął zwłoki, a potem następny... a potem jeszcze jeden, i wreszcie nikt już nie usiłował ominąć ciała. I wkrótce martwe dziecko zostało rozjechane jak jeź na autostradzie na miazgę, aż w końcu nawet ta miazga została starta przez grzechoczące gaśnicami transportery...

Crofts więc był zadowolony z zielonej płachty zarzuconej na Erica. Sprawiało to wrażenie, jakby - rzeczywiście coś znaczyło, nakazywało pewien szacunek.

Policjanci włożyli berettę do plastikowej torby. Było to podobne do sposobu, w jaki potraktowano Erica Harleya. Spojrział na nią obojętnie.

- Widziałem wiele pistoletów, inspektorze. Trudno mi odpowiedzieć panu kategorycznie „nie”.

- Albo może kategorycznie „tak”, co? Crofts wzruszył ramionami.

- Byłem żołnierzem. Żołnierzom zdarza się mieć do czynienia z różnymi rodzajami broni.

- Żołnierzem armii brytyjskiej, jak sądzę?

- Ja... zaczynałem tam. Uzyskałem stopień oficerski w wojskach desantowych.

Duncan patrzył na niego przez chwilę w zamyśleniu, a potem znowu spojrział do notesu.

- Czy nazwa „kolumna »Delta« kojarzy się panu z czymś, panie Crofts?

Odczytał właściwie błysk w oczach Croftsa i uśmiechną) się kwaśno.

- Komputer w Centralnym Archiwum jest bardzo sprawny. My mamy także bardzo szczególną organizację zwaną „Special Branch”... a tu, w holu, jest telefon.

- Więc wie pan, że jestem wojskowym wolnonajemnym specjalistą?

- Zgodnie z moimi informacjami zarówno pan, jak i denat. Wie pan, zawsze sądziłem, że wy, chłopcy, nazywaliście się najemnikami bez żadnego ślicznego dodatku. Chociaż „wolnonajemny specjalista” rzeczywiście lepiej brzmi.

- Nie zabiłem Erica Harleya - powiedział Crofts.

- Trzymał pan ten pistolet, kiedy zaskoczył pana policjant.

- Nie zaskoczył mnie! Albo tylko dlatego, że w ogóle tu się zjawił. Skąd wiedział?

- Prowadzący hotel „Caledonian” doniósł o zakłóceniu porządku. Zanim przybył na miejsce posterunkowy Cliesh, pan to miejsce opuścił... w pościgu za panem Harleym.

- „W pościgu”? - zapytał z goryczą Crofts. - Sposób, w jaki pan to powiedział, był niezwykle wymowny, człowieku.

- A mówiąc już o tym, co było powiedziane, to co dokładnie miał pan na myśli wołając do pani Harley, kiedy wybiegał pan z „Caledonian” - cytuję świadków: „Dogonię go!”, tak to brzmiało. Czy potwierdza to pan, panie Crofts?

- Chryste, nie wiem! - wybuchnął Crofts. - Byłem zły... zmartwiony. Podobnie Eric...

Przerwał gwałtownie. Przyglądali mu się uważnie - wszyscy policjanci i nawet lekarz.

- Niech pan posłucha, inspektorze. Po co miałbym zabijać Harleya? Sprzeczaliśmy się i przedtem. Jezu, wszyscy przyjaciele sprzeczają się ze sobą, a my byliśmy przyjaciółmi od wielu lat, bardzo długo walczyliśmy ramię przy ramieniu. Dzieliliśmy wszystko ze sobą przez wiele cholernych lat.

- Tak sobie pomyślałem - powiedział Duncan dziwnym tonem. Crofts spojrział na niego i zamrugał.

- A co to ma znaczyć?

- Pani Laura Harley. Czy nią również dzieliliście się ze sobą przez wiele lat, panie Crofts? I w tym momencie Crofts zrozumiał. Sądził, że wszystko stało się z powodu Laury. Myśleli tak od pierwszej chwili, od momentu, kiedy przyjechali, i stąd wziął się ten wyraz pogardy w ich spojrzeniu, niewypowiedziana dezaprobata. Zebrali już zeznania świadków w „Caledonian” - od Niallsa, Groźnej Matki - wszystkich, którzy słyszeli, jak Eric otwarcie oskarżył go, że ma romans z Laurą. Podręcznikowa, klasyczna sprawa - zbrodnia z namiętności, trójkąt rozwiązany śmiercią męża.

Eric nawet został zastrzelony z jego pistoletu! Prokuraturze nie sprawi szczególnych kłopotów powiązanie Croftsa z berettą M 951, miał tę broń od lat. „Special Branch” z całą pewnością miała szczegółowe, aktualne dane na temat jego osoby, łącznie z informacją, jaki gatunek papierosów pali.

Wrobiono go w idealny sposób. Został wciągnięty w tę sprawę z zimnym wyrachowaniem, ba, nawet dopomógł im, do diabła! Kimkolwiek byli, musieli nie posiadać się ze szczęścia widząc, jak

wpakował się w sam środek sprawy o morderstwo. Elementy składowe zostały bardzo zwięźle połączone - Eric, Laura, Michael Crofts, kochanek doskonały. Wszystkim, czego potrzebowali, był czas i miejsce... i jeden sprawny morderca, czekający na okazję.

Ale kto nim był? Na pewno nie Mearns - Harry i jego grupa siedzieli w „Caledonian”, gdy wybiegał za Erikiem, i nikt nie mijął go po drodze.

A więc może Wełniani Faceci? Albo Simpson? Z całą pewnością Simpson był odpowiedzialny za jego przyjazd do Tarvit. Chociaż z drugiej strony, dlać boską, Simpson chciałby go zrobić w morderstwo Erica Harleya?

Michaelu Crofts - aresztuję cię jako podejrzanego o umyślne morderstwo popełnione na osobie Erica Harleya. Udasz się wraz z moimi funkcjonariuszami do Komendy Policji w Oban, gdzie możesz zostać oskarżony o przestępstwa, jakie zostaną wykazane w ciągu dalszego śledztwa.

Przypuszczalnie to Simpson był odpowiedzialny za wskrzeszenie beretty M 951. Młoda para na motocyklu?

Powinien mieć się wtedy na baczności. Przecież w Soho miał wrażenie, że jest śledzony.

Mikę Crofts zaczął wreszcie dostrzegać prawdziwą głębię intrygi, w którą tak naiwnie się wpakował. Jeżeli jednak komandor Edward Simpson, ostentacyjnie podkreślający swój stan spoczynku oficer Marynarki Wojennej Jej Królewskiej Mości, rzeczywiście współdziałał nie tylko w planowanym morderstwie Erica Harleya, ale również we wplątaniu w tę aferę Croftsa, i stanowiło to część jakiegoś potwornego, może nawet zaaprobowanego przez rząd planu? Pojawia się wtedy następne pytanie.

...na rzecz jakiego rządu działał Simpson?

Skuli mu ręce kajdankami, zanim wsadzili do białego policyjnego land rovera. Sierżant w mundurze schwycił go za ramię i z idącym za nimi detektywem inspektorem Duncanem zaprowadził do samochodu, przy którym czekał już, trochę zakłopotany, młody posterunkowy. Chłopak ciągle jeszcze był blady. Prawdopodobnie wiele czasu upłynie, zanim przywyknie do tej pracy.

Było też i wielu miejscowych gapiów, przede wszystkim klientów z „Caledonian”. Stali za bramą, podczas gdy drugi posterunkowy dobrodusznie tłumaczył im, że muszą się cofnąć. Wtedy Crofts przypomniał sobie nagle coś, co mogłoby mu pomóc.

Zatrzymał się gwałtownie, tak gwałtownie, że Duncan omal na niego nie wpadł. Sierżant schwycił go mocniej za ramię, zdecydowanie pociągając do przodu.

- Kamień! - zawołał Crofts. - Wczoraj wieczorem. Ktoś próbował już wcześniej zabić Erica.

- Niech pan wsiada do wozu - polecił mu sierżant władcym tonem. - Przecież nie chce pan chyba robić sceny przed tymi wszystkimi gapiami. Będzie miał pan Wystarczająco dużo czasu, żeby złożyć swoje zeznania w Oban.

- Ale przecież ten jego rover... Ten, który tam stoi, do diabła! - nalegał Crofts nie poddając się. - Sami możecie zobaczyć, że nie ma przedniej szyby.

Duncan odwrócił się i spojrzał na niego marszcząc brwi.

- Chwileczkę, Anuy. A więc, Crofts, co chce pan powiedzieć o wczorajszym wieczorze i panu Harleyu?

Crofts opowiedział mu ściszym głosem o wszystkim o Ericu, lewitującym kamieniu i rzekomym wypadku. I od razu zorientował się, że zyskał nową szansę. Duncan był dobrym policjantem i natychmiast potrafił dostrzec, że istnieje wielka różnica - między popełnionym po pijanemu zabójstwem w afekcie a próbą zabójstwa z premedytacją.

Odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami mieszkańców Auchenzie podeszli do starego land rovera Erica. Crofts wskazał obydwoma skutymi rękami.

- Widzi pan? Brakuje przedniej szyby. Przecież to dowód, że istotnie Harley niedawno miał jakiś groźny wypadek.

Duncan przyjrzał mu się uważnie.

- Nawet jeżeli tak jest naprawdę, wciąż nie można wykluczyć, że właśnie pan rzucił ten kamień.

- To oznaczałoby działanie z premedytacją. Wtedy pańska teoria o pijackiej bójce w pubie z powodu pani Harley nie trzymałaby się kupy. A jeżeli rozsypie się jeden powód do podejrzeń, to przynajmniej będzie pan zmuszony do ponownego rozważenia pozostałych.

- Czy mógłby pan odnaleźć ten kamień, Crofts? Badania kryminologiczne mogłyby potwierdzić pańską wersję.

- Harley go wyrzucił - stwierdził Crofts słabym głosem. - Do strumienia.

- Aha. - Detektyw inspektor Duncan skinął znacząco głową.

Sierżant Andy nagle przechylił się, sięgając na tył land rovera i wyciągnął coś na zewnątrz. Był to bażant. Martwy i dość pokiereszowany. Wszyscy patrzyli na niego obojętnie do chwili, gdy w jego poszarpanych piórach zobaczyli lśnienie okruchów szkła odbijających niebieskie światła policyjnych samochodów.

- To się zdarza nie pierwszy raz - stwierdził sucho sierżant - że ptak rozbija szybę samochodu. Lecą nie gorzej niż kawał granitu.

- Wsiadaj do tego pieprzonego samochodu, Crofts - powiedział zmęczonym głosem detektyw inspektor Duncan.

Noc była ciemna. Jechali przez dziesięć, może piętnaście minut. Młody posterunkowy siedział w zakłopotanym milczeniu za kierownicą, a mundurowy sierżant Andy Jakiśtam naprzeciwko Croftsa na trzęsącym się siedzeniu land rovera. Trzymał plastikowy worek z berettą M 951 - dowód rzeczowy numer jeden dla oskarżyciela. Odnosił się do swego skutego kajdankami więźnia z ponurą obojętnością. Znał to już od dawna - tych wszystkich twardzieli z Glasgow i miejscowych chłopaków, którzy gdy wypiją za dużo, zaczynają się robić głupio agresywni. Zetknął się także i z tymi bardziej wyrafinowanymi, takimi jak Crofts, którzy przyjeżdżali na północ z wielkimi spluwami w kieszeni, żywiąc nieuzasadnioną pogardę dla szkockiego prawa.

Kiedy jechali nadmorską drogą do Oban, Crofts nie zwracał uwagi na obu policjantów. Patrzył nieruchomo przez przednią szybę na migające w świetle reflektorów skalne ściany. Niekiedy dostrzegał skraj urwiska i czarne morze. O Boże, ależ te zachodnie rejony Szkocji są odludne. Nie oglądał jednak tego krajobrazu okiem turysty. Przede wszystkim myślał o Laurze - o jej smutku i piętnie, które nosić będzie od tej pory aż do końca życia. Piętnie rozpustnej wdowy, która stała się przyczyną śmierci swojego męża.

Myślał również o Pameli. Jakie to szczęście, że jest daleko, w Londynie, próbując odnaleźć odpowiedzi na najpilniejsze pytania, które pojawiły się tego popołudnia i które teraz w tak przerażający sposób straciły na znaczeniu. Już ją utracił i być może nigdy nie pozna tajemnicy do chwili, kiedy to, co było planowane, zostanie wykonane - a wtedy będzie już za późno. Już było za późno. Eric nie żył, jemu zaś groziło dożywocie, policja bowiem uznała - zgromadzone dowody za wystarczające i nie będzie prowadzić dalszego śledztwa. Zwłaszcza teraz, kiedy jego informacje o rozbitej przedniej szybie samochodu Erika w jeszcze większym stopniu udowodniły, że jest kłamcą.

- Sierżancie! - zawołał nagle młody posterunkowy pochylając się do przodu i wpatrując przed

siebie. - Tam, na skraju drogi, stoi jakiś facet. Wygląda na to, że miał wypadek.

Rzeczywiście. W smugach światła reflektorów widniała odległa postać oparta o głaz i wyglądająca na oszołomioną bólem. Samochód policyjny zaczął już zwalniać, gdy sierżant mruknął:

- Tak, ale nie będziemy się zatrzymywać, chyba że jest ciężko ranny. Będzie musiał poczekać na patrol drogowy, który wezwiemy przez radio.

Samotny mężczyzna nie poruszył się, nawet gdy rover zbliżył się do niego. Po prostu stał z pochyloną głową, oparty o głaz - okaz nieszczęścia w spranych eks-wojskowych drelichach i dziwnej czarnej wełnianej cza...

- Jedź dalej! - wrzasnął rozpaczliwie Crofts, pobudzony do gwałtownego działania. - Człowieku, nie zatrzymuj się! Jedź dalej!

Było już jednak za późno na ostrzeżenia czy jakiegokolwiek rady, jak ma postępować jego policyjna eskorta. Przez otwarte okno wsunęły się obcięte lufy dubeltówki i wbiły gwałtownie w gardło młodego policjanta. Jednocześnie dwie inne postacie pojawiły się, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, przy tylnej klapie samochodu, trzymając wysunięte przed siebie lufy hiszpańskiego Z-62 i czeskiego, a może polskiego pistoletu maszynowego, skierowane w stronę pasażerów samochodu. Crofts wciąż nie był w stu procentach pewien, jakiej produkcji jest ten drugi peem.

Tak samo jak wcześniej tego samego dnia. Kiedy po raz pierwszy zobaczył go wymierzonego w swoją pierś. Na starym lotnisku niedaleko farmy Den of Tarvit.

# Rozdział XIII

Byli skuteczni, straszliwie skuteczni. Każdy najdrobniejszy szczegół tego porwania został z góry zaplanowany. Rozkazy, jakie wydawali, adresowane były wyłącznie do siedzących w land roverze. Szramowata Ręka nie powiedział do swego własnego zespołu nawet słowa.

Staął między rewolwerowcami przy tylnej klapie samochodu i machnął ręką w stronę Croftsa. - Wychodź.

Michael wykonał polecenie. Potknął się przechodząc przez klapę i nie mógł pomóc sobie skutymi rękami. Przywódca podtrzymał go szorstko i Crofts zeskoczył na ziemię. Nie powiedział nic. Nie miał do powiedzenia nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie.

- Niech pan odda klucze do kajdanek, sierżancie - oznajmił beznamiętnie Szramowata Ręka. Potężnie zbudowany policjant siedział nieruchomo i patrzył na niego, bardziej oburzony niż przestraszony, bo rzeczywiście sytuacja, którą kazano mu zaakceptować, była oburzająca: samochód policji okręgu Strathclyde został zatrzymany na drodze publicznej Wielkiej Brytanii przez uzbrojonych po zęby mężczyzn. Jego samochód!

- Och, daj spokój i nie wygłupiaj się, chłopie - mruknął niepewnie. - Klucze. Natychmiast.

Jedna z łuf uniosła się wymownie, celując prosto w czoło sierżanta. Nawet w tej sytuacji nie był w stanie przyjąć w pełni do wiadomości tego, co się działo. Niedowierzenie w dalszym ciągu podsycalo jego odwagę.

- Ostrzegam, że zostaną przeciwko panu wysunięte poważne oskarżenia. Dalsze umożliwianie i dopomaganie więźniowi w ucieczce spod straży tylko pogarsza waszą sytuac...

- Sierżancieeee!

Prośba młodego policjanta była właściwie wrzaskiem bólu. Crofts nie widział, co robią z chłopakiem siedzącym za kierownicą, ale wcale nie musiał.

- Zrób, co każą! - krzyknął. - Daj mu ten cholerny klucz, człowieku!

Sierżant w końcu sam doszedł do tego wniosku. Wydusił zdławionym głosem: - Jezu! - i zaczął drżącymi palcami rozpinać guzik kieszeni. Szramowata Ręka schwycił kluczyki i otworzył kajdanki Croftsa. W tym samym momencie drugi członek zespołu zrobił krok do przodu i wyciągnął przed siebie ręce ze złożonymi razem przegubami. Wyglądało to jak dobrze wyreżyserowane przedstawienie.

Przywódca zatrzasnął chromowane bransolety na rękach swojego człowieka, a potem pomógł mu przejść przez tylną klapę do wnętrza rovera. Nic poza tym się nie wydarzyło. Zamaskowany mężczyzna po prostu zajął miejsce Croftsa i popatrzył obojętnie na siedzącego po przeciwnej stronie sierżanta.

- Teraz znowu masz swojego więźnia - oznajmił wesołym tonem Szramowata Ręka, z ledwo zauważalną obcą wymową. - Zabieramy ci jednego i jednego dajemy w zamian, widzisz?

Nikt się nie roześmiał. W gruncie rzeczy nikt się nie uśmiechnął.

- Przecież tak nie można... - wykrztusił sierżant całkowicie zbity z tropu. Przerwał nagle i cofnął się nerwowo, gdy Szramowata Ręka pochylił się gwałtownie w głąb rovera i zgrabnie zerwał mu z głowy czapkę. A potem rozmyślnie rzucił ją na podłogę samochodu między dwóch siedzących mężczyzn.

- Chyba powinien ją pan podnieść, sierżancie - stwierdził - zanim coś się z nią stanie.

Crofts sprężył się i ruszył do przodu, ale zaraz poczuł wbijającą mu się w plecy lufę Z-62 i znieruchomiał. Nie przypuszczał, by udało mu się w jakiś sposób pomóc sierżantowi Andy'emu Jakiemuś tam.

Sierżant poczerwieniał z hamowanej wściekłości.

- Idź pan do diabła!

Młody posterunkowy za kierownicą zaczął znowu pojękiwać. Z całą pewnością nie były to żarty.

- Podnieś! - warknął ponuro Szramowata Ręka.

- Dobra! - wrzasnął sierżant. - Zostawcie chłopaka w spokoju, dobra... - Przez chwilę patrzył na Croftsa.

- spojrzenie miał twarde jak granit. - Od samego początku uważałem, że jesteś facetem, który zabił Harleya, ty sukinsynu. Teraz już to wiem!

Ze złością pochylił się do przodu, sięgając po czapkę.

W tej samej chwili siedzący naprzeciwko mężczyzna ruszył się również i błyskawicznie uniósł skute kajdankami ręce w kierunku gardła schylonego policjanta, tworząc ze swych połączonych łańcuszkiem nadgarstków śmiertelnie śmiertelną garottę. Rozległ się zaskoczony, stłumiony w połowie krzyk, gdy napastnik skrzyżował i jednocześnie przekręcił ręce. Crofts zobaczył, jak wyglansowane buty sierżanta kopią spazmatycznie tylną klapę samochodu.

Skuty kajdankami mężczyzna szarpnął brutalnie, obcasy butów wystukały ostatni gwałtowny werbel i nagle osunęły się bezwładnie.

Crofts zdawał sobie sprawę, że sierżant nie żyje, i świadomość ta ogłuszyła go. Poczul ogarniające go mdłości. Och, widział już i słyszał ludzi, którzy umierali w podobny sposób, ale nigdy nie odbywało się to z taką pozornie bezsensowną premedytacją. Zawsze stanowiło taktyczne preludium bitwy: zaskoczony wartownik, nieprzyjaciel zlikwidowany w czasie pierwszego niezbędnego ruchu w wojnie, której zasady wszyscy uczestnicy znali i akceptowali., ale to przecież nie było pole walki, na litość boską To tylko wiejska część Szkocji. A ci ludzie nie prowadzą wojny.

A może jednak?

Młody posterunkowy, w którego wymierzone były lufy dubeltówki, również zorientował się, że sierżant nie żyje. Gdy drzwi od strony pasażera otworzyły się gwałtownie, a w jego kierunku wyciągnęły ręce przypierając go brutalnie do oparcia siedzenia, zaczął płakać uświadamiając sobie z przerażeniem, co za chwilę nastąpi.

Nie trwało to długo. Zamaskowany napastnik przeszedł od ciała sierżanta i pochylił się nad drugim funkcjonariuszem. Tym razem skrzyżował skute kajdankami przeguby otaczając nimi głowę policjanta. Skierowaną ku górze dłoń prawej ręki oparł na jego potylicy, a krawędź lewego przedramienia wbił mocno w krtań szarpiącego się chłopaka.

- Jezu, NIE! - krzyknął Crofts.

Prawa dłoń mordercy skierowała gwałtownie podbródek posterunkowego do przodu i do dołu, gdy jednocześnie lewe przedramię pchało go nieubłagane ku górze. Crofts usłyszał, jak kości karku



młodego policjanta pękają z trzaskiem, urywając gwałtownie zduszone błagania.

Beznamiętnie, obojętnym gestem, mistrz w zabijaniu gołymi rękami puścił ciało i popchnął je tak, że opadło na kierownicę, a potem wygramolił się na zewnątrz, gdzie Szramowata Ręka zdjął z jego rąk kajdanki i cisnął je na rozciągnięte z tyłu pojazdu ciało sierżanta. Lufa wciąż wbijała się mocno w plecy Croftsa, choć nie było to już potrzebne. Nic nie można było zrobić. Nie czuł wdzięczności za to, że z jakichś niejasnych powodów nie wyeliminowali i jego.

Szramowata Ręka stanął przed nim - jedyny zabójca dysponujący darem mowy. Kiedy jego grupa bojowa rozsypała się w tyralierę i obserwowała pustą drogę, a Crofts rozpaczliwie modlił się, by żaden podróżny nie pojawił się w tym miejscu gwałtownej śmierci, przywódca odezwał się. Mówił ostro i lakonicznie:

- Nie posłuchałeś mnie, Crofts. Kazałem ci wynieść się stąd po cichu... a mimo to beztrąsko zignorowałeś moje ostrzeżenie. Nawet w swej pijackiej głupocie zabiłeś Harleya.

Crofts patrzył nieruchomo na widniejącą przed nim maskę, starając się nie okazywać zaskoczenia. A więc Szramowata Ręka również uważał go za zabójcę Erica! W takim jednak razie co oni robią w tej łamigłówce? Jeżeli bowiem byłoby choćby w najluźniejszy sposób powiązani z rzeczywistym mordercą, z całą pewnością znalazłoby prawdę.

Mężczyzna w czarnej wełnianej masce zapytał nagle:

- Powiedz mi, Crofts... Jesteś dobrym żołnierzem? Michael wzruszył obojętnie ramionami. Nie było w nim już lęku, tylko nienawiść.

- Dość dobrym.

Mężczyzna dał znak i natychmiast lufa peemu cofnęła się z pleców Croftsa.

- Mam nadzieję. Będziesz potrzebował wszystkich swoich wojskowych umiejętności i pomysłowości, aby uniknąć ujęcia. Wykorzystaj je dobrze, Crofts, a wtedy może nawet zdołasz opuścić ten kraj, jeżeli posłuszysz się swoimi kontaktami wśród najemników. Sugerowałbym ci, żebyś zaczął uciekać natychmiast - zanim władze odkryją twoją nową zbrodnię.

Tym razem Crofts nie był w stanie ukryć zaskoczenia:

- Moją zbrodnię?

Ledwo widoczna w ciemności wąska szpara w masce poruszyła się prawie niedostrzegalnie.

- Kolejne dwa morderstwa, Crofts. Obydwa popełnione przez eksperta od walki wręcz - a mam pewność, że nim jesteś. Obydwa dokonane za pomocą kajdanek, które miałeś na rękach, obydwie dokonane w pojeździe, którym byłeś przewożony jako więzień.

- Ty skurwysynu! - warknął Crofts. - Ty wyrachowany skurwysynu!

- Potrójny morderca na wolności w Szkocji, Crofts. A dwie z twoich ofiar to nie uzbrojeni funkcjonariusze policji.

Szramowata Ręka zaczął się cofać. Crofts nawet nie drgnął. W grupie, która roztapiała się w mroku, zbyt wiele luf wymierzonych było w jego kierunku.

- Społeczeństwo brytyjskie jest bardzo przywiązane do swoich policjantów, a i sama policja nie lubi, kiedy mordują jej ludzi.

Nie było już Wełnianych Facetów, żadnych żywych kształtów. Jedynie irytująco cudzoziemski głos unosił się w powietrzu, bezcielesny i naigrawający się jak uśmiech Kota z Cheshire w „Alicji”.

- Wygląda na to, że stałeś się uciekinierem, którego najbardziej się nienawidzi, Crofts. A więc uciekaj dalej i nie zatrzymuj się. Z całą pewnością tym razem nie będziesz tak nieostrożny, by pozostać w Szkocji.

Kiedy zniknęli, zaczął działać. Na myśl o tym, co zrobili i do czego jego zmuszali, nie czuł obrzydzenia ani lęku, jedynie kipiącą wściekłość.

Najpierw przeszukał tył policyjnego land rovera, przesuając ciało martwego sierżanta Andy'ego Jakiegośtam, aż wreszcie znalazł pod zwłokami plastikową torbę z beretą, która uszła uwagi Szramowatej Ręki i jego grupy.

Częściowo opróżniony magazynek z nabojami parabellum tkwił na swoim miejscu. Były w nim jeszcze cztery... wiedział! aż za dobrze, gdzie są pozostałe. Zanim wsunął go z powrotem do kolby, zawahał się na chwilę - każdy z pozostałych czterech pocisków miał krzyżowe nacięcie na półokrągłym czubku. Pociski dum-dum, które po trafieniu grzybkują i rozpadają się na odłamki rozszarpując wnętrze ofiary... Szczęki Croftsa były zaciśnięte z całej siły, gdy wyszedł z rovera i skierował się w stronę drzwi kierowcy.

Modlił się w tej chwili z całych sił. Nie modlił się o nic poza wiecznym odpoczywaniem dla sierżanta Boschego od czasów, kiedy był małym dzieckiem, ale teraz była to bardzo szczególna i zupełnie odmienna modlitwa. O to, żeby mu było dane wpakować jeden z tych pocisków - tylko jeden, Boże, o nic więcej nie proszę - w skurwysyna, który zastrzelił Erica.

Młody policjant zwisał bezwładnie z opartą o kierownicę głową. Przechyliła się na bok jak u pajaca, gdy przesuwał umundurowane ciało na sąsiednie siedzenie. Czapka chłopca leżała obok niego. Crofts odniósł wrażenie, że musiał być z niej bardzo dumny. Delikatnie umieścił ją na jego biednej, wykrzywionej w męce twarzy, wsiadł i sięgnął do zapłonu.

Zaledwie parę chwil zajęło mu doprowadzenie samochodu do skraju drogi tak, aby przednie koła spoczęły na łagodnym stoku, w dole którego widniały czarne sylwetki jałowców. Znajdą wóz, przeszukując drogę o świcie - ale on zyska może trochę czasu, żeby odejść z tego miejsca i zrobić pewne rzeczy z pewnymi ludźmi.

Wyłączył silnik, wyslizgnął się na zewnątrz, zwolnił hamulec i naparł mocno ramieniem. Biały samochód z dwoma martwymi policjantami w środku podskakując potoczył się w dół, aż wreszcie Michael usłyszał trzask pękających gałęzi. Spojrzał na zegarek - była prawie czwarta rano.

Kiedy zaczął iść wzdłuż ciemnej drogi, trzymał beretę M 951 w ręku, gotów w każdej chwili skoczyć w bok na widok kogoś nadjeżdżającego lub nadchodzącego. Pistolet, jego dawniej nieodstępny towarzysz, znowu dodawał mu otuchy. Crofts nie miał obecnie żadnego poczucia winy ani w związku z daną Pamelii obietnicą zerwania z dotychczasowym życiem, którą miał zamiar złamać, ani z powodu śmierci Erica czy też cierpień, jakie Laurze przyniesie jej wdowieństwo. Było w nim jedynie przynaglające do działania pragnienie zemsty.

Postępował jednak dość dziwnie jak na zbiegłego potrójnego mordercę. Logiczne argumenty - podsunęte mu z jakichś niejasnych powodów przez zamaskowanego mężczyznę - stały w sprzeczności z szaleństwem, jakim było kierowanie się prosto na północ, w stronę Auchenzie. Jego jedyna droga ucieczki leżała dokładnie w przeciwnym kierunku - prowadziła do Londynu i portów na południu. Zwłaszcza że powinno mu przecież szczególnie zależeć na zniknięciu z tej okolicy, zanim zostanie podniesiony alarm i blokada dróg uniemożliwi ucieczkę.

# Rozdział XIV

Wędrujące białe światło wydobyło brutalnie z ciemności nocy każde drzewo. Crofts przywarł płasko do ziemi i czekał do chwili, gdy wolno przejeżdżający samochód policyjny minął go. Potem wstał i znowu ruszył w stronę Auchenzie. Była czwarta trzydzieści rano, najwyraźniej zorganizowanie poszukiwań nie zabrało im wiele czasu. Od tej chwili mógł się czuć awansowany z pierwszego podejrzanego w sprawie o małe miejscowe morderstwo na najbardziej poszukiwanego mordercę w Szkocji.

Kiedy wreszcie minął Den of Tarvit, dostrzegł w oddali migające niebieskie światła. Policja wciąż tam była, przeszukując w bardziej zdecydowany sposób trasę, którą land rover przebył przed zniknięciem. W niewielkim posterunku policyjnym w Auchenzie również paliło się światło, przed budynkiem stały samochody, a w poczekalni widać było ciemne postacie. Crofts bez trudu wyminął budynek trzymając się w cieniu. Był mistrzem w sztuce bezszelestnego poruszania się, a poza tym któż mógłby spodziewać się go tutaj? Każdy uciekinier, który miałby choć trochę rozsądku, starałby się jak najszybciej zwiększyć odległość dzielącą go od prześladowców. Nie zbliżałby się spokojnie do siedziby łowców.

Hotel „Caledonian” podobnie jak pozostała część wioski był ciemny. Dobrzy mieszkańcy Auchenzie próbowali nacieszyć się tym krótkim czasem na sen, jaki pozostał im po emocjach wywołanych awanturą w publicznym miejscu i niezwykle paskudnym morderstwem. Wejście przez tylne okno i odnalezienie recepcji nie było specjalnie trudne Crofts przestudiował księgę gości w mdłym świetle lampy ulicznej: pokój 3: pan Mulders; pokój 4: pan van der Spuy; pokój 5: pan Kruger - dość egzotyczne nazwiska jak na prostych chłopaków ze szkockiej farmy, ale mimo wszystko zupełnie legalne... a w końcu pokój 6: pan H. Mearns.

Crofts po cichu przeszedł wzdłuż ciemnego korytarza. Zatrzymał się na chwilę, słysząc skrzypienie starych desek podłogowych. Odciągnął po cichu kurek beretty, gdy pan Mulders w pokoju numer trzy przekręcił się i ziewnął po drugiej stronie drzwi. Delikatnie przycisnął klamkę, wsunął się do pokoju numer sześć... i wymruczał ciche przekleństwo. Łóżko było puste - Harry'ego Mearnsa nie było w domu.

Ale pan Mulders niewątpliwie był. Crofts przełknął rozczarowanie, że stracił okazję pogawędki z Harrym. Wrócił do pokoju numer trzy, wepchnął lufę beretty prosto między mocne białe zęby chrapiącego łagodnie Muldersa i powiedział uprzejmie:

- Cześć, Mulders. Piśniesz choć sylabę i wystrzelę ci twój pieprzony mózg prosto do nocnika!

Z ciemności wpatrywały się w niego oczy wielkości piłeczek pingpongowych. Mulders nie poruszył nawet brwią. Leżał wyprostowany, z lufą ciężkiego pistoletu wbity w czarną rozkudłaną brodę i czekał na sugestię Croftsa, w jaki sposób mógłby przeżyć najbliższe sześćdziesiąt sekund.

Crofts wolno cofnął berette, przekonany, że zawarli zadowolające porozumienie duchowe.

Jednocześnie z przykrością uświadomił sobie, że w pokoju unosi się smród dawno nie pranych skarpetek. Pan Mulders nie mógł twierdzić, iż jest człowiekiem znanym z czystości. Crofts cofnął się i otworzył okno, zanim ponownie stanął przy łóżku.

- Siadaj, Springbokdung - oznajmił. - Połóż dłonie na głowie, jakby czubek czaszki miał zamiar odskoczyć ci do góry i walnąć w sufit - co wcale nie jest wykluczone. A potem szybko powiedz mi, gdzie podział się stary dobry Harry.

- Jest na farmie - wykrztusił nieszczęśnik, siadając prosto i przyciskając mocno ręce do czubka głowy. - Policja go wezwała. Chcieli, żeby przyjechał do Tarvit jako karbowy... brygadzysta, ja?

- Wiem, co to znaczy karbowy, - warknął Crofts. - Dobra, a więc teraz zgłosiłeś się na ochotnika, żeby mi opowiedzieć parę rzeczy. Przede wszystkim - kto załatwił Erica Harleya?

Najpierw na twarzy Muldersa odmalowało się szczere zdziwienie. Nie musiał już odpowiadać. Crofts się domyślił, że Mulders - a zapewne i Harry - wierzą, że to on zabił swojego przyjaciela.

- Przejdźmy do pytania numer dwa, Mulders. Co to za operacja, którą prowadzicie na farmie? Jaki jest jej cel? Bur przełknął ślinę.

- Zabiją mnie, jeżeli powiem.

- Nie, nie zrobią tego - z całą szczerością zapewnił go Crofts - bo uprzedzę ich i za jakieś dziesięć sekund będziesz już dokładnie martwy, przyjacielu!

- Broń! Mamy zamiar przerzucać broń dla IRA...

Crofts uderzył Muldersa lufą pistoletu, rzucając go na ukos przez łóżko. Potem schwycił go za brodę i ponownie uniósł do pozycji siedzącej, nie zwracając najmniejszej uwagi na krew sącząca się z jego rozciętego policzka. Brutalnie wepchnął lufę beretty pod brodę pojękującego mężczyzny.

- Nie, Mulders. Jeszcze raz.

- Porwanie - wydobyło się spomiędzy dygocących z bólu warg. - To kontrakt na porwanie, panie Crofts.

- Porwanie czego? Oceanicznej rury wodociągowej przy pomocy waszej nocnej marynarki?

- Co pan wie o „Marauderze”? - spytał jękliwie przesłuchiwany nieszczęśnik.

Crofts wzruszył ramionami.

- Chwilowo nic! Poza tym, że wymieniłeś nazwę operacji. A teraz postaramy się, żeby ci uratować życie, Springbok. Teraz powiesz mi, co macie zamiar porwać.

- N...nie mogę po...

Crofts uniósł beretę do drugiego zamachowego ciosu i brodaty Bur cofnął się z przerażeniem.

- Nazywają to „Włócznik”... „Włócznik!” Crofts zawahał się, spoglądając na tamtego oceniającym wzrokiem. „Włócznik”? To mogło być prawdą. „Rybie mózgi”... Ryba-włócznik. W połączeniu z bazą RN Ardarroch i kawałkiem rury kanalizacyjnej, która dla celów ćwiczebnych mogła doskonale zastępować, powiedzmy... torpedę? Zapewne eksperymentalną torpedę. A najprawdopodobniej ściśle tajną eksperymentalną torpedę.

Czy jednak znaczyło to, że Mearns, Mulders i spółka wplątani byli w coś w rodzaju szpiegostwa i pracowali dla jakichś wrogich sił, najprawdopodobniej z Bloku Wschodniego?

- Co to za „oni”, Mulders? - zapytał Crofts wymawiając z naciskiem każde słowo. - Kto wam płaci?

Wiedział jednak, że traci czas. Facet był zbyt przerażony „nimi”, i choć Crofts w swoim obecnym stanie ducha był zdecydowany palnąć mu w łeb, to jednak zdawał sobie sprawę, że byłaby to zbyt hałaśliwa operacja. Zbyt hałaśliwa jak na małą, cichą szkocką wioskę pełną złych policjantów.

Mimo to próbował jednak dalej. Usadowił się wygodnie na łóżku i sadystycznie wolno przesunął lufą po krwawiącym rozcięciu na policzku Muldersa. Zatrzymał dłoń dopiero wtedy, gdy znalazła się dokładnie na wysokości wytrzeszczonego prawego oka Bura.

- Właśnie pokonałem pierwszy opór spustu, Mulders - szepnął Crofts - i zaczynam być bardzo spięty. Mogę stać się jeszcze bardziej spięty, jeżeli nie odpowiesz mi natychmiast. A teraz: kto was wynajął, żebyście porwali „Włócznika”?

- Nie powiem nic więcej... - wychrypiął Mulders.

Crofts nagle uzyskał pewność, że może uwierzyć w tę ostatnią, wyduszoną z niego obietnicę... Raptem bowiem rozległo się miękkie łupnięcie, a przerażony mężczyzna obok niego szarpnął się gwałtownie i schwycił go za ramię. Z jego otwartych ust wypłynęła krew i spłynęła po czarnej brodzie. I Crofts ponad wszelką wątpliwość zorientował się, że pan Mulders z pokoju numer trzy w hotelu „Caledonian” w Auchenzie rzeczywiście nic już nikomu nie powie.

Przycisnął się płasko do ściany z pistoletem skierowanym w stronę okna, które sam wcześniej otworzył. W chwilę później pracownik Harry’ego Mearnsa osunął się bokiem na łóżko i Crofts zauważył sterczącą z jego boku rękojeść noża. Dopiero wtedy, niestety zbyt późno, uświadomił sobie, że na scenie kolejnego morderstwa znajduje się bardzo dużo jego własnych odcisków palców.

Co oznacza, że obecnie stał się pierwszym podejrzanym o dokonanie aż czterech straszliwych morderstw... z których nie popełnił, do diabła, żadnego.

# Rozdział XV

Crofts coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. W ciągu paru ostatnich godzin zginęło czworo ludzi. Trzej pierwsi - Harley i policjanci - zostali usunięci w taki sposób, by skierować wszystkie podejrzenia właśnie na niego... Poza tym wyglądało na to, że działają dwa odrębne i niezależne zespoły uderzeniowe.

Czwarty nieboszczyk, jaki ostatnio został zapisany na jego konto, był przynajmniej choć trochę odmienny. Najprawdopodobniej Mulders został załatwiony w rozczulająco prostolinijnej intencji uciszenia go. Ale kto zakłuł nieszczęsnego Bura? Czy również załatwił to morderca Erica, czy też było to dzieło Szramowatej Ręki i jego Wełnianych Facetów? Albo może produkt aktywności jakiegoś, będącego dotąd poza wszelkimi podejrzeniami, trzeciego, czwartego czy piątego osobnika, grupy, pułku, czy też może całej cholerniej armii? Crofts miał niemiłą świadomość, że nie wie nawet, jak wielu ludzi czy też grup ludzi jest w to wszystko zamieszanych.

Podstawą sztuki przeżycia był wywiad - tak jak określa to wiedza wojskowa: „Zbieranie i analiza informacji dotyczących nieprzyjaciela”. Z drugiej jednak strony zbieranie informacji wywiadowczych wymaga możliwości ich przekazywania. Tymczasem środki łączności w Auchenzie ograniczały się do pokrytej napisami budki telefonicznej przed posterunkiem policji okręgu Strathclyde i wymagały dodatkowo pełnej kieszeni odpowiednich monet wypuszczonych przez mennicę Jej Królewskiej Mości.

Crofts chyłkiem wymknął się przez otwarte okno. Zostawiał za sobą ciało Bura Muldersa, żeby czekało na przebudzenie hotelu „Caledonian”. Nie mógł ryzykować pozostawiania tu dłużej. Ale nie mógł też się powstrzymać, aby nie pomyśleć przez moment, czy Laura w dalszym ciągu łąka w swej samotnej rozpacz w jednym z tych cichych hotelowych pokoi. A może wróciła już do Tarvit? Może inspektor Duncan zabrał ją na dalsze przesłuchanie?

Znowu odczuł gwałtowną potrzebę zdobycia jakichś informacji o tym, co się wokół niego działo. Musiał znaleźć jakąś tymczasową kryjówkę, gdzie będzie mógł pomyśleć, nawiązać kontakt... by rozplątać ten zawikłany węzeł. Ale gdzie? Gdzie będzie stosunkowo bezpieczny, a jednocześnie będzie miał dostęp do telefonu?

I nagle, gdy przemykał się pośród cieni przed maleńkim wiejskim posterunkiem policji, przyszło mu do głowy, że może zna takie miejsce. Na pewno nie będzie tam nikogo przez najbliższy dzień, prawie na pewno jest tam telefon i będzie to ostatnie miejsce w Szkocji, w którym policja zacznie szukać swego najbardziej niebezpiecznego przestępcy.

Znajdowało się dosłownie tuż obok ich własnego centrum dowodzenia akcją.

„Sklep Sztuki Ludowej i Wyrobów z Tweedu” był ciepły, wygodny i rzeczywiście miał telefon. Crofts był niezmiernie wdzięczny swej mimowolnej gospodyni, pani MacLaren - która zgodnie ze słabo pamiętaną uwagą, zrobioną przez Laurę poprzedniego wieczoru - miała być poddawana

jakiemuś zabiegowi w szpitalu w Oban przez cały następny dzień. Biedna Laura nie mogła zastąpić jej, jak obiecała, nie w obecnej sytuacji. Stanowiło to szansę, którą zmęczony uciekinier nie mógł pogardzić.

Bardzo zwyczajny zamek, pogrążone w ciemności boczne drzwi i karta American Express: trudno byłoby to nazwać wyrafinowanym kunsztem. Crofts, któremu na krótko przestał zagrażać bezpośredni pościg, poczuł się uradowany jak dziecko. Pomyślał sobie, że może mógłby zostać dobrym zawodowym włamywaczem, byłaby to jednak zdecydowana degradacja, skoro został uznany za poczwórny mordercę.

Przeszedł ostrożnie między wieszakami pełnymi kiltów i półkami z pamiątkami ze Szkocji. Znajdował się tam nawet niewielki pokój na zapleczu, wykorzystywany przez panią MacLaren jako biuro i magazyn. Crofts zamknął wewnętrzne drzwi, zapalił światło i dzięki pozostawionemu na podorędziu elektrycznemu czajnikowi i dzbankowi mógł zrobić sobie filiżankę herbaty. Nie było mleka, ale to mu nie przeszkadzało. Na schludnie utrzymanym biurku położył obok siebie berettę M 951. Stanowiła dla niego o wiele większe źródło psychicznego komfortu.

Przede wszystkim wziął kawałek ładnego różowego papieru używanego przez panią MacLaren do notatek i napisał na nim trzy nazwiska:

Simpson

Szramowata

Ręka

Mearns

Ze zmarszczonym czołem patrzył przez chwilę na papier, a potem dodał czwarte nazwisko i z wahaniem postawił przy nim znak zapytania:

Pamela Trevelyan?

Jego grymas wywołany był ponurą pogardą dla własnych podejrzeń. Crofts walczył jednak obecnie o życie i jego zaufanie umarło, gdy cztery pociski dum-dum odebrały życie Ericowi Harleyowi. Dopisał na liście jeszcze jedno imię - piąte.

Laura.

Mimowolnie wyciągnął rękę i zaczął głaskać leżący przy nim pistolet. Potem odchylił się na oparcie i zapatrzył w różowy papier. Jeżeli tylko nie było innych, nieznanymi uczestników wydarzeń w Auchenzie, to na tej liście musiało znajdować się nazwisko zabójcy Erica albo przynajmniej człowieka, który zorganizował jego morderstwo. Crofts stuknął się pięścią w czoło. Nie mógł obecnie pominąć żadnej z ewentualności. Czemu nie mogła to być Pamela Trevelyan? Czy to, że odjechała do Londynu, nie było tylko jego przypuszczeniem? Tak jak zakładał do tej pory, że Laura istotnie jest pogrążoną w żalu wdową.

Crofts naprawdę zaczynał siebie nienawidzić. Na świecie było tylko czterech ludzi, którym mógłby zawierzyć życie. Dwóch z nich nie żyło: Eric Harley i sierżant Bosche i ironią losu było, że zginęli od pocisku wystrzelonego z tego samego pistoletu - jego pistoletu. Pozostałe dwie osoby żyły.

I kochał je obie...

Bez względu na to, jak samolubnie pragnął uczucia tych dwóch kobiet, umieścił jednak ich imiona na liście. A dla Croftsa była to nie tylko zwykła lista podejrzanych - stanowiła również świadectwo jego zdecydowania.

Sprawa przedstawiała się następująco. Ktokolwiek okaże się winnym - mężczyzna czy kochana kobieta - był całkowicie zdecydowany go zabić.

Prawie siódma rano. Musiał schwycić byka za rogi, bez względu na rezultat. W przypadku Pameli Trevelyan istniał jeszcze jeden dodatkowy i nie mniej ważny powód pośpiechu. O tej porze dostarczano właśnie poranne gazety tym, którzy wcześniej wstawali, aparaty radiowe zaś dopiero budziły się do życia. Było więc mało prawdopodobne, że Pamela miała już szansę dowiedzieć się o masakrze w Auchenzie.

On zaś musiał uzyskać informacje o „Włóczniku” Muldersa. Jaki to naprawdę rodzaj broni i jak ważne dla interesów państwa jest jego bezpieczeństwo. A może przede wszystkim należałoby poznać szczegóły programu obecnych badań w Ardarroch, aby zorientować się, gdzie i kiedy nastąpi porwanie.

Wybrał londyński numer i musiał długo czekać. Zauważył nagle, że znowu się modli: żeby była w domu, co stanowiłoby dowód, że nie mogła pociągnąć za spust i wystrzelić tych pocisków, które odebrały Ericowi życie.

Słuchawkę podniosła sama Pamela. Trochę niepewnie, jakby wbrew swojej woli. Zmarszczył czoło, zanim się odezwał.

- Pamela?

- Michael? Och, Michael!

- Nie mamy wiele czasu - powiedział. - Proszę cię, Pam, zaufaj mi, nie wierz w nic, co możesz usłyszeć. Mówiła szybko, głosem pełnym napięcia:

- Wierzę ci, Michael. Ale nic mi nie mów! Nie można!

W słuchawce słyhać było szum i Crofts poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. A potem Pam odezwała się ponownie, jakby nie mogąc złapać tchu:

- Już tu są, Michael - policja! Ktoś mnie zobaczył wczoraj z tobą w Auchenzie - ta twoja Groźna Matka. Ustalili mój adres na podstawie rejestru hotelowego.

Znowu szum i stłumione trzaski, jakby ktoś schwycił słuchawkę. W tle rozległ się rozgniewany męski głos:

- Panno Trevelyan, ostrzegaliśmy panią, żeby nie...

- Zostawcie ją w spokoju, ona nic nie wie! - wrzasnął Crofts. - Ona nic nie może wiedzieć, do diabła!

- Michael, oni ustalają, skąd dzwonisz! O Boże, kocham cię, najdroższy, KOCHAM CIĘ...

Crofts z trzaskiem odłożył słuchawkę. Dygotał z wściekłości. Ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę zaczął kłąć, najpierw po cichu, a potem z narastającą pasją. Sukinsyny! Cholerne sukinsyny! Schwycił gwałtownie książkę telefoniczną i przerzuciwszy kartki znowu sięgnął do telefonu.

Tym razem w słuchawce rozległ się męski, chłodny i kompetentny głos:

- Marynarka Wojenna Ardarroch.

- Z komandorem Simpsonem proszę - odezwał się] sucho Crofts. - Komandorem Edwardem Simpsonem.

- Chwileczkę, sir.

W słuchawce rozległo się prztyknięcie i Crofts zaczął ciskać, przesuwał mimowolnie palcem po lufie beretty. Myślał o Pameli i nienawidził sam siebie za poprzedni brak zaufania do niej. Nie mógł jednak zignorować możliwości jej udziału. A teraz to podejrzenie na zawsze legnie między nimi.

Bezcielesny głos odezwał się ponownie:



- Czy mógłby pan podać swoje nazwisko, sir? Crofts zawahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. Simpson i tak wkrótce się dowie.

- Crofts... - warknął. - Major Crofts.

Tym razem zawahano się po tamtej stronie przewodu, zapadła pełna zaskoczenia cisza, a potem telefonista odkaszlnął.

- Nie ma tu komandora Simpsona, sir. Nie mamy w naszej jednostce zarejestrowanego żadnego oficera o tym nazwisku.

Crofts popatrzył kamiennym spojrzeniem na ścianę.

- Chcę mówić z komandorem Simpsonem, kolego. I teraz niech mnie pan połączy.

- Przykro mi, ale mogę jedynie powtórzyć - nie ma tu żadnego komandora Simpsona. Ani nikogo w innym stopniu o tym nazwisku. Może gdyby powiedział mi pan, skąd dzwoni, mógłbym...

Dzwonki alarmowe były zbyt natarczywe, by Crofts mógł je zignorować. Rzucił słuchawkę, niwecząc możliwość wytropienia go, i siedział przez dłuższą chwilę wpatrując się w leżącą przed nim różową kartkę papieru.

Potem wstał, ułożył parę tartanowych samochodowych kocy na podłodze, formując z nich poduszkę, i położył obok berettę M 951. Wyłączył światło i wyciągnął się z pełnym wdzięczności westchnieniem.

Crofts był doświadczonym żołnierzem, ale pokrzyżowano mu szyki w jego poczynaniach wywiadowczych. Jego jedyne linie łączności zostały zablokowane, mógł więc wykorzystać swoją niemożność działania jak na dobrego żołnierza przystało. Na niewiele więcej mógł liczyć do chwili, kiedy ponownie zapadnie ciemność. Cokolwiek ma się zdarzyć, nastąpi najwcześniej w piątkową noc. Wniosek taki można było wyciągnąć na podstawie owych zaskakujących wakacji, które Eric zaproponował Laurze. Dopiero wtedy jakakolwiek operacja związana z „Włócznikiem” mogła się rozpocząć. A teraz był dopiero czwartek rano.

Kiedy jednak spróbował zasnąć, zorientował się, że pierwszy raz w życiu nie może zapanować nad sobą. Wciąż coś mu nie pasowało w tej sprawie z Auchenzie. Coś, co cały ten zwariowany koszmar czyniło jeszcze bardziej zwariowanym.

No dobrze, a więc przeanalizujmy samego „Włócznika”... Wiedział wystarczająco dużo, aby domyślić się, że jest to jakiś rodzaj ściśle tajnej broni - broni, która potrafi „myśleć”. Niewątpliwie stanowiła skok o całą generację w zakresie broni podwodnej, a prawdopodobnie również i w aktualnie użytkowanych systemach naprowadzania pocisków typu ziemia-powietrze. Stanowiła więc zdobycz, za którą każdy z rządów zza Żelaznej Kurtyny dałby bardzo wiele. „Włócznik”, jeżeli jego rozumowanie było właściwe, mógł stać się sukcesem dziesięciolecia.

Zaczął czuć się coraz bardziej niepewnie. Szpiegostwo! Zabawa dla wyspecjalizowanych graczy, nie zaś zwykłych najemników. Pajęcza gra pomiędzy supermocarstwami.

Nagle znowu gwałtownie usiadł: do diabła, dlaczego przypuszcza, że jest to jakaś forma operacji szpiegowskiej? Samą istotą szpiegostwa było to, że nocny drapieżnik skradał się, kradł i znikał bez śladu. Jest to zawsze tajna, prowadzona bez rozgłosu działalność, której sukces polega na zdobyciu tajemnic nieprzyjaciela tak, aby nigdy się o tym nie dowiedział. Można wtedy wykorzystać swoją tajną wiedzę i wyprodukować systemy obronne nie zmuszając nieprzyjaciela do kolejnego opracowywania przeciwdziałać przeciwko twoim przeciwdziałaniom...

Co więc, u diabła, dzieje się wokół Auchenzie, gdzie najrozmaitsze grupy zostały zdekonspirowane z subtelną przypominającą bitwę nad Sommą? Jeżeli nawet założy się, że w

sprawę wplątani są Sowietci, to gdzie się podziało ich rzekome wyrafinowanie? Zawsze prowadzili swoje szpiegowskie działania za pomocą szantażu i elektronicznego podsłuchu, rozpowszechniania fałszywych informacji i wymuszania... No cóż, bez względu na to, jakie metody stosowało KGB, z całą pewnością nie należało do nich wynajmowanie bandy trzeciorzędnych najemników po to, żeby porwali jakąś cholerną, ściśle tajną broń.

Crofts położył się znowu czując ogarniającą go irytację. Zamknął oczy i próbował zaprzestać prób rozwiązania nierozwiązywalnego, a zamiast tego skoncentrować się na wszystkich dobrych rzeczach, które mu się przytrafiły od chwili spotkania obecnie nie istniejącego komandora Simpsona z Royal Navy.

Nie trwało to długo. Zasnął mocno w ciągu sześćdziesięciu sekund.

Miał wrażenie, że obudził się zaledwie po kilku chwilach. Gdzieś w oddali słychać było syrenę - krótkie, urywane, przenikliwe sygnały szybko jadącego samochodu policyjnego. Potem rozległ się wizg hamulców i tupot biegnących stóp gdzieś w głębi ulicy. Crofts leżał przez parę minut z dłonią na kolbie pistoletu, ale nic się nie stało. Nikt nie okazał zainteresowania jego kryjówką. Przekręcił się na bok i znowu zasnął - najwidoczniej odnaleziono Bura Muldersa.

Kiedy obudził się ponownie, świat wokół niego był wciąż nieprzenikliwie czarny. Tym razem drgnął gwałtownie, otworzył szeroko oczy czując, jak wszystkie jego zmysły zaczynają wysyłać sygnały alarmowe. Był na nogach z berettą M 951 gotową do strzału, zanim uświadomił sobie, że jest po jedenastej rano i znajduje się w zaciemnionym pokoju.

Potem usłyszał jakieś odgłosy w pobliżu. Dochodziły do wnętrza sklepu. Ktoś chodził po nim, wcale nie próbując ukryć swojej obecności... Ale skoro pani MacLaren rzeczywiście znajduje się tego dnia w szpitalu w Oban, to kto może tam teraz chodzić?

W tej samej chwili drzwi do pokoju na zapleczu zaczęły się otwierać i pierwsza smuga światła dziennego padła na półki z pledami w szkocką kratę, pudełkami z kruchymi ciasteczkami opatrzonymi napisem „Pozdrowienia z Auchenzie” i ceramicznymi mini-Szkotami z wytrzeszczonymi oczyma. - Crofts czekał przyciśnięty plecami do ściany, z ręką na włączniku światła i uniesionym pistoletem.

Drzwi otworzyły się szeroko. Crofts przemknął za wchodzącą sylwetką, zatrzasnął ponownie drzwi, uderzył we włącznik i wbił lufę beretty w plecy zaskoczonego przybysza.

Kiedy odwróciła się, jej twarz zbladła pod wpływem przeżytego szoku. Spostrzegł połyskujące ślady na wpół wyschniętych łez wokół przerażonych oczu i podkreślone przez światło lamp w magazynku zaczerwienione od płaczu powieki.

Opuścił pistolet i powiedział bezradnie:

- Laura? Jezu, strasznie cię przepraszam, Lauro...

Stali przytuleni do siebie przez dłuższą chwilę bez słowa, czerpiąc z siebie nawzajem tak potrzebną im otuchę. I w tym momencie wzajemnego zrozumienia Crofts zorientował się, że jego najczarniejsze podejrzenia okazały się bezpodstawne. Niewątpliwie trzymał w ramionach uosobienie wdowiego smutku. Jej świeże łzy stanowiły dowód, że w żaden sposób nie przyczyniła się do śmierci Erica.

I jeszcze jedno. Siła jej uścisku powiedziała mu, że równie zdecydowanie uznała jego niewinność. Z tego powodu Crofts zmówił w myśli trzecią modlitwę tej nocy, ale tym razem była to modlitwa dziękczynna.

- dlaczego? - zapytał. - Dlaczego tu przyszłaś? Po, po tym wszystkim, co się stało?

Spojrzała na niego i powiedziała po prostu:

- Co innego mogłabym zrobić? Nie mogę teraz nawet myśleć o powrocie na farmę, a „Caledonian” jest pełen policjantów.

- Mulders?

- Wiesz o tym? Skinął posępnie głową.

- Wiem! Nie mam pojęcia, kto to zrobił, wiem jednak, że nie żyje.

- Nie mam w Szkocji żadnych prawdziwych przyjaciół. Sądziłam po prostu, że praca w sklepie pomoże mi tak samo, jak pomagała pani MacLaren. Jest również samotną wdową.

Crofts wziął ją za rękę. Nie stawiała oporu, ale i nie odwzajemniła mu uścisku.

- Nigdy nie musisz czuć się samotna, Lauro - powiedział łagodnie.

Zaczęła łkać cicho i znowu przeklął się w duchu. Wcale nie chciał, żeby to zabrzmiało w ten sposób. A może jednak chciał...? Z zakłopotaniem przygotował herbatę, uchylając drzwi swojego dobrowolnego więzienia na chwilę potrzebną do zagotowania wody i rzucił okiem na ulicę przez okno sklepiku. Auchenzie wyglądało dość spokojnie, nie zauważył nadmiernej obecności policji, przynajmniej w swoim dość ograniczonym polu widzenia.

Miał właśnie zamiar ponownie zamknąć drzwi, kiedy usłyszał znajomy warkot. Przed oknem przejechała wolno niebiesko-biała policyjna panda, a za nią złocisty mercedes. Za jego kierownicą również siedział mundurowy policjant, ale był to samochód Croftsa. Wydarzenie to, choć właściwie bez znaczenia w porównaniu z tym, co się już stało, podkreśliło jednak wyobcowanie Michaela. Kiedy odwrócił się, jego spojrzenie było jeszcze bardziej twarde.

W pokoiku-magazynie była tylko jedna filiżanka. Korzystali z niej na zmianę i dzielnie próbowali mówić o przyszłości do chwili, gdy oboje uznali, że perspektywy będą bardzo ograniczone dopóty, dopóki nie zostanie rozwiązana zagadka śmierci Erica.

W gruncie rzeczy im dłużej Crofts słuchał Laury, tym mniej widział szans powodzenia. Przytłumionym głosem opowiadała mu, jak inspektor Duncan przez cały czas traktował ją poprawnie, zachowując jednak chłodny dystans, będący świadectwem niewypowiedzianego potępienia roli, jaką odegrała w tej tragedii. Policja była przekonana, że Crofts zamordował ich kolegów w czasie udanej próby ucieczki. Prawdopodobnie Duncan podejrzewa go również o zabójstwo Muldersa. Kryminolodzy musieli już ustalić, że znajdował się w pokoju Muldersa w chwili jego śmierci. Ewentualnymi motywami Croftsa nikt się prawdopodobnie nie przejmował.

Michael aż kipiał ze złości.

- Ale kiedy mu powiedziałaś, jaki był prawdziwy powód mojego przyjazdu tutaj i o tych wszystkich wiążących się z Ardarroch odkryciach, to czy Duncan uwierzył choć jednemu twojemu słowu? Czy ma chociaż trochę wątpliwości co do mojej winy?

Przerwał, uświadamiając sobie, że Laura patrzy mu beznamiętnie w oczy. Chyba zbyt beznamiętnie. I właśnie brak jakiegokolwiek uczucia w jej spojrzeniu sprawił, że zawahał się czując, jak ogarnia go lodowate uczucie nowego i niespodziewanego lęku.

- Nie wiem, Mike. Nie powiedziałam mu tego - odparła.

Zmusił się do pełnego niedowierzania uśmiechu, który jednak wkrótce zniknął, pozostawiając jedynie niedowierzanie.

- Nie powiedziałaś... Chryste, Lauro, co to ma znaczyć?

- To, że chciałam, aby Duncan uznał, że to ty zamordowałaś Erica i wszystkich innych... Zwłaszcza innych. Twoja obecność na miejscu ich zabójstw okazała się bardzo użyteczna.

Patrzyła mu prosto w oczy i nie widział w jej spojrzeniu nawet cienia zażenowania.

- Widzisz, Mike, ja chciałam przekonać policję, że jesteś całkowicie amoralnym draniem mordującym z zimną krwią. Bez cienia skrępułów.

# Rozdział XVI

Crofts gapił się na Laurę z najwyższym osłupieniem. Nie potrafił opanować rozgoryczenia.

- Czy przyszło ci na myśl, że nawet jeżeli masz w nosie sprawę oczyszczenia mnie z zarzutów, to prawda mogłaby przynajmniej skierować policję na trop prawdziwych morderców Erica?

- Albo pomogłaby ich ochronić, Mikę - odparła z widocznym na jej twarzy spokojnym wyrachowaniem. - I ja chcę, żeby zostali odnalezieni i ukarani. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Znowu dostrzegł tę nie złagodzoną niczym wrogość. Wyglądało jednak, że jej nienawiść nie jest skierowana przeciwko niemu - chyba uważała go raczej za ofiarę, a nie przyczynę nieszczęścia.

- Może zechcesz mi to wyjaśnić - mruknął wreszcie. - W jaki sposób przedłużanie mojej ucieczki może dopomóc złapaniu kogoś, o kim policja nawet nie wie, bo jeszcze im nie powiedziałaś? Jej oczy złagodniały.

- Byłam tam, pamiętasz? Przesłuchiwał mnie inspektor Duncan, wypyując, jakie możesz podjąć następne kroki.

Wystarczająco dobrze potrafiłam wyczuć tok jego myśli. Wiem, że jest przekonany, iż uciekasz na południe. Będą poszukiwać cię w najbliższej okolicy dzisiaj - a potem wycofają większą część dodatkowych sił policyjnych z aneric... to porwanie... prawie na pewno jest działaniem zaangażowanych w polowanie na ciebie i na szkodę naszego kraju? Mówiąc brutalnie i szczerze - on Crofts nie zdołał się opanować. Mearns planowali zdradę.

- Jestem cholernie z tego powodu szczęśliwy - warknął Mike. Proszę - rzekła drżącym głosem. - Będę czterokrotnie przegrany, ale przynajmniej Musiał jednak skończyć, teraz bez specjalnego ryzyka zdołam pójść na przechadzkę! Miał dopomóc w skradzeniu brytyjskiej tajnej broni.

- Nie bądź głupi! - odpowiedziała gwałtownie Laura Lauro Mulders mi to potwierdził. Nazwał to Włócznik - To oznacza, że do jutrzejszego wieczoru Auchenzie znowu będzie spokojne a ty pozostaniesz przez jakiś czas w ukryciu.

Położył ręce na jej ramionach i popatrzył prosto w oczy To, co musiał jej powiedzieć, będzie dla niej trudne do przyjęcia.

- Czy wiesz, że akcja, do której przygotowywał.

- Myślałem o Simpsonie.

Tym razem ona spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ale przecież to on jest odpowiedzialny za twój przyjazd.

Mógłbyś mu zaufać? - To sprawa priorytetów. Jeżeli Simpson był zamieszany w sprawę śmierci Erica, załatwimy się z nim później. Ale w obecnej chwili potrzebujemy przyjaciela na dworze - I to w pełni lojalnego przyjaciela. Simpson musiał uzyskać od bezpieczeństwa Ministerstwa Obrony klauzulę dostępu do spraw ściśle tajnych. Nie dopuściliby go nawet w pobliże bazy marynarki w

Ardarroch, gdyby miał jakiegokolwiek kontakty z Sowietami. A poza tym jest emerytowanym oficerem Royal Navy, podłączonym do sieci „starych kumpli”. Ma kontakty i odpowiednią rangę, by rozgrywać wszystko dyskretnie. Jest również graczem, Lauro. A my potrzebujemy gracza.

No dobrze, wiedział, że dzwonki alarmowe wciąż mu dzwonią w podświadomości. Znał Erica o wiele bliżej niż Simpsona i prosił, co pozostało z dawnych lojalności... ale musi podjąć tę jedyną szansę. Nie wiedział zbyt wiele o możliwościach „Włócznika” jako broni, ale nawet to, czego się już domyślał, zaczynało go przerażać.

- Sądzę jednak - odezwała się Laura - że nie będziesz mógł dostać się do Ardarroch, do Simpsona. Byłoby ci raczej trudno przejść przez bramę i zażądać widzenia się z nim.

Uśmiechnął się posepnie.

- Może znalazłem sposób - powiedział sięgając po słuchawkę telefoniczną - żeby jeden nie istniejący człowiek skontaktował się z drugim.

- Baza Marynarki Wojennej w Ardarroch. Czym mogę służyć, sir?

Tym razem był to głos kobiety, najprawdopodobniej telefonistki z WRNS. Crofts odezwał się obojętnym tonem tym razem:

- Z komandorem Edwardem Simpsonem proszę.

Po drugiej stronie nastąpiło tylko króciutkie wahanie. Musiała być doskonałą telefonistką - najwidoczniej znającą nazwiska całego personelu, a nawet regularnie odwiedzających bazę osób, i mogła odpowiadać bez namysłu. Albo została dokładnie poinstruowana.

- Nie mamy tu komandora Simpsona, sir. Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Sądzę, że powinna pani upewnić się w tej sprawie u oficera dyżurnego - rzekł Crofts. - Zanim odłoży pani słuchawkę... A kiedy będzie pani sprawdzała, czy nie ma u was komandora Simpsona, to może powie mu pani, że dzwoni Thomson. Z Kopenhagi.

- Jedną minutę, sir.

Nie zajęło to całej minuty. Głos Simpsona rozległ się w słuchawce trzydzieści sekund później. Bardzo zmęczony i załamujący się.

- Kto mówi? A może to jakiś dowcip?

- Nie - zapewnił go Crofts. - To nie jest dowcip.

- Crofts?

- Pańska pamięć jest teraz o wiele lepsza - odparł Crofts ironicznie. - Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, miał pan trudności z rozpoznaniem mojej twarzy, a co dopiero głosu.

- Thomson, który dzwoni z Kopenhagi. - Simpson był zupełnie spokojny i zaraz zaczął słowny pojedynek: - Dlaczego użył pan tego nazwiska, Crofts?

- Udało mi się połączyć z panem, prawda? - odrzekł Crofts. Zapadła chwilowa cisza. A potem Simpson stwierdził:

- Słyszałem o panu dość niepokojące rzeczy, stary. Zdobył pan sobie niezłą renomę - wszystkie poranne gazety są pełne pana.

- Nie powinien pan wierzyć wszystkiemu, co przeczyta pan w gazetach - zwrócił mu uwagę Crofts. - Tak jak ja nie powinienem wierzyć, że przypadkowe spotkanie ze starym znajomym było rzeczywiście przypadkowe.

- Niech pan słucha - przerwał mu Simpson, zmieniając temat. - Nie wiem, gdzie pan jest, i mówiąc między nami Wcale nie mam zamiaru sprawdzać, skąd pan dzwoni, stary, ale gdybym był na pana niezbyt godnym pozazdroszczenia miejscu, chyba rzeczywiście wolałbym dzwonić z Kopenhagi.

Albo nawet z jeszcze bardziej oddalonego od tych czcigodnych wysp miejsca. Myślę, że miejscowa policja jest nieco na pana rozgniewana, zwłaszcza od chwili, kiedy zabrał się Pan za rozrzucanie martwych konstabli po szkockich górach.

- A więc pan również chciałby, żebym się stąd wyniósł, komandorze? Zastanawiałem się, jakie jest pańskie zdanie w tej sprawie.

- Ambiwalentne. Nie jestem szczególnie przejęty pańską osobą, stary, tylko chciałbym udzielić panu pewnej przyjacielskiej rady, takiej od towarzysza broni. I jeżeli może to w czymś pomóc, to pragnąłbym stwierdzić, że jest mi szczerze przykro z powodu majora Harleya. Jestem pewien, że nie miał pan zamiaru go zabić...

- Gówno! - przerwał mu ostro Crofts. - Podobnie jak wszystko, co pan do tej pory powiedział, Simpson. Może zamiast łąć jak najęty, powinien pan spróbować zapytać mnie, po co dzwonię do pana.

- Z całą pewnością nie wiem, o co panu chodzi - odparł Simpson niemal przekonywającym tonem urażonej godności. - Ale proszę bardzo, niech pan mówi.

Crofts nabrał głęboko powietrza. Właśnie miał zamiar zagrać swego jedyne go asa.

- „Włócznik” - oznajmił lakonicznie. - Dzwonię do pana w sprawie „Włócznika”.

Czekał na eksplozję, ale nie nastąpiła. Simpson, gdy odezwał się ponownie, mówił właściwie z pewnym rozbawieniem.

- Dość dziwne zainteresowanie, jak na faceta w pańskiej sytuacji. Ale cóż - co chciałby pan o nim wiedzieć, Crofts? Jest to ściśle tajna lekka torpeda, która obecnie przechodzi poligonowe badania kwalifikacyjne dla Royal Navy. O całe lata wyprzedza swoją epokę. Mogę przekazać panu mnóstwo szczegółów, jeżeli istotnie to pana interesuje. Długość, kaliber, techniczne szczegóły dotyczące najnowszej chlorydowej baterii akumulatorowej opracowanej specjalnie do napędzania tej rybki i też wyprzedzającej o wiele długości’ zasilanie, którym napędzamy nasz obecny Typ 33 z...

- Simpson - mruknął słabo Crofts. - Simpson, czemu) pan, u diabła, mi to opowiada...praktycznie biorąc, sama myśl, wie pan. Wetknęliśmy w nią kontrolowany mikroprocesorem wielomodalny, operujący wieloma wiązkami sygnałowymi sonar, który działa za pośrednictwem trzydziestu jeden elementów w głowicy. Pędzi przed siebie z zaprogramowaną listą sowieckich celów i poluje tak długo, aż wreszcie trafi.

Crofts spojrział tępo na Laurę. Patrzyła z napięciem w jego oczy i najwyraźniej zauważyła, że coś jest nie tak.

- Co, Mike? Co on mówi, na litość boską?

- Opisuje mi „Włócznika”. Przez telefon - szepnął Crofts z niedowierzaniem.

- Oczywiście programowaliśmy ją od lat. Każdy Iwan z napędem atomowym, który przepływał między Grenlandią i Islandią, był notowany i zdejmowano charakterystykę jego szumów. Nasza rybka ma identyfikator „swoj - wróg” oraz w celu przeciwdziałania systemom zakłóceń stosowanym na okrętach czerwonych wyposażona jest w umiejętność stosowania zmiennych częstotliwości sonaru...

- Simpson! - ryknął Crofts. - Przecież sam pan powiedział przed chwilą... to jest ściśle tajne, do diabła! Głos z drugiej strony słuchawki umilkł na chwilę.

- Oczywiście, że jest - przytaknął Simpson, jakby wytrącony nieco z równowagi.

- No więc? - mruknął Crofts.

- Co więc...?

- Przecież pan o tym mówi, Simpson. Opowiada mi pan wszystko o „Włócznie”. Simpson zachichotał.

- Crofts! Gdzie się pan podziewał przez ostatnie parę lat?

- W Afryce.

- Ach, to wszystko tłumaczy. Dobry Boże, przecież to Wielka Brytania, stary, i my nie mamy żadnych tajemnic przed naszym wspaniałym brytyjskim społeczeństwem... no, może jakieś maleńkie. „The Times”, „Guardian” i inni wielcy strażnicy rządowej sakiewki już od wielu miesięcy snują rozważania na temat „Włócznika”. „Czy kochana stara ciocia w Ministerstwie Obrony kupi produkt brytyjski, czy też w rezultacie nacisków politycznych poprosimy o jakiś zmodernizowany produkt US Navy?” O nie, Crofts, niech pan nie sądzi, że istnienie „Włócznika” jest tajemnicą - nic z tego. Skoro już o tym mowa, to każdy sowiecki szpieg może zamówić sobie egzemplarz „Western Defence Revue” i za niewielkie pieniądze przeczytać o nim wszystko. Tak właśnie funkcjonujemy w wolnym świecie, stary. Oszczędzamy w ten sposób mnóstwo pracy KGB...

Crofts zdawał sobie sprawę, że Simpson prowadzi bardziej złożoną grę. Prawdziwe tajemnice „Włócznika” - właściwe technologie wiążące się z tą bronią - były wciąż pilnie strzeżone za wysokim ogrodzeniem Ardarroch. Nie sprzedawano ich za cenę egzemplarza miesięcznika „Western Defence Revue”.

- Simpson - powiedział powoli i z naciskiem. - Wasz „Włócznie” ma wkrótce zostać porwany. Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Tym razem cisza była o wiele dłuższa. Kiedy wreszcie komandor odpowiedział, w jego głosie nie było już nawet cienia wesołości. Z drugiej jednak strony nie zareagował również tak, jak Crofts oczekiwał.

- Jest to wiadomość, którą muszę potraktować poważnie, Crofts. I jednocześnie muszę panu przypomnieć o istnieniu „Ustawy o tajemnicy państwowej”. Przede wszystkim rozmawiamy przez telefon podłączony do publicznej sieci łączności - i raczej trudno uznać to za bezpieczne pośrednictwo podczas rozważania wysoce utajnionych zagadnień.

- Z wiszącym mi nad głową oskarżeniem o czterokrotne morderstwo - warknął Crofts - niezbyt mogę się przejąć karami, którymi grozi mi „Ustawa”. A poza tym wydawało mi się, że stwierdził pan, iż nie macie już żadnych tajemnic w tym dzielnym i wolnym świecie Zachodu.

- Niech się pan, do cholery, nie zgrywa! - zareplikował ostro Simpson. - Niech mnie pan posłucha, stary. Jestem skrupowany tymi przekłętymi przepisami bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. Ja naprawdę nie mogę omawiać tajnych spraw przez telefon. Musimy się gdzieś spotkać - oczywiście w jakimś ustronnym miejscu. Bezpiecznym z pańskiego punktu widzenia.

Coś sprawiło, że Crofts się zawahał. Wszystko wyglądało zbyt łatwo. Simpson nie zadał pytania, które postawiłby każdy rozsądny człowiek, zanim umówiłby się na spotkanie z kimś oskarżanym o wielokrotne morderstwo. Nie indagował Croftsa o sprawę zabójstw, nie wyraził jakiegoś szczególnego zdziwienia z faktu, że Mike wykorzystał nazwisko tego naukowca, Thomsona. Czy wiedział o Croftsie wystarczająco dużo, aby mu ufać, czy też znał już odpowiedzi na te pytania?

Przykrył słuchawkę i spojrzał na Laurę.

- Czy masz tu land rovera?

- Tak - uniosła brwi pytająco.

- W Oban. Nie znam Oban. Podpowiedz mi jakieś publiczne miejsce.

- Poczta... Na Albany Street. Po co? Ale Michael mówił już do telefonu:



- Spotkajmy się w Oban.

Miał nadzieję, że Simpson rzeczywiście nie stara się sprawdzić, skąd dzwoni - decyzja, jaką podjął, była zupełnie spontaniczna. W podświadomości znowu zaczęły mu dzwonić sygnały alarmowe. Coraz bardziej zaczynał podejrzewać, że policja okręgu Strathclyde może być dla niego mniejszym zagrożeniem niż spotkanie z Simpsonem w jakimś odludnym miejscu.

- Oban? - Głos Simpsona zdradzał pewne zdziwienie. A może było to niezadowolenie, że krzyżuje mu się plany. - Niech pan posłucha, stary. Czy to doprawdy rozsądne?

- Za godzinę - warknął Crofts. - Przed pocztą na Albany Street. I niech pan przyjedzie sam, bez żadnego ożywionego obywatelskim duchem wsparcia.

Simpson zaprotestował z łagodnym oburzeniem:

- Nie jestem łapsem żandarmerii ani niczym zbliżonym do policjanta, stary. Jest mi całkowicie obojętne, w jaki sposób organizuje pan swoje życie prywatne...

Crofts cisnął słuchawkę i napotkał zaniepokojone spojrzenie Laury.

- W jaki sposób masz zamiar w biały dzień przejść przez chodnik i wsiąść do samochodu, Mike? Dwa kroki od posterunku policji?

Wzruszył ramionami z lekceważącą pewnością siebie, której wcale nie czuł.

- W ten sam sposób, w jaki mam zamiar sterczeć na rogu ulicy, na widoku policji w Oban - beczelnie i z duszą na ramieniu.

Miał całkowitą rację, kiedy uznał, że wszystko wygląda zbyt łatwo i zbyt prosto jak na sprawę „Włócznika”.

Jechali do Oban jak para turystów. Mogła to być nawet przyjemna wycieczka, gdyby Crofts nagle nie uświadomił sobie, że dokładnie tą samą drogą jechał ubiegłej nocy, kiedy Wełniani Faceci zlikwidowali policjantów i zniknęli bez śladu, jakby ich nigdy nie było.

Kiedy mijali miejsce zabójstwa, białego policyjnego samochodu już nie było, ale postacie w ciemnych mundurach i gumowych butach wciąż przeczesywały okoliczne zarośla jałowca. Mogli kazać się im zatrzymać, Crofts mógł zostać rozpoznany i aresztowany, i byłaby to cena braku rozwagi. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Samotny policjant stojący na poboczu ze zniecierpliwieniem dał im znak, by przejeżdżali szybciej. Laura skuliła się za kierownicą, a Crofts ścisnął mocniej schowaną pod tablicą rozdzielczą beretę, modląc się, by nie został zmuszony do jej użycia.

Z całą pewnością posłużyłby się bowiem bronią, gdyby musiał. Może nie strzelałby tak, żeby zabić jeszcze jednego młodego policjanta, ale niewątpliwie jego ostatnia rozpaczliwa obrona zapisałaby się na długo w kronikach policji okręgu Strathclyde. Crofts był człowiekiem ogarniętym determinacją, która pogłębiała się coraz bardziej, w miarę jak gniew na jego dręczycieli stawał się coraz silniejszy. Wreszcie znaleźli się w samym Oban, do którego wjechali drogą przez Connel Bridge, przeciskając się między wiosennymi turystami na George Street. Crofts czuł, że jego szansę na uniknięcie dekonspiracji zwiększają się z każdą minutą. Żaden policjant nie byłby w stanie wyszukać go w tym obcym, snującym się bez celu tłumie.

Zaparkowali rovera koło Argyll Square i przeszli do głównego urzędu pocztowego. Była niemal druga, gdy wyjrzało słońce, i czekając z niepokojem na przybycie Simpsona poczuli na swoich twarzach wiosenne ciepło.

Komandor Edward Simpson z RN był im rozpaczliwie potrzebny. To on miał klucz do zagadki. Och, Simpson mógł bez trudu zorganizować aresztowanie Croftsa, gdyby tylko miał na to ochotę, wszystko jednak wskazywało, że w chwili obecnej Michael dysponuje lepszą kartą. „Włócznik” był

zagrożony i tylko Crofts znał plany jego porwania - wiedział o zaciemnionym statku, Przystani Kamieniołomów i lotnisku na farmie Tarvit.

A więc Simpson musiał przynajmniej ich wysłuchać - i zaproponować współpracę w zamian za informację.

No, Simpson. Pokaż się wreszcie..

- Crofts, pani Harley? Mam nadzieję, że nie dałem na siebie zbyt długo czekać?

Odwrócili się gwałtownie i ujrzeli wysoką elegancką postać, która najwyraźniej zmaterializowała się z niczego. Crofts czuł uspokajający chłód kolby beretty w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Nie odpowiedział uśmiechem na kpiący uśmiech Simpsona.

- Cześć, Simpson - odparł spoglądając komandorowi za ramię i wpatrując się podejrzliwie w twarz przechodniów. Miał nadzieję, że nie będzie zmuszony zastrzelić komandora. W każdym razie nie tutaj, w centrum Oban.

Dręczyło go jednak niemiłe uczucie, że mimo wszystko będzie musiał kogoś zastrzelić za zamordowanie Erica. I to zapewne w bardzo niedalekiej przyszłości.

# Rozdział XVII

Komandor Simpson nie zmienił się od ich ostatniego spotkania w Selfridges. Wciąż wyglądał bardzo zwyczajnie, nie zaś jak pirat z delty Mekongu. Sztuczkowe spodnie, czarna marynarka, melonik, starannie zwinięty parasol zawieszony na lekko ugiętym przedramieniu... Crofts nagle dostrzegł oczy Simpsona i po raz pierwszy zauważył, że są zadziwiająco bezbarwne.

Komandor trzymał w drugiej ręce tanią plastikową torbę z supermarketu. Nie pasowała do Simpsona i przypomniała Croftsowi sporządzony przez niego wcześniej pakunek, z którym w tak mało pomysłowy sposób próbował znaleźć w Londynie odpowiednie miejsce, aby na zawsze, jak wówczas uważał, pogrzebać berettę M 951.

- Doprawdy, nie powinienem zabierać państwu czasu - Simpson spojrzał na Laurę. - Zechce mi więc pani wybaczyć, że będę się zwracał wyłącznie do naszego wspólnego znajomego.

- „Włóczyk”, Simpson - wychrypiął Crofts. - W jaki sposób związany jest pan z oficjalnym tokiem spraw? Wyblakłe oczy Simpsona nawet nie mrugnęły.

- Niech mnie pan nie pyta, Crofts. Powiedzmy, że jestem tutaj, aby udzielić dobrej rady, ale nie informacji.

- O nie! - Crofts pokręcił głową. Już raz, w Londynie, przyjął bez zastrzeżeń tak subtelnie udzieloną mu przez Simpsona „radę”. - Nie tym razem, komandorze.

- Dobrej rady? - wtrąciła szybko Laura, zapobiegając grożącemu wybuchowi. Oczywiście miała rację: mogli coś uzyskać jedynie skłaniając Simpsona, by mówił swobodnie. Na pewno nie osiągnęliby wiele, gdyby Crofts zaczął wymachiwać pistoletem na oczach snującego się po Oban tłumy turystów - nie mówiąc już o tym, że taki niezwykle pokazy niewątpliwie ściągnąłby natychmiast uwagę policji.

- Rady udzielonej w najlepszej intencji, pani Harley. - Simpson potrząsnął plastikową torbą i uśmiechnął się sardonicznie. - Wraz z niewielkim dowodem szacunku od osób, którym leży na sercu pomyślność naszego wspólnego przyjaciela.

Starsza pani wychodząca z poczty zawahała się, nie mogła się zdecydować, czy ma przejść między nimi. Komandor Edward Simpson usunął się na bok, grzecznie uchylając melonika. Dama uśmiechnęła się z wdzięcznością - i pomyślała ze smutkiem o świecie, w którym pozostało już tak niewielu podobnych dżentelmenów - a gdy wmieszała się w tłum, ten szarmancki mężczyzna ponownie włączył się do rozmowy.

- Dowód szczerości... - mruknął Crofts, spoglądając na plastikową torbę z pogardliwą uwagą człowieka, który ma się na baczności. - Jaki ma kaliber, Simpson?

Simpson uśmiechnął się. Nawet nie udawał urażonego.

- To Oban, stary. Nie Wietnam.

- Lauro, zajrzyj do torby - powiedział Crofts, kierując lufę ukrytej beretty na trzeci od góry guzik

kamizelki Simpsona. - Ostrożnie.

- To pieniądze - obojętnym tonem oznajmiła Laura po paru sekundach. - Amerykańskie, jak sądzę.

- Dziesięć tysięcy USD - wyjaśnił ich wytworny współtowarzysz. - Niezwykle poręczna międzynarodowa waluta.

Crofts spojrział na niego groźnym wzrokiem. Na dobrą sprawę nie musiał zadawać pytań, to przesłanie było już mu dobrze znane. Mimo wszystko jednak spytał:

- Co to ma znaczyć?

- Niech pan wykorzystata to na podróż, stary. Dzięki temu może się pan przenieść na wystarczająco dużą odległość od najbliższego brytyjskiego policjanta. Pomoże to nawet posłużyć się kosztowniejszymi, choć w pewnym stopniu., hm.. tajnymi kanałami, które wciąż są jeszcze przed panem otwarte.

- Czy te pieniądze pochodzą od pana? Podobnie jak rada?

- „Ustawa o tajemnicy państwowej”, przypomina pan sobie, stary? Dalsze wdawanie się w szczegóły może spowodować, że przekroczę zakres moich uprawnień. Proszę mnie traktować po prostu jako zatroskanego pańskim losem realizatora misji dobrej woli.

Crofts niepewnie zamrugnął oczami, gdy Simpson uchylił melonika przed równie zdezorientowaną Laurą i odwrócił się, by odejść. Szybko zastąpił mu drogę.

- Proszę zerknąć na kieszeń mojego płaszcza, zanim pan odejdzie, Simpson. I proszę się nie łudzić, że nie użyję tego, bo nie chcę panu popsuć reszty popołudnia.

Simpson stanął i zrobił ponurą minę. Wyglądało na to, że nie ma żadnych wątpliwości.

- Czy przypadkiem nie jesteśmy zbyt melodramatyczni, Crofts?

- Nie wiem. Wszystko zależy od tego, czy uważa pan, że strzelenie komuś w publicznym miejscu w środek kręgosłupa zawiera elementy melodramatyczne, czy nie, stary.

- Niech się pan trzyma od tego z daleka, Crofts. Niech pan bierze pieniądze i ucieka.

- Powinien mi pan to powiedzieć wcześniej. Wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. A teraz porozmawiamy, o „Włócznieku”, komandorze. Jakie są oficjalne powody pańskiego zainteresowania tą sprawą? A mówiąc bardziej konkretnie, dlaczego z rozmysłem naprowadził mnie pan na Erica Harleya i Auchenzie, skoro teraz żąda pan mojego zniknięcia? Cóż, jeśli o to chodzi, Szramowata Ręka również wydaje się skłonny raczej zachęcać mnie do ucieczki, niż doprowadzić do ujęcia mnie...

- Szramowata... kto? - spytał beznamiętnie Simpson.

- Nie wiem, kto - warknął Crofts. - Po to tu jesteśmy, Simpson, żeby się dowiedzieć!

Ubrana w plastikowe peleryny rodzina z lodami w ręku wcisnęła się między nich. Crofts, któremu cel zniknął nagle z pola widzenia, konwulsyjnie ścisnął beretkę, ale Simpson nie ruszył się ani o krok. Kiedy wczasowicze przeszli dalej, stał w tym samym miejscu, niemal ze współczuciem śmiejąc się z oszołomienia Croftsa. Odzyskał swój piracki wygląd.

- Może przespacerujemy się w mniej zatłoczone miejsce, stary? - zaproponował przyjaźnie. - Pętający się między nami ludzie mogą sprawić panu kłopot. Będzie panu trudno zastrzelić mnie w tłumie.

Zasnute błękitną mgłą popołudnie w górach zachodniej Szkocji zbliżało się ku końcowi, gdy cała trójka stanęła przed hotelami rozstawionymi wzdłuż Corran Esplanade.

Z lewej strony wysuwało się w stronę morza Nabrzeże Kolejowe z tłoczącymi się wokół niego statkami, na północy w mgiełce majaczyły czarne ruiny zamku Dunollie, widmowe, posępne i groźne

na swym dumnym cyplu - tragiczna spuścizna wielkich władców Lorne, do których należała swego czasu niemal jedna trzecia Szkocji. Na zachodzie wieczorne cienie kładły się na Firth, na ciemnych wodach cieśniny Muli migotały boje nawigacyjne, których błyskające iskierki ostrzegały żeglarzy.

W przedsezonowym Oban niewielu tylko spacerowiczów chciało stawić czoło zimnemu wiatrowi. Simpson szeroko rozłożył ręce w ironicznym oczekiwaniu. Złożony parasol Niedbale zwisał z jego ramienia.

- Nie mam ukrytej broni, Crofts. Musi mi pan uwierzyć słowo, że nie jesteśmy obserwowani. Laura nalegała:

- Już zaufałeś komandorowi, Michaelu. Przecież oni mogliby cię aresztować, gdyby mu na tym zależało.

Crofts popatrzył na Simpsona spojrzeniem bez wyrazu, a potem wyciągnął rękę z kieszeni.  
- W porządku. Wcale nie mam zamiaru uciekać, Simpson. Zostanę tu dopóty, dopóki nie znajdę odpowiedzi na swoje pytania. Proszę to przyjąć do wiadomości. Oszczędzi nam to słownych potyczek...

Komandor spojrział na niego badawczo. Potem wzruszył ramionami.

- Zgoda... Jeżeli uznam pańskie pytania za właściwe.
- Czy pracuje pan dla brytyjskich służb specjalnych? Czy dlatego jest pan w ośrodku poligonowo-badawczym Ardarroch?
- Owszem. Z ramienia kontrwywiadu marynarki.
- „Włócznik”... Wie pan, że ma być porwany?
- Wiemy, że Sowietci mieli taki zamiar. Mają swój zespół w tym rejonie...
- Den of Tarvit? Farma Harleya?
- Tak.

Simpson odwrócił się, słysząc cichy okrzyk Laury. Już nie był nonszalancki.

- Niech nas pani wysłucha do końca, pani Harley. Proszę.
- W takim razie Erica musieli zabić nasi ludzie - podsumował z goryczą Crofts. - Jeżeli pracował dla Rosjan.

- Nie powiedziałem tego, Crofts - zaprotestował z ożywieniem Simpson. - Eric Harley pracował dla nas, ale zakonspirowany. Pani mąż był patriotą, pani Harley. Bardzo mi przykro, że nie żyje, ale zginął z honorem. Może świadomość tego przyniesie pani nieco ulgi.

W oczach Laury nagle zalśniły łzy, ale mimo to udało się jej wyszeptać:

- Dziękuję panu, komandorze.
- Eric nie był więc zdrajcą. Crofts poczuł, że w jakiś sposób cieszy się za Laurę - i za siebie w gruncie rzeczy - ale było jeszcze zbyt wiele pytań, zbyt wiele fragmentów łamigłówek Auchenzie, które wciąż do niczego nie pasowały.

- Wróćmy do sprawy jego morderstwa - naciskał. - A więc ktoś z sowieckiego zespołu? Simpson wzruszył ramionami i spojrział ponuro.

- Prawdopodobnie. Wkrótce mają przeprowadzić swoją akcję. Pański przyjaciel może nawet próbował przekazać mi wiadomość, kiedy go zaskoczono.

- Jutro w nocy - mruknął w zamyśleniu Crofts. - Sądzymy, że planują to na jutro w nocy.

Bezbarwne oczy wpiły się w niego. Było w nich coś głęboko na dnie, ale Crofts nie umiał tego odczytać.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeżeli powie mi pan, co jeszcze wiecie - Simpson sondował dalej.

- Zapewne wszystko odbędzie się na morzu, a potem torpeda zostanie przewieziona drogą powietrzną z pasa startowego Tarvit...

Crofts zawahał się. W oczach Simpsona dojrzał niepokój. Czy na pewno wynikał on tylko z troski o bezpieczeństwo „Włócznika”? Znowu powróciła ostrożność i razem z nią - gniew.

- Najpierw ja będę pytał, Simpson. A potem powiem wszystko, co będzie pan chciał... Jaka rolę w tym wszystkim odgrywa Harry Mearns?

- Stwarza pozory, że jest emerytowanym mieszkańcem kolonii, który wrócił tu, aby osiąść na stałe - podobnie jak Eric Harley. W rzeczywistości wciąż pracuje dla swoich sowieckich chlebodawców. Podobnie przedstawia się sprawa z trzema członkami jego grupy. Politbiuro nie ośmieliło się zaryzykować użycia wyszkolonych ludzi KGB na brytyjskiej ziemi... Całe szczęście dla nas, że byli nieostrożni i wybrali kogoś takiego jak Harley, który miał wystarczająco dużo poczucia obywatelskiego obowiązku, aby nam dać znać o tym.

- Jak pan sądzi, który z nich go zabił? - warknął Crofts.

- Przypuszczam, że Harry Mearns.

- Mearns nie mógł tego zrobić - powiedziała cicho Laura. - Ani żaden z pozostałych trzech. Wszyscy byli z nami przez cały czas.

- Szramowata Ręka przekonał mnie, że nikt z jego grupy nie był w to wmieszany - wtrącił Crofts - ale przecież twierdzi pan, że nie wie, kim oni są, prawda, Simpson?

Komandor odpowiedział na tę zaczepkę wzruszeniem ramion.

- Z pewnym wahaniem stwierdzam dość oczywistą prawdę, pani Harley - zauważył łagodnie - chciałbym jednak zwrócić uwagę, że nie mam żadnego dowodu, iż Crofts jest istotnie tak niewinny, jak twierdzi w swym obłudnym oburzeniu. Podobnego zdania jest prawdopodobnie policja. W przeciwnym razie zapewne by go nie aresztowali.

- Nie... zabiłem... Erica! - warknął groźnie Crofts.

- Oczywiście, że nie, stary. W każdym razie jest pan za to odpowiedzialny w nie większym stopniu niż za śmierć dwóch policjantów. Albo tego Bura, Muldersa...

- Skąd pan wie o śmierci Muldersa? Przecież odkryto to dopiero dziś rano. Zbyt późno, żeby opublikowała to prasa.

Oczy Simpsona ponownie błysnęły, ale szybko opanował się i uśmiechnął.

- Radio w samochodzie, stary. Jesteś obecnie głównym tematem dnia w Radio Clyde.

Crofts spojrzał na swego przeciwnika. Dziwne - dlaczego pomyślał o Simpsonie jako przeciwniku? Do tej pory wszystko się zgadzało. Od strony Firth of Lorne nadleciał chłodny wiatr i szarpnął go za włosy, ale nie poczuł tego. Wciąż było w Simpsonie coś nie wyjaśnionego, co podświadomie go dręczyło.

- Dlaczego tak panu zależy - do tego stopnia, że warte jest to dla pana dziesięć tysięcy dolarów - żebym w dalszym ciągu uciekał? - zapytał. - Dlaczego, na przykład, zwabił mnie pan tutaj? To było zorganizowane, prawda? To nasze pierwsze spotkanie w Selfridges.

- Pieniądze należą do wielkiego brytyjskiego podatnika, mój stary. - Simpson uśmiechnął się z dezaprobatą. - Choć bardzo bym chciał powiedzieć, że jest to pomoc od starego towarzysza. Niestety, nie byłoby to prawdą. A. Ministerstwo Obrony chce pana zachęcić do kontynuowania ucieczki, nie jest bowiem zainteresowane, aby jakiś platfusowaty policjant, próbując sprawdzić prawdziwość historii opowiedzianej przez pana, wtykał nos w sprawy bezpieczeństwa państwa. Nie możemy ryzykować, że KGB zostanie spłoszone na tym etapie rozgrywki. Chcemy ich dopaść

natychmiast, gdy tylko położą swoje lepkie komunistyczne łapska na „Włóczniku”. Musimy mieć jakiś dowód, którym wprawimy Kreml w takie zakłopotanie, że obrzudzimy im na długi czas zabawę w porywanie torped...

Brzmiało to sensownie. W gruncie rzeczy był to ten sam sposób rozumowania, jaki przedtem przedstawił Laurze. Policja, polując na Croftsa, nie będzie przypisywała głębszego znaczenia śmierci Erica Harleya.

- Nie odpowiedział mi pan na drugą część mojego pytania - dlaczego pan zwabił mnie tutaj? Po to, żebym naiwnie wdepnął w coś, co wygląda na szpiegowski rój os?

- To była moja własna inicjatywa. Miałem nadzieję, że pańska intuicja zapewni Ericowi Harleyowi jakąś ochronę. Jestem oficerem marynarki, Crofts, muszę trzymać się jakichś zasad. „Ustawa o tajemnicy” nie pozwalała mi na podanie powodów, dlatego to robię.

- Miałem tylko zrobić, co do mnie należało, i umrzeć! - mruknął wściekle Crofts. - Chryste, człowieku - przecież nawet nie miałem broni!

- Harley został zabity z pańskiej beretty, mój stary. Mamy jedynie pańskie słowo na to, że nie wziął jej pan ze sobą.

Crofts wciąż był wściekły i rozgoryczony.

- No dobra, ale przecież mógłby mi pan podrzucić trochę więcej info...

I w tym momencie olśniło go. Beretta M 951! Zawsze brał pod uwagę możliwość, że Simpson związany był z morderstwem Erica, ale dopiero teraz uświadomił sobie, iż uzyskał dowód na to. Simpson wiedział o jego obecności w Londynie, zanim wszystko się zaczęło. Ze wszystkich tajemniczych osób tylko Simpson wiedział o berecie i mógł odnaleźć jej rozłożone i rozrzucone części. Crofts zobaczył ją ponownie dopiero na farmie Den of Tarvit, kiedy leżała tuż obok podziurawionego kulami ciała Erica Harleya...

Na tym wczesnym etapie śledztwa nikt poza funkcjonariuszami policji, prowadzącymi śledztwo w sprawie zabójstwa na farmie Tarvit, nie mógł wiedzieć, jakim typem broni posłużył się zabójca. Z całą pewnością ta informacja nie była podawana przez Radio Clyde!

Simpson musiał zaniepokoić się wyrazem twarzy Croftsa, zrobił bowiem ostrożnie krok do tyłu, kładąc dłoń na rękojeści parasola wciąż wiszącego na zgiętym ramieniu. Laura krzyknęła, gdy Crofts, zapominając o pistolecie w kieszeni, rzucił się ze ślełą furią na człowieka, który wreszcie ujawnił się jako zabójca Erica Harleya.

- To byłeś ty, sukinsynu. To Brytyjska Służba Bezpieczeństwa sprzątnęła Erica!

Ale Simpson wyślizgnął się Croftsowi ze zręcznością, która zadawała kłam jego pozornej miejskiej miękkości. Michael w ułamku sekundy dostrzegł jego oczy - przymrużone, paskudne, bezbarwne oczy atakującego węża.

- Mike! Parasol!

Simpson schwycił powleczoną skórą rękojeść parasola i wysunął do przodu czarny przedmiot. Crofts zobaczył przez ułamek sekundy błysnięcie jakiegoś urządzenia tkwiącego w końcówce parasola... Pchnięcie skierowane było prosto w jego twarz.

Wykrztusił z przerażeniem: - Jezu! - i rzucił się w bok. Jednocześnie, kierując się jakimś rozpaczliwym instynktem, schwycił tę zaimprovizowaną broń. Jakimś cudem jego dłoń zacisnęła się wokół ciasno zwiniętego materiału i szczęśliwym przypadkiem wyrwał go z ręki Simpsona.

Ale nagle komandor Edward Simpson z Royal Navy zniknął - roztrącając parę grupek spacerowiczów gotowych stawić czoło atlantyckim wiatrom, powiewając połami czarnego płaszcza i

pracując nogami odzianymi w sztuczkowe spodnie jak tłokami. Crofts patrzył w ślad za nim przez chwilę, wiedząc, że nie odważy się strzelać w obawie, iż trafi któregoś z przechodniów. Nie mógł się zdecydować, co ma teraz robić.

Nie mogli już zwlekać. Laura szepnęła nagłaco:

- Dwaj policjanci, Mike! Nadchodzą od strony zamku. Na pewno się nami zainteresują.

Kiedy szli szybkim krokiem w stronę ludnego Nabrzeża Kolejowego, Crofts obejrzał wyrwaną Simpsonowi część parasola. Czuł się upokorzony, popełnił bowiem podstawowy błąd opisywany w wojskowych podręcznikach, taki, jakiego można się spodziewać jedynie po jakimś niedowarżonym żółtodziobie. Nie tylko zlekceważył siłę, doświadczenie, a przede wszystkim zdecydowanie nieprzyjaciela, ale również naiwnie dał się namówić na spotkanie - z człowiekiem, który zjawił się całkowicie przygotowany do profesjonalnego zabójstwa.

Wyglądało na to, że w parasolu Simpsona nie było nic zaimprovizowanego.

Z jego czubka wystawała krótka, najwidoczniej pusta w środku igła, pozornie nie mogąca zagrozić niczemu większemu od motyla. Ale Crofts starał się trzymać od niej jak najdalej. Można było założyć z dużym prawdopodobieństwem, że igła została w jakiś szatański sposób spreparowana, za pomocą - powiedzmy - specyfiku z kuchni wojny chemicznej.

Crofts zbyt późno przypomniał sobie napotkany przed wieloma laty pewien wietnamski sampan, niewinną wieśniaczą łódkę, którą ten sam oficer marynarki zdołał przekształcić w niezwykle skuteczną maszynę do zabijania.

Przez jakiś czas prowadzili poszukiwania, ale Crofts już wiedział, że nie uda im się ponownie odnaleźć Simpsona. Zdawał sobie również doskonale sprawę, że pozostając dłużej w Oban podejmuje idiotyczne ryzyko. Zdekonspirował się przecież. Każdy następny krok mógł spowodować spotkanie z policjantem. Pozostało im już jednak niewiele możliwości. Simpson był ich jedyną nadzieją, ale jednocześnie udowodnił, że jest jeszcze większą zagadką niż poprzednio.

Sytuacja stawała się więc coraz bardziej skomplikowana. Jeżeli Simpson rzeczywiście był człowiekiem z brytyjskiego kontrwywiadu - aż całą pewnością musiała to być prawda, jak bowiem inaczej można wytłumaczyć jego swobodny dostęp do bazy Ministerstwa Obrony Ardarroch - to dlaczego uciekł, kiedy doszło do konfrontacji z Croftsem? Dlaczego nie wezwał marines, żeby schwytali Croftsa, dlaczego nie wykorzystał swoich uprawnień?

Czy wywoływało to wątpliwości co do prawdziwych powodów zainteresowania Simpsona myślącą torpedą z Ardarroch? Na pewno były inne niż w przypadku Harry'ego Mearnsa. I jeszcze dodatkowa komplikacja: Szramowata Ręka i jego Wełniani Faceci. W którym miejscu, u diabła, te potwory mogły pasować do łamigłówki? Czy wbrew zapewnieniom Simpsona pracowali dla niego? Czy dla Mearnsa? A może przeciwko nim obu?

Crofts odwrócił się, nie mając pojęcia, co robić dalej. Popatrzył na jachty zakotwiczone w zatoce. Na razie było ich jeszcze niewiele - pora zimowych sztormów dopiero mijała. Do Nabrzeża Kolejowego zbliżała się większa jednostka. Wzdłuż jej wysokiej nadbudówki połyskiwały żółto kwadraty okien, przypominające oświetlone księżycowym światłem zęby tygrysa. To prom samochodowy z Oban, powracający z regularnego rejsu do Wewnętrznych Wysp i do Muli. Łodzie rybackie wciąż ściągają na nocny postój, a dalej przy pirsie stał norweski statek obsługi wież wiertniczych, dudniąc generatorem w płamie światła lamp na tylnym pokładzie. Nafciarze stopniowo zaczęli przybywać na zachodnie wybrzeże. Zdażyli już wznieść swe szpetne konstrukcje w miejscach, gdzie do tej pory jedynie pływały łososie i nurkowały rybołowy. Wkrótce pierwsze



głowice świdrów wwiercą się w dno zimnego szarego morza.

- Mike - Laura wsunęła palce w dłoń Croftsa, ale był to gest wynikający z zaniepokojenia, bez żadnych romantycznych podtekstów. - Mike, nie powinieneś podejmować takiego ryzyka.

- Widzisz tamtą jednostkę? - zapytał nagle. - Tę koło statku zaopatrzeniowego? Zmrużyła oczy, osłaniając je przed rażącym blaskiem.

- Światła są zbyt jaskrawe, by...

Ale Crofts już oddalał się szybkimi krokami. Kiedy dogoniła go wreszcie, stał dyskretnie za stosem pomarańczowych plastikowych skrzynek na ryby. Ukryty bezpiecznie w cieniu wpatrywał się w ostatni statek przy pirsie.

Była to drewniana jednostka, potężna, o mocnym dziobie i długości jakichś trzydziestu, trzydziestu trzech metrów. W jej wyglądzie było coś nieuchwytnie wojskowego... i może skandynawskiego. Takiej jednostki Szwedzi mogli kiedyś używać do patrolowania wysp - z szerokim, wolnym od nadmiaru nadbudówek pokładem, na którym doskonale dałoby się zamontować działko i wyrzutnie bomb głębinowych. Teraz była nie uzbrojona i niegroźna. Typowa przeróbka na jednostkę badawczą, działającą podobnie jak wiele innych tam, gdzie gromadzili się nafcjarze. Statek miał pokłady zarzucone sprzętem do nurkowania, bojami do oznaczania pozycji i pontonami typu Gemini. Na rufie znajdował się pojedynczy dźwig przeładunkowy o nośności dwóch ton i pokryte czarnym smarem stalowe liny. - Brudny statek z wyblakłą brytyjską flagą portu przeznaczenia na pojedynczym maszcie i bez żadnej bandery na rufie.

Miał jednak nazwę, a nawet nazwę portu macierzystego wypisaną łuszczącą się farbą na kole ratunkowym na relingu mostka. „Marauder. Panama”.

Crofts słyszał tę nazwę, i to stosunkowo niedawno - wczesnym rankiem dzisiejszego dnia. Zgodnie z niechętnie udzielonymi zeznaniami Bura Muldersa, który zszedł z tego padołu nie oplakiwany przez nikogo, była to ta sama ciemna jednostka, którą Crofts zauważył wpływającą do Przystani Kamieniołomów.

I jeszcze jedno. Kiedy Crofts i Laura wciskali się w cień i Michael dotknął z nagle ożywioną nadzieją chłodnego, dodającego otuchy kształtu beretty M 951 ukrytej pod płaszczem, na przodzie mostka otworzyły się drzwi i dwaj mężczyźni wyszli na pokład.

Mimo szybko zapadających ciemności pierwszą postać poznali natychmiast, na widok drugiej oboje zmarszczyli brwi. Dopiero gdy dwaj mężczyźni przeszli dalej, pod oślepiające światła łukowych lamp norweskiego statku, i podali sobie ręce, kiedy pierwszy mężczyzna zbierał się do odejścia... wtedy Laura nagle wydała dziwny, przerażony dźwięk - ni to okrzyk, ni to zachłyśnięcie powietrzem i wykrztusiła:

- Mike, popatrz na przegub tego drugiego!..

W tym momencie udało im się dopasować dwa fragmenty łamigłówki, które teraz dokładnie połączyły się ze sobą. Oczywiście jednym z nich był Harry Mearns, co wcale ich nie zaskoczyło - jego powiązania z nocnym statkiem były od dawna znane. Natomiast drugi mężczyzna - zapewne kapitan „Maraudera” - nagle przestał być anonimowy. Obiekt ich gniewu i frustracji uzyskał wreszcie ludzkie oblicze.

Crofts poczuł się wspaniale. Teraz już wiedział, gdzie ma szukać tego mężczyzny, gdy nadejdzie pora, by go zabić.

Obcy, pozbawiony uczuć człowiek, którego musiał nazywać po prostu Szramowatą Ręką. Zamaskowany wódz naczelny Wełnianych Facetów!

Nie mogli stracić z pola widzenia Mearnsa, ich jedyne go dostępne źródło informacji.

Pobiegli najpierw do land rovera, a potem pojechali z powrotem na Nabrzeże Kolejowe. Nie musieli długo czekać. Harry pojawił się wkrótce, wędrując leniwie od miejsca zacumowania „Maraudera” i rozglądając się obojętnie wokół. Laura zrównała się z nim, a potem zahamowała gwałtownie i przycisnęła klakson.

- Halo, panie Mearns. Co pan robi w Oban?

Mearns zatrzymał się i zerknął ostrożnie w otwarte okno samochodu. Dopiero kiedy przekonał się, że Laura jest sama, wyraźnie się rozluźnił.

- O, pani Harley. Ja... hm... pomyślałem sobie, że po tym wszystkim, co wydarzyło się ostatniej nocy, wyskoczę na godzinkę albo dwie.

- Czułam to samo - powiedziała Laura i w jej błyszczących oczach nie było fałszu. - Nie mogłam wytrzymać sama na farmie.

Harry niezgrabnie przestąpił z nogi na nogę, zapewne szczerze zakłopotany. Widział już mnóstwo wojennych wdów - i mówiąc szczerze, sam był przyczyną paru wdowieństw - ale nie miał doświadczenia w rozmowach z prawdziwymi damami.

- Bardzo mi przykro, pani Harley. Z powodu pani męża. To był fajny facet.

W ich stronę kierowało się wzdłuż nabrzeża kilku zmęczonych podróżnych, którzy zeszli ze statku. Laura zmarszczyła brwi z udanym zainteresowaniem.

- W jaki sposób wróci pan do Auchenzie, Harry? Gdzie jest pański samochód?

- Koło Pirsu Północnego. Właśnie do niego idę. Pomyślałem sobie, że pogapię się trochę na łodzie. Po prostu dla zabicia czasu.

- Proszę wsiadać, podwiozę pana.

Harry przeszedł przed maską i otworzył drzwi od strony Pasażera, potem jednak zawahał się. Może to spotkanie również uruchomiło w nim dzwonki alarmowe. Było zbyt wielkim zbiegiem okoliczności.

- Dzięki, pani Harley, ale nie skorzystam. Może pospacerowałbym jeszcze przez chwi...

Crofts nie musiał używać słów. Znał szybsze sposoby Przekonania Harry'ego Mearnsa. Uniósł lekko plandekę odgradzającą go od kierowcy i zapraszająco skinął lufą beretty. Harry wsiadł i nieruchomo patrzył przed siebie. Laura zacisnąwszy nagle usta włączyła bieg.

Harry Mearns odezwał się dopiero, kiedy minęli Connel Bridge i jechali ciemną drogą do Auchenzie. Bardzo spokojnie. Tak jak Crofts mógł się tego po nim spodziewać.

- Czy ma pan zamiar teraz mnie zastrzelić, majorze? - zapytał.

Crofts nawet się nie uśmiechnął.

- Możliwe.

Wtedy Mearns odwrócił się i spojrzał na niego z pełnym kpiny, wyzywającym uśmiechem, całkowicie ignorując nieruchomy wylot lufy beretty. Crofts doskonale wiedział, o czym Mearns myśli - o Angoli przed rokiem, o kłopotach, jakie miał Michael ze strzeleniem do Hermanna Boschego - i zastanawia się, czy warto zaryzykować.

Miał nadzieję, że Harry się na to nie zdecyduje. Zbyt wiele się zdarzyło. Laura również przeżyła ostatnio wystarczająco wiele koszmarów. Nie przypuszczał, by wytrzymała widok ludzkiego mózgu rozpryskującego się tuż obok niej. Ale Crofts musiał przyznać, że Harry to facet z ikrą. Czyżby sam stał się ofiarą jeszcze bardziej niebezpiecznego szaleństwa? Czy przez te wszystkie lata istotnie walczył po tej samej stronie co Mearns?

A może to kolejne cholerne złudzenie?

Farma Tarvit była ciemna i opuszczona. Zgodnie z przewidywaniami policja już odjechała. Crofts był z tego również zadowolony. Potrzebował światła do rozmowy z Harrym Mearnsem, chciał mieć możliwość spojrzenia mu w oczy. Tarvit spełniało ten warunek.

Laura pozostała na zewnątrz, przy land roverze. Stwierdziła, że woli takie rozwiązanie - będzie mogła ich ostrzec, gdyby pojawił się jakiś pojazd. Może po prostu nie mogłaby znieść widoku małego, starannie umeblowanego pokoiku, w którym zastrzelono Erica. Crofts mógł, mało tego, potrzebował go, by wzbudzić całą swoją złość.

Posadził Harry'ego na fotelu Erica i spojrzał na niego wzdłuż lufy pistoletu. Mearns zdawał sobie sprawę, że jest to sygnał do rozmowy. Nawet w tym momencie nie okazywał zdenerwowania, był tylko praktyczny.

- Pieniądze, majorze? Wszyscy pracujemy dla pieniędzy, co?

Crofts pokręcił głową. Miał już dziesięć tysięcy dolarów, ciśnięte lekceważąco na tylne siedzenie rovera - pieniądze Simpsona. Nie zmniejszyło to nawet o odrobinę jego nienawiści.

- Sprawa „Włócznika” - rzekł. - Najpierw powiedz mi wszystko o „Włóczniku” i Przystani Kamieniołomów, Harry.

W oczach Mearnsa pojawiło się zaskoczenie, a po chwili szydercze rozbawienie.

- Już pierwszego dnia powiedziałem Harleyowi, żeby się ciebie pozbył. Powinien mnie posłuchać. Zawsze był z ciebie kawał wścibskiego sukinsyna, Crofts - szczególnie w środku nocy.

- „Włócznik”, Mearns.

- Dobra. A więc mamy go porwać. Sam, jak sądzę, doszedłeś do tego wniosku. Co jeszcze mam powiedzieć?

- Wszystko. Jak, dlaczego, kiedy... i dla kogo. Szczególnie dla kogo. Pracujecie dla Sowietów, prawda? Mearns sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Odpowiedz tylko na pytanie, Mearns. Wynajęło cię KGB?

- Chryste, chyba się naczytałeś zbyt wielu powieści od chwili, gdy się wycofałeś.

- Wiesz, Harry - westchnął Crofts - sądzę jednak, że będę musiał cię wkrótce zastrzelić.

Spojrzenie Mearnsa stwardniało odrobinę, ale wciąż pobłyskiwało w nim szyderstwo.

- Przecież to ty nie miałeś dość odwagi, żeby zastrzelić Hermanna Germanina, pamiętasz? Crofts uniósł nieco berettę.

- Nie licz na to zbyt wiele, Harry. Odpowiedz na pytanie - pracujesz dla Sowietów?

- Nie.

- A więc kto?

Mearns uśmiechnął się. Wciąż ten sam stary, nie dający zbić się z tropu Harry.

- My.

Nawet Crofts musiał się uśmiechnąć słysząc tę odpowiedź, choć nie czuł wesołości. Potem pochylił się do przodu i wycelował lufę w czoło rozmówcy.

- No to cześć, Harry.

- Posłuchaj, do diabła! - warknął szybko Mearns. - Pomyśl, jakie znaczenie ma „Włócznik”, majorze.

- Jakie, Harry? Pomóż mi troszeczkę.

Mearns zerknął znacząco na pistolet i Crofts ponownie opuścił go wolno. Nie chciał, żeby Harry

stał się zbyt nerwowy. Opowiadanie szło mu zdecydowanie lepiej, kiedy był zadowolony z życia.

- Po pierwsze - mruknął Harry Mearns - musisz sobie uświadomić, jaką ma wartość rynkową. W porównaniu z nim Exocet, Sidewinder, Sea Wolf sprawiają wrażenie kamyków z dziecięcej procy. „Włócznik” to pewna śmierć dla każdego radzieckiego okrętu podwodnego - do diabła, Crofts, przecież wiesz, co to znaczy ZRPS, prawda? Zdolność rażenia pojedynczym strzałem. Powiem ci, przyjacielu - on ma dziewięćdziesiąt osiem procent! Wykonawcy i Royal Navy programowali go od czterech lat - wprowadzili do jego pamięci każdy dający się wymyślić unik, jaki może przyjść do głowy dowódcy rosyjskiego atomowego okrętu podwodnego. Po odpaleniu „Włócznik” zawsze jest w stanie go przechytrzyć - a porusza się szybciej, niż jakkolwiek zanurzony okręt podwodny będzie mógł kiedykolwiek.

- Dobra, jest to więc broń o wysokim współczynniku sprawności. Wszystko, co do tej pory powiedziałaś, podkreśla jedynie, jak bardzo Sowietom może zależeć na zdobyciu „Włócznika”. Dla Kremla warte jest to każdego rubla, którego muszą zapłacić grupie najemników za dostarczenie go im..

- Albo warte każdego funta szterlinga, którego rząd brytyjski byłby skłonny zapłacić - przerwał mu Harry - tym samym najemnikom za to, żeby nie przekazali go Iwanowi.

Oczy Croftsa zwięzły się. Zaczynał rozumieć, do czego zmierza. Mearns.

- Twierdzisz więc, że Rosjanie nie są w to wmieszani, a to porwanie jest wyłącznie kryminalną aferą? Tylko zamiast dzieciaka jakiegoś milionera porwacie torpedę?

Harry skłonił się ironicznie w fotelu.

- Sprytne, co? Obmyśliliśmy porwanie „Włócznika” jako wyłącznie handlową operację. Zwykły szantaż. Porwać, ukryć i zażądać od zakłopotanego rządu brytyjskiego okupu za jego zwrot. A może się pan założyć, majorze, że zapłacą cholernie szybko - zanim ktokolwiek z ich sojuszników zorientuje się, jak beztrudno obchodzili się ze ściśle tajnymi materiałami.

- Powiedziałaś: porwać i ukryć - przerwał mu ostro Crofts. - Gdzie ukryć, Harry?

- W Republice Irlandzkiej.

- Dokąd wywieźlibyście „Włócznika” tej samej nocy samolotem z pasa startowego Tarvit?

- Byłeś cholernie wścibskim sukinsynem - skomentował radośnie jego słowa Mearns. Crofts popatrzył na niego w tym momencie długo i uważnie. To było logiczne, zupełnie logiczne. Ale dostrzegał jeszcze pewne luki.

- A co ze Szramowatą Ręką? Jaką rolę ma do spełnienia jego zespół?

- Szramowatą co?

- Ludzie z „Maraudera”. Współpracujesz z nimi, Harry, ale nie należą oni do twojej grupy. Ani ty, ani ja nigdy nie znaliśmy się zbyt dobrze na statkach. Kto więc was w nie wyposażył?

Mearns pokręcił głową.

- Nie wiem, kto jest kasjerem, kto jest na samej górze. Instrukcje dostawaliśmy wyłącznie za pośrednictwem Erica Harleya - przecież jestem tylko głupim starszym sierżantem, pamiętasz? Przecież zakłada się, że tacy jak ja nie są zdolni do myślenia, Crofts. Zajmują się tym tylko oficerowie, tacy jak ty czy Harley.

Gryząca ironia zawarta w słowach Mearnsa przekonała Croftsa, że przynajmniej to było prawdą.

- Co z zespołem „Maraudera”?

- Również najemnicy. Nigdy się z nimi nie zetknąłem w afrykańskich interesach. W większości Finowie, Szwedzi i Norwegowie, może z wyjątkiem Andersena, tego faceta z pokrytą szramami ręką.

To ich kapitan i rzeczywiście kawał wrednego sukinsyna.

- Ale jesteś z nim w dobrej komitywie, Harry - stwierdził chłodno Crofts. - Zabili dwóch policjantów. Wiedziałaś o tym?

- Dowiedziałem się dopiero po wszystkim - Mearns wzruszył ramionami.

- Dlaczego to zrobili, Harry? Dlaczego z premedytacją mnie w to wrobili? Czy po to, żeby policja zaczęła ścigać mnie za zwykłe morderstwo po pijanemu i nie zagłębiała się zbyt w tę sprawę, bo mogłaby się natknąć na wielką kryminalną operację...

... I w tym momencie Croftsa olśniło. Wszystko zaczęło wiązać się ze sobą. Poczul, że ręce mu się trzęsą, w miarę jak zaczynała narastać w nim wściekłość.

Mearns nie zauważył tego.

- Nie musieli mi się tłumaczyć. Jestem tylko wynajętym pomocnikiem...

Jego głos zamierał powoli. Crofts wstał i szedł przez pokój w jego kierunku. Po raz pierwszy w oczach Harry'ego Mearnsa zamigotał strach. Michael wcisnął mocno lufę beretty pod jego prawe ucho przechylając mu głowę na bok.

W umyśle Croftsa bowiem nagle wykrystalizowało się podejrzenie, które doprawdy bardzo go rozeźliło.

Załóżmy, że mylił się w ocenie udziału Simpsona. Załóżmy, że to jednak Andersen zastrzelił Erica, gdy zorientował się, że jest brytyjskim tajnym agentem.

- Harry - odezwał się wolno. - Powiedz mi, czy to ty zakablowałeś Erica? A potem stałeś i popijałeś piwo, kiedy Szramowata Ręka go likwidował?

Mearns ostrożnie pokręcił głową. Od wielu lat wiedział, że beretta M 951 ma niepokojąco lekki spust.

- Na litość boską, Crofts, nie! Nie zrobiłem tego!

- Jesteś trupem, Harry - obiecał mu Crofts. - Mam zamiar doliczyć do pięciu, a potem jesteś trupem. Jak Hermann Bosche.

- Daj spokój, Crofts! Daj spokój tym cholernym podejrzeniom.

- Raz... Dwa...

- Nie mogłem zakablować Harleya. Uwierz mi, nie mogłem.

- Trzy, Harry. A teraz cztery!

Lufa pistoletu na karku Mearnsa drgnęła lekko. Teraz już tylko cieniutki włos dzielił go od śmierci.

- Pięć...

Ryk Mearnsa był równie głośny jak wystrzał z pistoletu:

- ...dlatego że to ja pracuję dla brytyjskiej służby bezpieczeństwa, Crofts!

Crofts zdjął już palec ze spustu i patrzył na Mearnsa, czując na swoim czole cieniutką warstwę potu wywołanego strachem przed tym, co niemal nastąpiło. Harry wyrznął w poręcz fotela z pełną goryczy wściekłością i warknął:

- Chryste, człowieku! To ja, a nie Eric Harley, jestem w tej zabawie pozytywną postacią. Pracuję dla cholernego brytyjskiego kontrwywiadu, żeby zapobiec porwaniu „Włócznika”!

# Rozdział XVIII

Ocalenie życia Harry Mearns pośrednio zawdzięczał Pamelii Trevelyan. Zanim bowiem Harry wygłosił swoje niezwykle oświadczenie, Crofts zadał sobie pytanie - co ja u diabła, właściwie robię?

‘Jeżeli zabije Harry’ego - wykonam na nim wyrok tutaj, w tym pokoju śmierci na farmie Tarvit - na zawsze zostaną wyjęty spod prawa. Będę musiał ciągle uciekać i już nie jako fałszywie oskarżony, ale jako winny morderstwa. A to oznacza koniec jakichkolwiek nadziei na ponowne spotkanie z Pamelą i ucieczkę od nocnych koszmarów.

- A więc pracujesz dla brytyjskiego wywiadu, co, Harry?

- Tak i w związku z tym możesz schować tę pieprzoną spluwę, sukinsynu! - Harry oddychał już zdecydowanie spokojniej.

Crofts ciągle trzymał pistolet skierowany w jego stronę. - Powiedziałeś przed chwilą, że jakiś anonimowy pan X miał zamiar przekazać ci cholernie dużo pieniędzy.

Cholernie dużo - potwierdził z radością Mearns. - A mimo to próbujesz mi wmówić, że nagle ogarnęły cię patriotyczne uczucia i uznałeś za stosowne zrezygnować z łupu dla dobra ojczyzny. Ty, Harry? Za nic w świecie!

- Czy powiedziałem, że jestem jakimś pieprzonym filantropem? - odciął się z irytacją Mearns. - Po prostu wszedłem na rynek. Zaoferowałem swoje usługi wywiadowi brytyjskiemu jako tajny agent - wysunąłem propozycję, że za pięćdziesiąt kawałków wykiwam Andersena i jego ludzi. Dla mnie wróbel w garści wart jest tyle co dwa, które mogę dostać za udział w niepewnym interesie z porwaniem torpedy.

Dopiero w tej chwili Crofts opuścił pistolet i po raz pierwszy uwierzył, że być może zdobył w końcu niepewnego sojusznika. To był wiarygodny motyw. Bardziej pasował do Harry’ego Mearnsa, którego Crofts znał i którym pogardzał od dawna.

Zresztą nie miał wielkiego wyboru.

Jeżeli nie zdecyduje się uwierzyć Mearnsowi, będzie musiał go zastrzelić tu i teraz, jedno bowiem wiedział z całą pewnością - jeżeli go wypuści i okaże się, że Harry kłamał, to z kolei Mearns zabije jego, okazując tyle samo skrupułów co Szramowata Ręka przy zabijaniu policjantów.

Pozostały jednak pytania.

- Dlaczego pozwolono, żeby przygotowania do porwania zaszły tak daleko? Dlaczego, jeżeli dałeś im cynk, służba bezpieczeństwa nie zaarrestowała Andersena korzystając z tego, że „Marauder” wciąż jest przycumowany w Oban?

Mearns wzruszył ramionami, z kwaśną miną masując kark.

- To nie wszystko. Gdyby kontrwywiad miał zamiar zrobić tak, jak mówisz, nie musiałyby mi płacić pięćdziesięciu kawałków. Chcą też złapać Turkucia.

- Turkucia?

- Ktoś z Ministerstwa Obrony przekazuje Andersenowi informacje o harmonogramie dostawy „Włócznika”. Zapewne jest to ten sam facet, który wykombinował porwanie, ktoś, kto ma zamiar zarobić jako pan X. W każdym razie chłopcy z kontrwywiadu marynarki zastawili pułapkę... rozkaz dostarczenia torpedy drogą morską został zmieniony, a wiadomość o nowej trasie przewozu została przekazana zaledwie paru podejrzanym osobom. W ten sposób, kiedy nastąpi atak, będą w stanie wyeliminować wszystkich podejrzanych poza jednym - Turkuciem.

- A to oznacza, że podejmują cholerne ryzyko. Będą musieli czekać do ostatniej chwili - szepnął Crofts. - Tylko w ten sposób uzyskają całkowitą pewność, że wiadomość o dokonanych zmianach została przekazana.

- Dokładnie tak, majorze. Pozwolą im rozpocząć atak, a potem uderzą od tyłu. I właśnie w tym miejscu mam wkroczyć do akcji... a kiedy to się będzie działo, wewnętrzne służby bezpieczeństwa będą obserwować swoich podejrzanych w Ministerstwie Obrony. I czekać, żeby farbowany lis się zdradził.

Crofts przygryzł wargę. Wszystko zaczynało się zgadzać. Simpson potwierdził, że w zespole działającym w Tarvit pracuje tajny agent - choć wyglądało na to, że jest przekonany, iż agentem tym był Eric Harley. Powiedzmy jednak, że pomylił się co do osoby? A jeżeli spojrzy się na to inaczej i założy, że to sam Simpson jest ową wtyczką w Ministerstwie - i jak twierdzi Harry, planuje całą operację kierując się zwykłymi, kryminalnymi pobudkami? Wtedy miałby jeszcze ważniejszy, osobisty powód, by wyeliminować każdego, czyje działanie mogłoby przeszkodzić porwaniu...

- A jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Mulders i dwaj pozostali?

- Harley i ja mieliśmy w czasie operacji znajdować się na statku. Natomiast ci chłopcy zostali zwerbowani jako siła fizyczna i po to, żeby ustawić światła nabieżnikowe - Mearns uśmiechnął się sardonicznie. Był to znów dobrze znany, cyniczny Harry. - Mógłbym równie dobrze wynająć drewniane słupy, które odznaczałyby się taką samą inteligencją, ale to akademickie rozważania - „Marauder” jutrzejszej nocy i tak nie dotrze do Przystani Kamieniołomów.

- A więc akcja rzeczywiście jest planowana na jutro.

- Druga zero zero. Dwanaście mil od brzegu. Doświadczalny „Włócznik” jest dostarczany do Ardarroch drogą morską. Na pokładzie nie uzbrojonej, pomocniczej jednostki. Możesz w to uwierzyć?

- A co po porwaniu?

- „Marauder” z pełną prędkością płynie do przystani - na tym etapie trzymanie się harmonogramu jest podstawową sprawą. Wyładowuje „Włócznika” i natychmiast kieruje się z powrotem na pełne morze. Przesiadają się na pontony Gemini i wysadzają statek, żeby zamącić obraz. Jednocześnie torpeda zostaje wywieziona prywatnym samolotem, zanim siły bezpieczeństwa zdążą zareagować.

Crofts zastanawiał się przez moment, czy Mearns rzeczywiście w krytycznym momencie zastrzeliłby Erica na pokładzie „Maraudera”. Z drugiej jednak strony Eric zawsze podejmował ryzyko z rozwagą i ostrożnie. Jakie to było powiedzonko? Jeżeli wybierasz się na polowanie razem z sępami, ryzykujesz, że razem z sępami cię zastrzelą.

Wzruszył ramionami.

- A więc zarobisz swoje pięćdziesiąt patyków. Ale to kawał trudnej roboty. Wszystko zależy od tego, czy będziesz w stanie załatwić ośmiu czy dziewięciu członków załogi „Maraudera”, zanim otrząsną się z zaskoczenia. Powstrzymać ich, zanim przeprowadzą atak.

- Poprawka. Czy będziemy mogli, Crofts.

- My?

Mearns uśmiechnął się ironicznie.

- Jestem tylko starszym sierżantem. Potrzebuję oficera, żeby mną dowodził, sir.

Crofts poczuł, jak zawsze przed akcją, znajome sensacje w okolicach żołądka. Ale tym razem było to przyjemne uczucie. Tak bardzo chciał dopaść Szramowatą Rękę, że niemal namacalnie czuł swoją nienawiść. Jedynie zaproszenie do wzięcia udziału w ostatnim akcie mogło go przekonać, że Harry Mearns jest po właściwej stronie.

- Chcesz mnie przemycić na „Maraudera”?

- Ostrzegałem, że włączysz w sprawę po uszy. Właśnie ponownie zgłosiłeś się na ochotnika do starej zabawy w strzelanego, Crofts. Wszystko będzie jak dawniej, kiedy przyłożymy Szramie i jego rewolwerowcom od tyłu.

Znowu w oczach Harry'ego Mearnsa pojawił się ten odległy, przyczajony wyraz. Szalony Harry Mearns, który w wigilię przedsięwzięcia smakuje mającą nastąpić przemoc. Czy tym razem? Czy nie było w tym czegoś jeszcze? Może! ironia albo tła się wrogość?

- Po tych wszystkich latach spędzonych w dziczy,! Crofts, kto z nas mógłby przypuścić, że nastąpi moment, w którym tacy degeneraci jak my będą walczyć za naszą własną, ukochaną ojczyznę?

Crofts przez większą część tego nie kończącego się dnia chodził tam i z powrotem po nie oświetlonym pokoju ukryty przed ciekawskimi oczami.

Dokonał też innych przygotowań. Mearns zaproponował mu, aby wybrał sobie coś z ukrytej w stodole zbrojowni. Znajdował się tam bardzo zróżnicowany zestaw broni podobny do tego, jaki zaobserwował u Wełnianych Facetów. Skompletowano ją tak, by nie można było ustalić jej źródła. Crofts ostatecznie zdecydował się na izraelskie uzi ze składaną metalową kolbą, jeden przedłużony magazynek do bezpośredniego użycia z czterdziestoma ułożonymi w szachownicę dziewięćmilimetroowymi nabojami i jeden zapasowy na dwadzieścia pięć sztuk. Nie było sensu obciążać się większą ilością amunicji. Uzi miał szybkostrzelność 650 pocisków na minutę, ale Crofts zawsze był realistą. Widział tych skandynawskich najemników w zespołowym działaniu i zdawał sobie sprawę, że przewaga zaskoczenia da mu szansę dokonania w najlepszym razie jednej tylko wymiany magazynka, zanim banda Andersena zostanie wyeliminowana. Albo dopóki oni nie wyeliminują Mearnsa i jego.

Crofts wyczyścił uzi z niezwykłą starannością, a potem położył się spać. W środku nocy obudził się i wyczyścił broń jeszcze raz.

I znowu przyśnił mu się koszmar. Z Hermannem Boschem. Ale tym razem wszystko wyglądało inaczej. Jak zwykle trzymał berettę, szkliste oczy sierżanta Boschego wpatrzone były w lufę pistoletu, a jego zakrwawione wargi poruszały się w niemej prośbie. W tle widniały te same ludzkie szczątki, urwane nogi i głowy, jego palec jak zawsze tkwił w osłonie spustu i nie był w stanie zacisnąć się mocniej... i nagle Bosche stał się Erikiem Harleyem! Crofts usłyszał, jak Eric krzyczy, błagając go o darowanie życia, a nie o śmierć. Crofts zaczyna płakać z radości, nagle bowiem uświadamia sobie, że jego wahanie było uzasadnione. Teraz może pozwolić Ericowi żyć. Trwało to do chwili, kiedy jego koszmar miał właśnie przekształcić się w zwykły sen. Wtedy spostrzegł nagle inny palec spoczywający na jego własnym - wyblakły, trupio blady. Zaczynał on naciskać spust mimo podejmowanych przez Croftsa rozpaczliwych prób ocalenia Ericowi życia.

Potem przyszedł chyba najokropniejszy moment. Kiedy bowiem pistolet szarpnął się w jego



dłoni, odpalony pod naciskiem makabrycznego białego palca, rysy Erica uległy nagłej zmianie... przekształciły się w twarz Pameli Trevelyan! Crofts obudził się. Przed oczami wciąż miał koszmarny widok rozsypanych złotych włosów skąpanych we krwi, odłamków kości zamiast delikatnego ciała, rozchylonych ust i białych zębów przekształcających się w makabryczną masę...

O Chryste!

Harry wrócił rano na farmę prowadząc ze sobą dwóch pozostałych Burów. Zajęli się chaotycznymi poszukiwaniami jakiejś pracy. Gdyby policja ich obserwowała, przekonałaby się, że zachowują się jak wszyscy pracownicy rolni w podobnych okolicznościach. Crofts przyglądał im się z okna bez cienia współczucia. Spostrzegł, że obaj ludzie Mearnsa są nerwowi jak diabli. Śmierć Muldersa odebrała im najwyraźniej resztkę ducha. Kiedy po udaremnieniu całej akcji dojdzie do aresztowania w Przystani Kamieniołomów, współpracownicy Mearnsa nie powinni stawiać oporu.

Dużo rozmawiał z Laurą. Próbował ją przekonać, że farma Den of Tarvit nie jest odpowiednim miejscem do spędzenia najbliższej nocy. Właściwie nie było podstaw do takiej ostrożności - bez względu na to, co się zdarzy, „Marauder” nigdy nie dotrze do brzegu. Mearns i on, obojętnie, żywi czy martwi, niewątpliwie udaremnią próbę porwania. Jedynymi obcymi przybyszami. Wtedy powinni być ludzie z bezpieczeństwa, którzy po uporządkowaniu wszystkiego zjawią się, by zgarnąć chłopców Harry'ego.

Dlaczego więc czuł ten dręczący niepokój? Czy został wywołany głęboko skrywanym cierpieniem Laury? Od chwili kiedy zaskoczyła go w sklepie, stała się dziwnie niewrażliwa. Nie był to smutek żałoby, ale raczej nieustające zobojętnienie, ponure dążenie do wytkniętego celu - ta sama pełna determinacji decyzja pomszczenia Erica, o której mówiła wcześniej.

Zanim zostawił ją samą wieczorem w Tarvit, położył obok niej na kuchennym stole swój pistolet. Wiedział, że nie będzie jej potrzebny, przecież i tak zapewne nie będzie zdolna z niego wystrzelić... Ale w magazynku wciąż tkwiły cztery naboje dum-dum, które w chwili strachu są w stanie dodać nieco otuchy każdemu, nawet kobiecie. W czasie tej operacji on sam nie będzie potrzebował swej starej metalowej przyjaciółki. Sześćset pięćdziesiąt strzałów uzi na minutę dawało mu większą szansę ujścia z życiem z ograniczonego do rozmiarów pokładu pola bitwy, na które właśnie podązał.

Wzięła beretkę, uśmiechnęła się słabo i pocałowała go. Był to bardzo bezosobowy pocałunek - leciutkie, jakby roztargnione muśnięcie policzka. Wiedział, że nigdy nie będzie mogła go pokochać, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Już nie. Skoro nawet nie próbowała go powstrzymać.

Jeszcze jeden powód niepokoju Croftsa był bardziej nieuchwytny. Wynikał właściwie nie z tego, co miało się stać, ale z tego, co się już zdarzyło. Myśl o tym wciąż przebiegała mu przez głowę, kiedy razem z Mearnsem jechali ostrożnie w kierunku Oban i „Maraudera”.

Miało to związek z wypowiedzianymi wcześniej przez Mearnsa słowami. Brzmiały one: „... po tych wszystkich latach w dziczy, Crofts, kto z nas mógłby przypuścić, że nastąpi moment, w którym tacy degeneraci jak my będą walczyć za naszą własną ukochaną ojczyznę!”

Właściwie Crofts bez trudu rozumiał, a nawet podzielał ten sarkazm. Ale jeden szczegół wydał mu się dziwny i niepokojący.

Harry Mearns bowiem prawie wypluł słowo „ukochaną”!

# Rozdział XIX

Kiedy Crofts i Mearns przybyli na miejsce, statek zaopatrzeniowy już odpłynął, a razem z nim zniknęły światła. „Marauder” leżał spowity w ciemności - czarny, niegościnnie kadłub. Jedynie od czasu do czasu przypadkowe refleksy światła załamywały się na sprzęcie zalegającym pokład.

Na wachcie stał tylko jeden człowiek, obojętnie czekający na pojawienie się Mearnsa. Wyplyniecie z portu musiało wyglądać jak coś normalnego - po prostu statek badawczy wychodzi w morze do codziennych zajęć. Nikogo w Oban, gdzie statki bez przerwy wpływały i odpływały, nie mogło to zdziwić. Poza tym w normalnych warunkach, gdyby plan porwania wyszedł na jaw, żaden stan gotowości Wełnianych Facetów nic by tu nie pomógł. Służba bezpieczeństwa zjawiłaby się w pełnej sile i całą akcję diabli by wzięli.

Crofts odczekał w mroku, aż Mearns i wartownik zniknęli wewnątrz nadbudówki, a potem po drabince ześlizgnął się na pokład. Trzymając w zgięciu prawej ręki uzi, zarepetowany i nastawiony na ogień ciągły, przemknął w stronę rufy. Nie było już odwrotu. Jeżeli zostanie zaskoczony, ktoś będzie musiał umrzeć. Miał tylko nadzieję, że tym, kto się na niego ewentualnie natknie, będzie Szramowata Ręka we własnej osobie.

W połowie pokładu coś zagrzechotało. Crofts przystanął nad słuchując. Powiew wiatru dotknął jego uczernionej twarzy - Michael był już przygotowany do nocnej walki. Dziwny grzechot rozległ się ponownie. Tuż obok. Ostrożnie, z przymrużonymi oczyma i palcem na spuście poszedł w stronę półsztywnego pontonu umocowanego na klinowych podstawkach koło prawej burty.

Podmuch wiatru ponownie przemknął wokół ociekających wodą, pokrytych wilgotnymi wodorostami pirsów i zatrzepotał brezentowym przykryciem pontonu. Crofts rozluźnił się. Ktoś zostawił nie zabezpieczoną linkę, która teraz uderzała w rytm powiewów wiatru o wyblakły pomarańczowy materiał.

Jak cień wśród mroku przesunął się dalej w stronę rufy poszukując ukrycia, które zgodnie z zapewnieniami Mearnsa miało być bezpieczne. Wreszcie odkrył je. Boże, proszę Cię, żeby nie było zamknięte... Tak jak zapewniał Harry, nie było. Szybko uniósł pokrywę luku i wślizgnął się do środka po pionowym trapie. Gdy tylko zamknął pokrywę, natychmiast ogarnęły go zapachy farby, hydrolu, smród wody w zębie. Włączył osłoniętą latarkę, oświetlając swoją tymczasową kryjówkę.

W małym pomieszczeniu znajdowała się maszynka sterowa „Maraudera”. Pokryte śniedzią i solą miedziane rury prowadziły do wypolerowanych tarciami siłowników. Zardzewiałe mechanizmy wychylne tkwiły nad dwoma sterami czekając na ruch dłoni sternika na kole sterowym. Kilka zakurzonych puszek z farbą, połamana szczotka do szorowania pokładu. Panowała tu cisza zakłócana jedynie pluskiem wody uderzającej o poszycie i stłumionym pojękiwaniem cum, kiedy statek kołysał się lekko.

Było bardzo cicho. Cicho... jak w grobie?

Zapalił lucky strike'a, usiadł i, rozłożywszy kolbę uzi, niedbałym ruchem skierował lufę w stronę luku. Był już całkowicie opanowany. Nerwy uspokoiły się, jak zawsze gdy mosty zostały spalone. Teraz mógł już tylko czekać.

Silnik ożył nagle tuż przed północą. Wprawił w drżenie kadłub, strzelił najpierw z lewej, potem z prawej rury wydechowej i wreszcie ze stłumionym pomrukiem zaczął równo pracować na zmniejszonych obrotach. Jednocześnie zaczęły obracać się mechanizmy wychylne popychane hydraulicznymi siłownikami - do oporu w lewo, potem w prawo. Próba.

Crofts wsłuchiwał się w odgłosy statku szykującego się do odcumowania. Łoskot na pokładzie, bezpośrednio nad jego głową, stukot butów, hurgot stalowej liny wciąganej na pokład, potem grzechot lin przesuwanych przez kluzy... Maszynka sterowa sapnęła, zaczęła się obracać, a gwałtowny ryk lewego silnika nasilał się. Kadłub dygotał rytmicznie, kiedy śruba obracała się wolno wstecz, odsuwając „Maraudera” od pirsu.

Potem chwila ciszy, gdy silnik umilkł i słychać było jedynie pospieszne chlupotanie maleńkich fal, które rozbijały się o rufę wypływającej z basenu portowego jednostki. Mechanizmy maszyny sterowej znowu się poruszyły obracając dziób „Maraudera” w lewo. Ryk pracujących z turbodoładowaniem silników zaczął narastać w miarę, jak statek przecinał zatokę Oban i kierował się w noc.

Crofts ponownie usiadł i starał się nie zwracać uwagi na kołysanie. Nigdy nie miał nic wspólnego z łodziami. Zamknięty pod pokładem w ciemności ciasnego pomieszczenia, w zaduchu zęzy, hydrołu i smoły, przy ciągłym posapywaniu maszyny sterowej i zgrzytaniu innych niewidocznych rzeczy, czuł się jak ryba wyjęta z wody, Poprawka - jak żołnierz na pieprzonej wodzie.

Zaczął myśleć o Mearnsie, o tym, co może robić w tej chwili i do jakiego stopnia należy mu wierzyć.

Planowanie jakiegokolwiek precyzyjnej strategii walki z załogą Andersena było niepotrzebne. Wydarzenia ułożą się w zależności od tego, gdzie Mearns będzie się znajdował w chwili zbliżania się do celu. Członkowie załogi „Maraudera” właśnie byli instruowani, jak mają odegrać swoje role. Jeżeli Mearns nie zdoła wymyślić bezpiecznego sposobu skontaktowania się z nim przed samym porwaniem, Crofts mógł tylko siedzieć pod pokładem do chwili, kiedy zorientuje się, że wykonywane manewry sygnalizują zbliżający się atak.

Uzgodnili, że to Crofts będzie inicjatorem akcji - zacznie strzelać pierwszy i będzie to jedyny sygnał ostrzegawczy dla Harry'ego... a potem przyjdzie pora na „cele dowolne”. Do diabła, powinno się udać! Początkowo Mearns zamierzał sam ich załatwić i miał spore szanse na sukces. Teraz było ich dwóch, z doświadczeniem w walce w takich zaimprovizowanych sytuacjach. Potrafili działać jako zgrany zespół bojowy odczytując nawzajem swoje intencje, błyskawicznie strzelać do wszystkiego, co się rusza, krzyczy albo zostało sparaliżowane strachem...

Powinno się udać, jeżeli Crofts może wciąż ufać Harry'emu.

A jeżeli nie? Jeżeli Crofts znajdzie się sam na pustym tylnym pokładzie z peemem w ręku i w jego stronę zacznie odwracać się dziewięć luf, a Harry Mearns nie udzieli mu wsparcia?

Była pierwsza piętnaście - trzy kwadransy do chwili prawdy. Crofts zapalił kolejnego papierosa czując, jak gwałtownie topnieje jego entuzjazm. Zmrożony do szpiku kości zimnem ciągnącym od morza i własnymi coraz mroczniejszymi myślami, skulił się w swojej rozkołysanej, dudniącej i śmierdzącej norze.

Dwadzieścia minut później dostał choroby morskiej. Kołysanie statku stało się gwałtowniejsze, kiedy maszynka sterowa sapnęła i poczuł, jak „Marauder” zmienia kurs. Przetoczył się na bok i boleśnie zwymiotował do zęzy. Pragnął, aby już wreszcie przybyli na miejsce i żeby to bierne cierpienie zniknęło pod wpływem adrenaliny wpływającej przed akcją do krwiobiegu. Próbował w ramach gimnastyki umysłu połączyć luźne fragmenty łamigłówek z Auchenzie.

Weźmy na przykład śmierć rzekomego homoseksualisty, naukowiec z Ministerstwa Obrony, Thomsona. Czy rzeczywiście miało to jakieś znaczenie w sprawie „Włócznika”, jak sugerowałyby pijackie mamrotania Erica? Jeżeli tak - to jakie?

Poza tym założmy, że Simpson jest poszukiwanym Turkuciem. Dlaczego wobec tego nakłaniał Croftsa do przyjazdu do Den of Tarvit?

Harry Mearns, pomyślał dręczony kolejnym atakiem mdłości Crofts, zawsze był w stanie przedstawić całkowicie logiczne uzasadnienie, zwłaszcza jeżeli słuchacz nie czuł się zobowiązany łączyć pragmatyzmu z moralnością... Ale czy Harry istotnie powiedział całą prawdę?

Wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim ryk silników „Maraudera” przeszedł wreszcie w stłumiony pomruk, a gwałtowne kołysanie zmieniło się w łagodne huśtanie. Crofts kucnął, trzymając uzi w pogotowiu, i nadśluchiwał uważnie. Już całkowicie zapomniał o chorobie morskiej.

Miał przeczucie, że wszystkie rozterki, oczekiwanie, ucieczki, które stały się jego udziałem od chwili przybycia na farmę Den of Tard, wreszcie się skończyły.

Najpierw z luku wyłoniła się oksydowana lufa peemu. Potem pojawił się Crofts. Prześlizgnął się nad zrębnicą i natychmiast przetoczył w bok po pokładzie. Leżał twarzą do dziobu, a lufa uzi skierowana była w stronę słabo rysującego się w ciemności mostka „Maraudera”.

Panowała kompletna ciemność. Wiatr szarpał go za włosy, widmowo fosforyzująca piana odkosu z sykiem przepływała po obu stronach rufy, tryskała bielą spod dziobu ciemnego statku płynącego po czarnym morzu. Doskonała pora na ponure przedsięwzięcia i występne czyny.

Był również i drugi statek - płynący mniej więcej równoległym kursem pięćdziesiąt metrów od prawej burty.

Z miejsca, w którym leżał Crofts, trudno było dostrzec szczegóły, ale jednostka sprawiała wrażenie podobnej do „Maraudera”. Długa, niska, o odsłoniętym mostku, wysuniętym dość daleko w stronę dziobu, i pustym pokładzie rufowym. Możliwe, że był to jakiś typ redowego trałowca przerobionego teraz na jednostkę pomocniczą. Wiele takich pomocniczych, specjalistycznych statków pływało w Royal Navy z cywilnymi załogami: statki zaopatrzenia, tankowce, jednostki ratownicze, stawiacze boi i zapór przeciwko okrętom podwodnym. Ale Crofts nie był marynarzem i wcale nie musiał nim być. Jego zadanie miało ściśle wojskowy charakter.

Leżał jeszcze przez chwilę, obserwując sąsiedni statek. Płynął wciąż równoległym kursem nie próbując odsunąć się od nocnego intruza. Początkowo wydawało się Croftsowi dziwne, że napotkany statek nie podejmuje żadnej akcji. Przecież z całą pewnością świadomość znaczenia ładunku powinna wzmocnić czujność oficerów tego statku, gdy anonimowa jednostka, taka jak „Marauder”, zaczęła się do nich zbliżać w środku nocy.

Z drugiej jednak strony może ich nie uprzedzono o możliwym zagrożeniu, bo od tego zależało powodzenie zasadzki kontrwywiadu? Może nikt związany z projektem „Włócznika”, nawet załoga statku, który stanowił cel „Maraudera”, nie mógł zostać ostrzeżony o planowanym porwaniu? Może poinformowano ich tylko o dokonanej w ostatniej chwili zmianie trasy rejsu ich statku?

Nagle z drugiego statku zaczęła błyskać lampa Aldisa i Crofts zorientował się, dlaczego załoga pomocniczej jednostki przewożącej „Włócznika” wprawdzie z oporami, ale jednak uznała za właściwe zmniejszyć szybkość. Usta Michaela poruszały się bezgłośnie, gdy odczytywał z błysków lampy:

Jest to ściśle tajny rejs na zlecenie Ministerstwa Obrony. Mam rozkaz zachować ciszę radiową i naruszyć ją jedynie w przypadku zagrożenia nawigacyjnego. Wyrażam zgodę na inspekcję celną, składając jednocześnie stanowczy protest, i ostrzegam, że po wpłynięciu do portu mam zamiar natychmiast złożyć w tej sprawie raport Dowództwu Marynarki.

A więc w taki właśnie sposób Szramowata Ręka realizował plan! Bez słowa przez radio! Postawił na to, że w czasie rejsu nie będą przygotowani na złożenie formalnej, międzyresortowej skargi otwartym kanałem łączności. Założył również sprytnie, że żądanie ze strony rzekomej jednostki służby celnej, by umożliwić im wejście na pokład, nie może zostać zignorowane przez cywilną załogę statku pomocniczego. Służby Cła i Akcyzy wciąż jeszcze miały prawo zatrzymania i przeszukania każdej jednostki na wodach terytorialnych Zjednoczonego Królestwa. Może dowódca tamtego statku cieszył się nawet na myśl, że kiedy nadgorliwy celnik znajdzie się na jego statku, będzie mógł mu powiedzieć kilka szczerych, marynarskich słów.

Crofts zeszytniał. Coś zaczęło się dziać, jakieś postacie kierowały się w stronę rufy. Byli to trzej mężczyźni. Jeden z nich szedł niezgrabnie z jakimś niedającym się rozpoznać w ciemności ciężarem na plecach. Crofts bezszelestnie wtoczył się pod osłonę pontonu i przesunął lufę uzi tak, że jej wylot skierowany był na środkową postać. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się niepewnie wyposażeniu mężczyzny. Kształt bagażu wydawał się znajomy. Czy przypadkiem nie widział już wcześniej czegoś podobnego? Na jakimś odległym polu bitwy. Wiele lat temu...

Nagle poznał, co to jest.

Miotacz ognia! Demobil z US Army - model M 1 czy M 1A... Crofts zdawał sobie sprawę, że broń trzymana przez porywacza może plunąć osiemnastoma litrami płonącej galarety na odległość trzydziestu jardów. A jedna dziesięciosekundowa struga może zlikwidować każdą żywą istotę znajdującą się na otwartym mostku statku.

Nie czekał już dłużej. Zagrożenie bezbronnym marynarzom z jednostki pomocniczej było zbyt wielkie. Zaczął wyczołgiwać się spod pontonu, przycisnął mocniej do ramienia kolbę peemu. Szczerbinka i muszka znalazły się dokładnie na sylwetce sukinsyna przygotowującego chemiczną masakrę. Należało się tylko modlić, by Harry Mearns również był gotów.

Nagle Crofts zamarł, powstrzymując oddech. W tym momencie bowiem czubek bardzo ostrego narzędzia został umieszczony tuż pod jego łopatką i lekko naciśnięty wprawną ręką. Ostrze przebiło skórę, ale nie zagłębiło się w ciało. Umieszczono je dokładnie tam, gdzie wystarczyło tylko nacisnąć... Jednocześnie koło ucha Croftsa rozległ się powolny szept:

- Żadnych rozmów, gwałtownych ruchów, stary. Proszę!

Crofts rozpoznał ten głos od razu.

- Pozwólmy zawodowcom - dodał tamten - zrobić to, za co im dość dużo zapłacono, dobrze?

Był to głos komandora Simpsona. Komandora Edwarda Simpsona z Royal Navy. Obecnie - albo tak mu się tylko wydawało - rzeczywiście „w stanie spoczynku”!

# Rozdział XX

Może Crofts powinien ostrzec nic nie podejrzewających marynarzy. Istniały jednak niewielkie szanse, by mu się udało. Simpson udowodnił już przecież, że jest mistrzem zabijania, niezwykle sprawnym mordercą. Był w stanie zabić Croftsa tak szybko, cicho i sprawnie, że do trzech mężczyzn skupionych przy miotaczu ognia nie dobiegłby nawet zduszony jęk ofiary.

Crofts mógł jedynie leżeć bezwolnie pod osłoną pontonu, w bliskim kontakcie z ostrym jak igła nożem trzymanym przez mężczyznę ubranego w praktyczny kombinezon polowy. Simpson wyglądał teraz zupełnie jak pirat z delty Mekongu, którego Crofts po raz pierwszy spotkał dawno temu, kiedy Eric Harley, dwaj policjanci i pewien Bur o nazwisku Mulders byli jeszcze wśród żywych.

Mógł tylko patrzeć zaciskając zęby, jak Simpson odsuwa uzi poza zasięg jego ręki. Udowadniał w ten sposób, podobnie jak kiedyś na wietnamskim sampanie, że wyrafinowana technologia dwudziestego wieku wcale nie daje automatycznej przewagi temu, kto nią dysponuje.

W głosie Simpsona brzmiał jednak jakby lekki zawód:

- Choć bardzo chciałbym przyłączyć się do pana, to jednak nie będziemy przeszkadzać Andersenowi. Zdaje się, że nazywa go pan Szramowatą Ręką?

Crofts obserwował, jak oba statki zwalniają i zbliżają się do siebie. Wreszcie przez mrok mógł dostrzec sylwetki ludzi zgromadzonych na otwartym mostku pomocniczej jednostki i dwóch marynarzy spieszących po pokładzie z przygotowanymi odbijaczami.

Nagle na pomoście „Maraudera” zapłonął reflektor zalewając oślepiającym światłem drugi statek i zmuszając już i tak wystarczająco rozwścieczonych i klnących na czym świat stoi oficerów do zasłaniania oczu. Przy okazji utrudniało im to rozpoznanie zbliżającej się jednostki.

Ktoś ryknął potężnym głosem ze szkockim akcentem:

- Wyłącz to pieprzone ŚWIATŁO, ty głupi sukinsynu! Blisko, coraz bliżej. Czterdzieści metrów ... trzydzieści... Leżący obok Croftsa Simpson poruszył się ostrzegawczo. Czubek noża wycisnął odrobinę krwi.

- Nie rób tego, stary. Jeżeli chcesz pożyć wystarczająco długo, aby móc potem o tym opowiadać.

Dwadzieścia metrów... piętnaście...

Crofts nagle go dostrzegł. „Włócznik”? Biały cylindryczny kształt z niebieskimi i zielonymi paskami i czerwonymi ostrzegawczymi napisami koło ogona przypominającego produkt kosmicznej ery. Niewiele większy od człowieka, spoczywający w stojaku na tylnym pokładzie i połyskujący w świetle reflektora. Niewinnie wyglądający przedmiot, w którym jedynie trzydzieści jeden oczu przetwornika pozwalało się domyślać zaprogramowanej w jego mózgu wrogości. Nie potrafił przynajmniej rozróżniać dobra i zła, nie był zdolny do etycznej oceny swojego działania. Można to było jednak nazwać niewielkim postępem w porównaniu z ludźmi takimi jak Simpson czy Szramowata Ręka. Dwanaście metrów.

- Maszyny stop! - Ostra, wyraźnie słyszalna komenda. I zaraz potem: - Zgaszę ten pieprzony REFLEKTOR, człowieku!

Crofts spostrzegł jeszcze dwóch ludzi trzymających broń, opuszczoną luźno tuż przy boku, i przysuwających się ukradkiem do relingu. Wyraźnie czekali na odpowiednią chwilę. Chryste, Harry... gdzie jest ten cholerny Harry? A może, zgodnie z umową, wciąż czeka na sygnał Croftsa?

Dziesięć metrów. Krótkie fale trzepoczące i pryskające pianą między dwoma zbliżającymi się szybko do siebie kadłubami.

I wtedy stało się.

Crofts usłyszał syk wylatującej pod ciśnieniem galarety, zobaczył skapujący kroplami biały płomień, przelatujący łukiem nad wąskim pasmem wody. Dostrzegł przez jedną, zapamiętaną na zawsze sekundę rozszerzone oczy marynarzy na mostku pomocniczej jednostki, którzy stali z uniesionymi głowami oraz otwartymi ustami i patrzyli w osłupieniu na spadający na nich ogień.

A potem chemiczne obrzydlistwo okryło ludzi, zaczęli płonąć. Krzyczeli i przez pierwsze, pełne bólu chwile dokonywanej za życia kremacji próbowali uciec, uwolnić się od otaczających płomieni, do chwili kiedy palce, nosy, uszy i guziki mundurów zaczęły się topić. Bardzo szybko ich wrzaski przekształciły się w zwierzęce skomlenie - a potem były już tylko płomienie tańczące z trzaskiem po mostku i okrywające wstrząsane konwulsjami postacie, które wkrótce przestały się poruszać.

Crofts był już świadkiem wielu paskudnych rzeczy, ale nigdy jeszcze nie odbierał ich z taką bezsilną frustracją i obrzydzeniem do samego siebie. Zwymiotował gwałtownie. Miał szczęście. W chwili gdy dostał torsji, oddano następny strzał z miotacza i wszelkie dodatkowe dźwięki zostały zagłuszone odgłosami umierania marynarzy. Komandor Edward Simpson zaś okazał się wyjątkowo tolerancyjny, nie zabił bowiem Croftsa, choć mógł się poczuć do tego zmuszony. Po prostu za robienie hałasu.

Dwóch marynarzy przygotowujących odbijacze skoszono serią z broni maszynowej, gdy próbowali uciekać. Jeżeli na zaatakowanym statku znajdowali się jeszcze jacyś ludzie, Andersen nie zwracał już na nich uwagi. Jednostka stała, i jej sterówka i mostek płonęły jak piec hutniczy, radio było stopionym wrakiem. Jeżeli nawet pod pokładem przeżył jakiś zabłąkany maszynista, nie miało to większego znaczenia. Celem akcji była kradzież, nie zabijanie. A potem odwrót, możliwie najszybszy i wykonany z wojskową precyzją. Wkrótce pojawią się statki ratownicze, płomienie bowiem musiały być widoczne z lądu. Tymczasem jednak „Marauder” musi wykonać swój błyskawiczny rejs do Przystani Kamieniołomów, wyładować zdobycz, a potem zmylić trop ruszając przez Morze Irlandzkie.

Wełniani Faceci rzeczywiście ruszali się szybko. Z małą zręcznością przeskoczyli przez relingi, założyli stropy, umocowali do stojaka hak i podnieśli wszystkim pojedynczym borem przeładunkowym „Maraudera”. Po kilku minutach cylindryczny przedmiot kołysał się unoszony w powietrzu. Nie padł żaden rozkaz, nie rozległ się żaden głos, który mógłby zdradzić pochodzenie porywaczy jakiemuś członkowi załogi, jeśli w ogóle komuś udało się przeżyć to całopalenie.

- Wkrótce, stary - szepnął Simpson pocieszająco Croftsowi do ucha - wkrótce będziemy mogli dotrzeć do mego współnika na mostku i wtedy zadecydujemy, co z tobą zrobić.

Ale decyzja co do przyszłości Croftsa - niebyła trudna do przewidzenia, skoro miała zależeć również od Szramowatej Ręki - nie została podjęta. W chwili gdy ostatni człowiek przeskakiwał z powrotem na pokład „Maraudera”, jego oba silniki nagle ryknęły gwałtownie pełną mocą. Pokład pod Croftsem zatrzęsł się, gdy śruby ruszyły, i statek skoczył do przodu z uniesionym dziobem i

tryskającą spod niego wodą. Zawył wiatr. Zwolnione z uwięzi dwa tysiące koni mechanicznych unosiło ich przez połyskujące czerwonymi odbłaskami morze. Przez jeden ułamek sekundy Crofts poczuł, że ostrze noża przestało uciskać mu plecy. Nawet tak doświadczony oficer marynarki jak Simpson zaskoczony został nagłym przyspieszeniem.

A jednocześnie spokój komandora Simpsona zmąciło pojawienie się w tym właśnie momencie Harry'ego Mearnsa...

Ogarnięty furją bojową Harry strzelał z biodra jak opętany.

Zaczęło się szaleństwo. Nagle ludzie zaczęli krzyczeć, wołać, strzelać. Dwaj mężczyźni, którzy znaleźli się przedtem przy relingu, a później zastrzelili marynarzy z odbijaczami, zostali z kolei skoszeni serią Harry'ego Mearnsa, zanim mieli czas odpowiedzieć ogniem. Ich broń dopiero unosiła się do strzału, kiedy strumień dziewięciomilimetrowych pocisków zgiął ich i maznął purpurową smugą krwi i strzępów ciała po znajdującej się za nimi ścianie nadbudówki.

Crofts turlał się gwałtownie w bok, usiłując namacać uzi. Tymczasem od strony mostka gardłowy głos zaczął gorączkowo wykrzykiwać rozkazy. Nie było już skoordynowanych cichych działań. W tych początkowych chwilach ataku Mearnsa wszelkie przejawy inicjatywy na pokładzie „Maraudera” zostały sparaliżowane. Dokładnie tak, jak zakładali to wraz z Harrym. Z tą tylko różnicą, że kiedy wywołali potrzebne im zaskoczenie, Crofts nie był jeszcze gotów!

Jego macająca po pokładzie ręka dotknęła metalowej kolby izraelskiego peemu. Ciągłe tocząc się w bok przyciągnął broń do siebie, jednym konwulsyjnym ruchem starając się odnaleźć plastikowy uchwyt i spust i złożyć się do strzału. Usłyszał swój własny ryk:

- Harry! Załatw najpierw tego sukinsyna! Harry!

Nagle daleko za rufą rozległa się potężna eksplozja. Pomocniczą jednostkę Royal Navy rozrywały serie dudniących, wznoszących się w górę grzybem dymu eksplozji, wielkie, tryskające płomienie wzbily się pod chmury, rozdzielały się na pojedyncze języki ognia strzelające jeszcze wyżej nad zastygłym, poczerwieniałym morzem. A więc jednak musieli mieć na pokładzie jakieś uzbrojenie, mimo że Harry Mearns twierdził inaczej. Albo był to jeszcze jakiś dodatkowy ładunek - amunicja, materiały wybuchowe?

W tej samej chwili Crofts dostrzegł na tle piekła szalejącego za rufą „Maraudera” sylwetkę komandora Simpsona, rzucającego się w jego kierunku. Przypominał wyciętego z czarnego papieru Drakulę w kombinezonie polowym szarpanym pędem powietrza. W jego niegdyś bezbarwnych, a teraz płonących czerwienią pożaru oczach błyszczała nienawiść.

Nóż! Simpson wybrał go, by bezgłośnie zlikwidować Croftsa, gdyby ten próbował wykrzyczeć ostrzeżenie, teraz jednak ten wybór okazał się kardynalnym błędem. W dwudziestowiecznej walce ogniowej stwarzał nie większe zagrożenie niż łuk i strzały - dla wszystkich z wyjątkiem Croftsa. Mógł zlikwidować go, zanim zdoła użyć swego plującego sześciuset pięćdziesięcioma pociskami na minutę narzędzia współczesnej walki.

Harry wreszcie ich zobaczył. Był jednak wciąż wściekły jak diabli na Croftsa.

- Ty sukinsynu! - Wyraz twarzy Mearnsa był pełen najgłębszej pogardy. - Pozwoliłeś im to zrobić, ty beznadziejny, tchórzliwy...

Z boku nadbudówki pojawiła się kolejna biegnąca postać z hiszpańskim peemem plującym ogniem. Harry obojętnie wygarnął z podrzutu, lecz mężczyzna pobiegł dalej - przez reling i w spienioną wodę - wciąż strzelając.

- ... ty SKURWYSYNU! - skończył Mearns.



- Zamknij się i zdejmij Simpsona! - ryknął Crofts.

Simpson, do tej pory ukryty przed wzrokiem Mearnsa, robił właśnie rozpaczliwy zamach. Jego ręka, teraz trzymająca nóż za czubek ostrza, wzniosła się hakiem ponad ramię. Musiał zginąć i dobrze o tym wiedział... Mimo to zareagował na bezpośrednie zagrożenie, działając wciąż jak świetnie wyszkolony pirat w służbie Jej Królewskiej Mości.

Harry Mearns zdołał oddać tylko jeden strzał, zanim nóż pokonał rozdzielającą ich przestrzeń, ale to wystarczyło. Crofts zobaczył, jak Simpson przelatuje nad nim i pada na pokład - skulony i żalony, jak szczur kopnięty butem farmera. Jednocześnie Michael usłyszał, jak Mearns mruknął dziwnym tonem: „O Jezus!” Kiedy odwrócił spojrzenie od ciała Simpsona, zobaczył zgiętego w pół Harry'ego z nożem sterczącym z ramienia, siedzącego na jednym ze świetlików maszynowni.

Nie było już czasu na dalsze obserwacje. Szramowata Ręka znowu wykrzykiwał rozkazy z mostka „Maraudera”. Crofts podniósł się z uzi wreszcie gotowym do strzału. W tej samej chwili dwaj następni Wełniani Faceci nadbiegli od dziobu. Jeden już strzelał, drugi w biegu unosił do góry obciętą dubeltówkę. Crofts poczuł, jak w szaleńczej euforii wyzwała się w nim cała tłumiona dotąd nienawiść. Wreszcie mógł walczyć. Uzi zaterkotał, dygocząc w jego rękach. Kwaśny kordytowy dym zawirował wokół niego. Ci dwaj zginęli w okrutny sposób. Pozostawili po sobie jedynie mozaikę krwawych strzępów i szereg dziewięćmilimetrowych dziur w ścianie nadbudówki.

Michael zaczął biec w stronę Mearnsa w chwili, gdy w świetliku maszynowni ukazał się najpierw luger, a zaraz za nim twarz maszynisty rozglądającego się ostrożnie, jakby szukał jakiejś informacji o tym, co się właściwie dzieje. Crofts udzielił mu jej w najbardziej wymowny sposób. Trafił go tuż nad kołnierzem kombinezonu. Luger pojechał po pokładzie w stronę Mearnsa, a mechanik wrócił do swoich maszyn.

- Ilu jeszcze?

- Trzech. - Harry skrzywił się, delikatnie dotykając noża. - Andersen, sternik i jeszcze jeden. Są tui, majorze.

- Spokojnie. Nie wyciągaj go - wysapał Crofts. Lufa jego uzi nerwowo poruszała się w prawo i w lewo w oczekiwaniu na jakiś ruch. Znajdowali się tuż przy tylnej ścianie nadbudówki ze sterówką, na razie poza zasięgiem wzroku Szramowatej Ręki. Michael nagle poczuł niepokój o Mearnsa. Cokolwiek by się mówiło, to Harry odwrócił kartę zdarzeń. Chyba po raz pierwszy w życiu Crofts poczuł więź łączącą go z byłym szefem kompanii kolumny „Delta”. - Nie wyciągaj tego cholernego noża, bo wykrwawisz się szybciej.

- Nie będę taki cholernie głupi - warknął lakonicznie Harry. Na jego czole lśnił już pot wyciśnięty bólem.

Crofts zaczął się powoli przesuwać. Trzymając pistolet maszynowy na piersi i opierając się mocno plecami o ściankę minął węgiel nadbudówki. Wszystko to było niesamowite... Walka ogniowa przy prędkości trzynastu węzłów, w akompaniamencie wiatru wyjącego jak upiór i ryku nie kontrolowanych przez nikogo silników na podskakującym, kołyszącym się pokładzie statku pędzącego po falującym morzu w stronę lądu.

- Mearns... - zapytał nagle, zatrzymując się ponownie. - Ile czasu według ciebie zajmie temu potworowi przepłynięcie z miejsca porwania do Przystani Kamieniołomów?

- Niewiele. Tylko kilka mi...

Kiedy Mearns pojął znaczenie pytania Michaela, popatrzył nieszczęśliwym wzrokiem. Musieli już do tej pory zużyć prawie cały czas, jaki mieli do dyspozycji.

- Kiedy załatwisz Andersena, będziesz chyba wiedział, jak zatrzymać tego pędzącego sukinsyna?

- zapytał.

Crofts odczuł coś w rodzaju wdzięczności dla Harry'ego za okazane zaufanie. Gdyby to on pytał, brzmiałoby to: jeżeli załatwisz Andersena! Mimo to jego nerwy zaczynały troszeczkę zawodzić.

- Słuchaj, jestem żołnierzem - warknął z irytacją. - Gdybym miał choć jakie takie pojęcie o łodziach, zaciągnąłbym się do marynarki.

- Manetki gazu - powiedział błagalnym tonem Mearns. - Na mostku. Jak w samolocie, Crofts.

- Samolotu - oznajmił sucho Crofts - też nie potrafię prowadzić.

- Po prostu przesunij je do tyłu...

Nagle uwagę Mearnsa zwróciło coś, co działo się za plecami Croftsa, i jego poszarzałe wargi skrzywiły się z przerażenia.

- Crofts! UWAŻAJ!

Michael już się obracał, pokonując jednocześnie pierwszy opór spustu uzi. Usłyszał i rozpoznał syk sprężonego powietrza, zanim jeszcze ujrzał obarczony podwójnym zbiornikiem potężny kształt podnoszący się z przedniego pokładu.

Wylot rury miotacza ognia skierowany był dokładnie w ich stronę. I już kapąły z niego pierwsze białe krople płynnego ognia.

Izraelskie uzi wyrzuca ośmiogramowy pocisk parabellum z prędkością wylotową ponad tysiąc trzystu stóp na sekundę. Crofts wystrzelił dość poważną ich liczbę w tym ułamku sekundy, który pozostał jemu i Mearnsowi, by ocalić życie. Strzelał z niewielkiej odległości, dzięki czemu skupienie pocisków było imponujące.

Przeszły na wylot przez Wełnianego Faceta z miotaczem ognia i wbiły się w zbiorniki z żelazem przymocowane do jego pleców. Na szczęście siła uderzeń pocisków cisnęła go do tyłu, odrzucając od Croftsa i Mearnsa.

Ułamek sekundy później facet po prostu wybuchnął. Ekspłodował. W wielkim białym rozbłysku kuli ognia i rozlatujących się na boki strzępach ciała.

Crofts cofnął się wstrząśnięty i stał z szeroko otwartymi oczyma do chwili, gdy Mearns ryknął:

- Ruszaj, majorze... RUSZAJ!

W tym momencie Michael zorientował się, że jeżeli nie zrobi tego teraz, to nie zrobi już nigdy - i rzucił się za węgiel nadbudówki czując, jak ze strachu robi mu się gorzko w ustach. Popędził w stronę trapu prowadzącego na mostek „Maraudera”.

Pozostało już tylko dwóch Wełnianych Facetów. Jeden z nich stał u szczytu trapu, skamieniały, wpatrzony z otwartymi ustami w stos pogrzebowy swego kolegi, w rozprzestrzeniający się szalejący ogień, spływający po tylnym pokładzie, kapiący lawą wzdłuż boków, zapalający poszycie statku. Płomienie sięgały dziewiczo białego cylindra częściowo załadowanego „Włócznika”, wciąż zwisającego na bomie przeładunkowym. Torpeda!

A pod nią ogień. Michael nie mógł przecież wiedzieć, czy do prób poligonowych została wyposażona w głowicę bojową z materiałem wybuchowym.

Crofts zestrzelił przedostatniego najemnika ze szczytu trapu. Jeden pocisk, prosto w głowę. Chciał zachować pozostałe naboje dla ostatniego i najbardziej pożądanego Wełnianego Faceta. Crofts był w tym momencie prawie niepoczytalny. Myśl o tym, do czego go zmuszali i co wraz z Simpsonem zrobili Laurze Harley, napęłała go furia.

Członek załogi runął z trapu wymachując okrwawionymi rękami. Crofts już nie czekał, wspinał

się nad leżącym ciałem, ślizgając się na stopniach, ponaglany kłębiącą się w nim straszliwą, odbierającą rozsądek wściekłością. Gdy wpadł na otwarty mostek, znowu uświadomił sobie, że jest śmiertelny. Szramowata Ręka mógł go teraz bez trudu zabić - odsłoniętego i wystawionego na kule podczas tego ostatniego bezmyślnego ataku.

Pociski jednak nie nadleciały. Mimo to Crofts zawahał się na ułamek sekundy. Zdarzyło się bowiem już zbyt wiele rzeczy, które nie miały sensu, i tym razem wydawało mu się, że to bardzo ważne - zrozumieć, dlaczego tak się stało. Na mostku było ciemno, tym bardziej że oczy Croftsa wciąż jeszcze były oślepienie wybuchem człowieka-bomby. Stopniowo jednak zaczął dostrzegać wysoką postać Andersena stojącego spokojnie przy kole sterowym. Andersen jakby nie zwracał uwagi na jego obecność. Po prostu stał tam, patrząc prosto przed siebie. Pęd powietrza szarpał jego blond włosy, a straszliwie okaleczone ręce, które zdradziły go na samym początku, delikatnie pieściły koło sterowe z miłością, jaką tylko marynarz mógł czuć do statku.

Wreszcie Andersen odwrócił twarz w stronę Croftsa. Skrzywił się w szyderczym uśmiechu, który Michael do tej pory widział jedynie w wycięciu czarnej wełnianej kominiarki. Potem powiedział:

- A więc to już koniec, majorze Crofts. Wszystko skończone.

Crofts wciąż nic z tego nie rozumiał. Mimo ciemności dostrzegł oczy Andersena. Był w nich ten sam pełen zadumy żal, jaki malował się kiedyś w oczach sierżanta Boschego. Żal za nie ukończonymi sprawami, nie przeżytym życiem i wspaniałymi zwycięstwami, które nagle okazały się nieosiągalnym marzeniem...

Crofts tym razem się nie wahał.

- Niezupełnie - powiedział i wystrzelił. Była to pionowo poprowadzona seria zaczynająca się od podbrzusza i skierowana ku górze - obrzydliwy, okrutny sposób zabijania. Kiedy łuska po czterdziestym wystrzelonym pocisku upadła z brzękiem na pokład i uzi umilkł, magazynek bowiem był zupełnie pusty, Szramowata Ręka już nie istniał. Wyparowała i nienawiść, i wszelkie inne uczucia. Pozostał jedynie połyskujący mokry ślad, ciągnący się przez niewielki mostek i dalej, w ciemność.

Michael stał przez chwilę nieruchomo, bez sił. Wreszcie odwrócił się wolno w stronę dziobu. Początkowo patrzył przed siebie nic nie widząc, wystawiając twarz ponad szklaną osłonę i rozpaczliwie szukając znieczulającego podmuchu wyjącego, smagającego wichru, towarzyszącego „Marauderowi”, którym już nikt nie sterował.

Nagle oczy Croftsa otwarły się szeroko.

Zrozumiał sens słów wypowiedzianych przez Szramowatą Rękę z pełną zadumy pewnością: „wszystko skończone”...:

Prosto przed nim widniały dwa czerwone światła umieszczone bezpośrednio jedno nad drugim. Nabieżniki. Takie, jakie miały wskazywać wejście do Przystani Kamieniołomów. Dostrzegł również czarne widmo urwiska sięgającego, jak zarejestrował to jego zahipnotyzowany wzrok, aż do pędzących chmur, a pod nim niewyraźną białą linię, która mogła być jedynie falami rozbijającymi się z grzmiotem o granitowy fundament pirsu przystani. Podejście „Maraudera” do portu według wszelkich kryteriów należało uznać za nawigacyjny majstersztyk. Przystań Kamieniołomów znajdowała się w odległości, której pokonanie nie zajmie nawet pół minuty.

Ale „Marauder” ważył ponad sto ton. Płynął wciąż na turbodoładowaniu z prędkością przewyższającą trzydzieści węzłów. Nie było czasu na zmianę kursu, nawet dla doświadczonego marynarza, jakim był Simpson. Wszelkie próby zmniejszenia prędkości byłyby jedynie wywołaniem

paniką aktem rozpaczy.

Crofts, jedyny teraz dowódca statku, nie wpadł jednak w panikę.

Należało zacząć od tego, że nie miał zielonego pojęcia, gdzie znajdują się te cholerne MANETKI GAZU!

# Rozdział XXI

Kiedy statek Andersena kończył swoją podróż, przypominał kamień skaczący po powierzchni stawu.

Ponieważ nie dokonano końcowej zmiany kursu, uderzył najpierw o krawędź zewnętrznej rafy - wielką, znajdującą się, pod powierzchnią wody półkę skalną strzegącą wejścia do Przystani Kamieniołomów. „Marauder” poderwał się do góry stając dęba i odbił się od powierzchni morza jak wyskakujący w górę wieloryb. Woda spływała z jego rufy, a wycie wciąż obracających się śrub brzmiało jak upiorne rekwiem. Poszycie dna zostało zdarte, wnętrzości statku odsłonięte. W ułamku sekundy przestał być jednostką pływającą, stał się latającą maszyną, ale pozbawioną zdolności latania.

Crofts przewrócił się, gdy pokład mostka podskoczył mu pod nogami. Zacisnął zaczerwienione powieki i przerażony zwinął się w kłębek, osłaniając głowę. Zamroczony, zdawał sobie jedynie sprawę, że ma jakąś szczególną skłonność do katastrof. W tym koszmarze związanym z „Włócznikiem” był obarczony całkowitą odpowiedzialnością. A teraz lodowaty spokój, z jakim Andersen zaakceptował cenę swej porażki i stojąc przed lufą pistoletu maszynowego zaniechał jakichkolwiek działań, popełniając w ten sposób właściwie samobójstwo... nawet ta śmierć obróciła się przeciwko Croftsowi. Jego pierwsze dowództwo na morzu - i proszę, czego udało mu się dokonać przez niespełna minutę.

„Marauder” wylądował bezwładnie tuż koło sterczących granitowych zębów pirsu, rozwalając sobie brzuch, rozrzucając na wszystkie strony tony paliwa, zbiorniki, balast, rury, armaturę pokładową, ciała i wciąż płonące szczątki, z których wzbiły się w niebo snopy iskier. Zniszczony został stary dźwig z nowiutką liną, która stała się pierwszym sygnałem szykującego się tu łajdactwa. Tysiące uspiionych ptaków ocknęło się i zerwało do lotu, kołując nad morzem z pełnym przerażenia wrzaskiem.

Statek znowu stanął dęba, ale tym razem ospale. Konwulsje konającego. Coś ciężkiego upadło z łoskotem na pokład i zatrzymało się na mostku, tuż nad Croftsem. Nie ośmielił się otworzyć oczu, tylko zwinął się jeszcze bardziej w swojej prywatnej kryjówce i leżał, czekając na ostatni, potężny wstrząs lądowania. Zalewała go słona woda i piana. Zawładnął nim histeryczny strach przed utonięciem. Nagle poczuł, że statek przechyla się na prawą burtę i usłyszał ryk wdzierającego się do środka morza.

Otworzył oczy, spojrzął w górę i zobaczył kołyszący się nad nim długi, widmowy kształt. Była to torpeda, „Włócznik”, powód jego przybycia do Auchenzie. Zerwany wstrząsem z mocowań leżał teraz zniszczony, pokryty wgnieceniami i zadrapaniami, i tylko jego trzydzieści jeden połyskujących elektronicznych oczu patrzyło wrogo z pękniętej osłony. Przez jedną ulotną chwilę Crofts naprawdę wyobraził sobie, że zaskoczył go w momencie, kiedy „myślał”.

A może po prostu... śmiał się?

„Marauder” jeszcze bardziej pochylił się na burtę i woda zaczęła sięgać szczytu trapu.

Crofts wstał z wysiłkiem i zaczął szukać Harry’ego Mearnsa.

Udało mu się wyciągnąć Mearnsa na brzeg. Harry przeżył. Leżał, uczipiony jedną ręką pokrywy luku, i klął... Rzeczywiście okazał się niezniszczalny, ale wciąż będzie miał wobec Croftsa dług. Michael uśmiechnął się w duchu, uświadomiwszy sobie, że ta myśl będzie dla Mearnsa nie do zniesienia. Nic jednak nie mógł na to poradzić - z nożem Simpsona sterczącym w ramieniu w żaden sposób nie zdołałby dotrzeć do plaży.

Przewrócili się, zupełnie bez siły, na pokrytą otoczkami ścieżkę wiodącą w górę urwiska. Leżeli przez parę minut oddychając ciężko i obserwując agonię „Maraudera”. Nie zatonął całkowicie. Wewnętrzna część przystani, gdzie zakończyła się jego podróż, była zbyt płytka. Teraz leżał na boku, płomień na rufie niemal zgasł. Woda sięgała do połowy jego zakrwawionych, poszarpanych kulami pokładów, a na powierzchni kołysały się różne szczątki. W stronę plaży płynęło obrócone twarzą w dół, rozkrzyżowane ciało, a obok niego sflaczały i podziurawiony pociskami półsłotywny ponton, pod którym Crofts i Simpson spędzili razem nieco czasu.

Crofts żałował, że Simpson zginął. Zbyt wiele odpowiedzi na pytania, których nie zdążył zadać, umierało wraz z „Marauderem”. Bardzo chętnie zamieniłby jeszcze parę słów z cholernym komandorem Simpsonem, gdyby Harry nie był zmuszony go zabić.

Mearns w końcu poruszył się i mruknął:

- Idę ścieżką na górę.

Crofts nie odrywał spojrzenia od „Maraudera”.

- Już wszystko w porządku, Harry. Teraz po nas przyjdą. Musieli dostrzec ogień.

No cóż, ucieczka nie miała już sensu. Wszystko się skończyło. Crofts zdobył potwierdzenie swojej niewinności, stał się nawet czymś w rodzaju bohatera. Obaj stali się prawie bohaterami.

- Powiedziałem, że idę na górę tą pieprzoną ścieżką! - warknął Harry Mearns z nagłym rozdrażnieniem.

Crofts spojrzał na niego nieco zdezorientowany. Na rany boskie, przecież dopiero co ocalił mu życie. Co za sens katować się dalej, skoro wszystko się już skończyło?

W tej samej chwili przekonał się jednak, że to wcale nie koniec. Wyglądało na to, że przynajmniej dla Harry’ego Mearnsa nie oznaczało to zakończenia sprawy. Harry trzymał w ręku lugera skierowanego prosto w pierś Croftsa, ten sam pistolet, który wyleciał z ręki mechanika zastrzelonego w luku maszynowni. I wszystko wskazywało na to, że Mearns ma zamiar go użyć. Właśnie teraz.

- Może nie dosłyszałeś mnie, majorze. Nie powiedziałem, że idziemy na górę urwiska. Powiedziałem, że ja idę.

Mearns w tym samym momencie uśmiechnął się lekko, ale był to niewesoły uśmiech. Możliwe, że kryło się w nim nawet trochę żalu.

- Nigdzie nie pójdziesz, Crofts. Zostaniesz tu. Martwy. Rozumiesz?

Nie było czasu na niedowierzanie. Crofts miał paskudne uczucie, że nie ma zbyt wiele czasu na cokolwiek.

- Wyrównujesz rachunki za to, że trzymałem lufę przytkniętą do twojej głowy? - zapytał, starając się mówić spokojnie. - Jeżeli tak, to pamiętaj, na litość boską, że jednak nie pociągnąłem za spust.

- Rany boskie, nie w tym rzecz. To nie żadna osobista sprawa - pocieszył go Harry. - Po prostu

interesy, Crofts.

- O, nie - Crofts pokręcił zdecydowanie głową. - Jesteś mi coś winien, Harry. Wyciągnąłem cię z wraku i bez względu na twoje kretyńskie motywy, zbyt wiele mi zawdzięczasz, aby mnie zabić.

Mearns zaczął się podnosić, krzywiąc z bólu. Lufa jego pistoletu znalazła się w końcu na wysokości głowy Croftsa.

- Na początku ostrzegałem cię, że włączysz w tę aferę po uszy. A to śmierdząca gra. Tu nie obowiązuje zasada spłacania długów. Nie mogę narażać się na ryzyko, spłacając mój.

- No dobra. Skoro tak musi być, to udzielenie wyjaśnień, zanim mnie zabijesz, nie powinno ci zaszkodzić - nalegał Crofts. - Należy chociaż wyjaśnić, za co się zabija, Harry. W końcu tyle możesz dla mnie zrobić.

Mearns zawahał się, stojąc zgarbiony w mroku. Była to pierwsza oznaka jego niezdecydowania.

- Dwadzieścia lat, Harry - dodał z napięciem w głosie Michael. - Bez względu na to, czy się lubiliśmy, walczyliśmy ramie przy ramieniu prawie przez dwadzieścia lat. W końcu to jeszcze tylko kilka minut. Parę słów wyjaśnienia: dlaczego?

Były to najdłuższe sekundy w życiu Croftsa. Ale w końcu je przeżył. Mearns - wzruszył ramionami.

- No dobra, w takim razie najpierw się przespacerujemy. Ale będziesz szedł przede mną, majorze - sporo przede mną. W przeciwnym razie nie usłyszysz żadnych wyjaśnień. Nie usłyszysz nawet pocisku.

Zaczęli iść, potykając się na nierównym gruncie. Crofts, jak mu polecono, szedł przodem, wpatrując się przez cały czas z napięciem w mrok na szczycie urwiska. Z całą pewnością ktoś tu musiał być, ktoś z zaalarmowanych sił bezpieczeństwa. Do diabła, przecież wiedzą, że są tu chłopcy Mearnsa. A przy okazji - gdzie oni są?

- Pewnie zniknęli - odezwał się ironicznie Harry, jakby czytając w jego myślach. - Czy sądzisz, że po tym, co się zdarzyło, takie niedojdy będą się tu pętać? Jestem nawet zdziwiony, że wytrzymali wystarczająco długo, by ustawić światła - musieliśmy wyglądać jak nadjeżdżająca szalona lokomotywa.

Crofts wspiał się parę stopni wyżej, a potem przestał już szukać policjantów. Domyślił się, że nikt na nich nie będzie czekać na górze. To był jego błąd. Powinien uwierzyć swoim wcześniejszym podejrzeniom. Mearns na dobrą sprawę zdradzał się od samego początku. Kiedy na przykład z taką pogardą wypowiedział słowa: „ukochana ojczyzna”.

- Nigdy nie pracowałeś dla brytyjskiego wywiadu, prawda, Harry? No to powiedz mi: jak długo jesteś tym cholernym rosyjskim agentem?

- Och, około dwudziestu lat - odparł rzeczowym tonem Harry.

Crofts zwolnił gwałtownie. Dwadzieścia lat? Od samego sądu polowego? Znowu napłynęły dawne wątpliwości - nie wyjaśnione zasadzki, operacje najemników przewidziane, zanim zdążyli wyruszyć do walki, cele znikające tuż przed atakiem, zdradzenie kolumny „Delta”, co spowodowało również śmierć sierżanta Boschego... Sowietom musieli zapłacić Harry'emu kupę forsy w ciągu tych dwudziestu lat.

- Ruszaj, Crofts - warknął Mearns. - Twój czas jest cenny, nie trać go na moralizowanie. Wszyscy robimy to dla pieniędzy - ty, ja, Harley, Simpson... szczególnie Simpson, który zasłania się swą przysięgą wierności Królowej i Ojczyźnie. Ideowym komunistą jestem w nie większym stopniu niż ty, Crofts. „Najemnicy”, Crofts, tak się nazywa ta gra i nie ma żadnej szczególnej różnicy między

gorylami Andersena z „Maraudera” a szczerze oddanymi sprawie, świętoszkowatymi typami takimi jak ty. Może poza większą dozą hipokryzji.

Niewykluczone, ale tylko niewykluczone, że Harry Mearns nie był całkowicie w błędzie.

Znajdowali się już w połowie ścieżki. Wiatr od morza nasilał się, szarpiąc przylepionymi do skóry, mokrymi włosami Croftsa, wyjąc w załomach skalnych. Jeżeli wierzyć w obietnicę Mearnsa, czas uciekał. Crofts szedł pod górę, starając się przekrzyczeć wicher.

- Simpson mnie nawet ostrzegął, że jest to sowiecka operacja w Oban. Dlaczego to zrobił, skoro był jednym z was?

- Nie był. Wymyślił tę szpiegowską historyjkę żeby zamaskować swoje własne motywacje. - Harry roześmiał się cynicznie. - Był o wiele bliżej prawdy, niż sobie to wyobrażał.

- W takim razie to on miał zamiar szantażować Brytyjczyków torpedą? Był bardziej człowiekiem interesu niż zdrajcą?

- Po Wietnamie poczuł się zawiedziony Royal Navy. Pracował dla nich przez całe życie, a oni pominieli go w awansie. W związku z tym postanowił wykorzystać swoje możliwości dotarcia do ściśle tajnych informacji i zarobić na tym.

- I dlatego zwrócił się do ciebie z pomysłem porwania. Ty natomiast przekazałeś ten plan Sowietom. Wykorzystałeś Simpsona.

- Dysponował harmonogramami bazy w Ardarroch, a Kreml chciał mieć „Włócznika”. Wydało mi się rozsądne połączyć to. Ale Simpson o tym nie wiedział.

- A KGB zapewniło udział prywatnej marynarki - bandę Andersena. I dlatego Szramowata Ręka nie bronił się, kiedy w końcu przyszedłem go zabić. Wiedział, że niepowodzenie w każdym razie jest dla niego wyrokiem śmierci...

Crofts zatrzymał się gwałtownie, nie zwracając uwagi na lugera. Jedna z ostatnich, ale jednocześnie jedna z najtrudniejszych do wyjaśnienia zagadek wciąż była nie rozwiązana.

- To nadal nie trzyma się kupy, Harry. Przyznałeś, że pracowałeś dla Sowietów. Wiedziałeś równie dobrze jak ja, że „Włócznik” może stać się największą szpiegowską zdobyczą, o jakiej kiedykolwiek marzyli, a mimo to udaremniłeś misję Andersena, w chwili kiedy odniósł sukces. Nawet napuściłeś mnie, żebym ci pomagał.

Mearns również się zatrzymał. Gdy Crofts odwrócił się ostrożnie, by na niego spojrzeć, zobaczył mimo ciemności uśmiech Harry'ego Mearnsa. Rysy jego twarzy wykrzywiły się pod wpływem straszliwego bólu, ale mimo wszystko udało mu się uśmiechnąć.

- Słyszałeś kiedyś o podwójnym blefie?

- W jakim sensie?

- Pamiętasz tego naukowca, Thomsona?

- Zamordowanego w Kopenhadze? Eric dał mi do zrozumienia, że wiesz coś na ten temat.

- KGB zabiło tego małego pedała, kiedy próbował do nich uciec. Mokryje dzieła - mokra robota, Crofts. Wszystko umiemy nazwać.

- Po jakiego diabła, Mearns? Jeżeli pracował na poligonie Ardarroch, musiał mieć w głowie wszystkie tajemnice „Włócznika”. Nie zabija się kury, zanim złoży złote jajka.

- O, Thomson mówił - zapewnił go beznamiętnym tonem Harry. - Zanim umarł, powiedział specjalistom technicznym z radzieckiej ambasady wszystko, co wiedział.

- Tortury?

- Perswazja - poprawił go nie zmieszany Mearns? - No, w każdym razie częściowo.



Najwidoczniej Thomson upierał się, że za wiadomości muszą mu zapewnić bezpieczeństwo. Nie wykazał chęci do współpracy przy objaśnianiu ostatecznych szczegółów komputera taktycznego. Może był przekonany, że gdy wszystko wyśpiewa, zlikwidują go.

- Jak widać, miał rację.

- Oczywiście, że miał - Harry wzruszył ramionami. - Doprawdy, jeżeli się bliżej zastanowić, to był z niego sprytny dupek.

- Ciągłe mi jeszcze nie wytłumaczyłeś, jaki sens miało to morderstwo, skoro już uciekł. Dlaczego po prostu nie przeszmuglowali go do Rosji?

- I tu właśnie potrzebny był bluff. Gdyby Brytyjczycy się domyślili, że Thomson wyśpiewał ich tajemnice, powędrowaliby natychmiast z powrotem do desek kreślarskich i zmienili projekt. Mogliby nawet wymyślić coś jeszcze bardziej śmiertelniejszego. Dlatego KGB musiało zamaskować likwidację Thomsona tak, by wyglądało, że został zabity, zanim zdradził jakieś istotne dane. Na przykład przez spotkanego w podróży, zbyt napalonego duńskiego przyjaciela. Brytyjczycy dali się na to złapać. Program „Włócznika” był prowadzony dalej zgodnie z harmonogramem.

- Po co więc - mruknął Crofts - Sowietom zadali sobie trud organizowania dzisiejszej nocy drugiej, zupełnie zbędnej próby? Po co podejmowali ryzyko wpadki, skoro znali już tajemnice torpedy?

Mearns zawahał się. Sprawiał wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwał. Gwałtownie machnął łufą lugera.

- Ruszaj, nie mamy już czasu. Żaden z nas.

Wspinali się dalej, ślizgając i potykając w ciemności. Dla Mearnsa każdy krok musiał oznaczać straszliwe cierpienie. Trzeba mu było oddać sprawiedliwość: był to rzeczywiście twardy żołnierz, bez względu na to, po czyjej stronie walczył.

- Dlaczego, Mearns? Dlaczego KGB chciało zdobyć to, co już posiadało?

- Bo nie mogli tego nie zrobić, Crofts. To szpiegowska gra, Crofts. Mówiłem ci: bluff i podwójny bluff. Załóżmy, że Brytyjczycy nie zostali przekonani, że Thomson zmarł i nie zdradził tajemnic „Włócznika”... Powiedzmy, że specjalnie przekazali szczegóły dostawczego rejsu do Ardarroch?

Crofts znowu wspominał Simpsona, który zawsze sprawiał na nim wrażenie fachowca. Zaczął myśleć na głos:

- W związku z tym świadomie podsunęli te informacje jakiejś sowieckiej wtyczce w Ministerstwie Obrony?

- Była to możliwość, którą Kreml musiał brać pod uwagę - że brytyjskie służby bezpieczeństwa ustawiły im przed nosem starannie przygotowaną przynętę.

- Co oznaczało, że jeśli jej nie chwycą albo przynajmniej nie spróbują chwycić - to już ją mają?

- Właśnie. W związku z tym Rosjanie musieli zareagować. Nie mieli wyboru. Skoro przedstawiono im propozycję Simpsona, musieli zorganizować prawdziwą próbę porwania doświadczonego egzemplarza „Włócznika”.

Crofts zmarszczył brwi. To wciąż nie do końca miało sens.

- Z tym jednak zastrzeżeniem, że gdyby Brytyjczycy przyjęli śmierć Thomsona za dobrą monetę, operacja ta obróciłaby się przeciwko Rosjanom. KGB zmarnowałoby własny sukces, starając się być zbyt sprytnie. Kradłoby tajemnicę, którą już posiadało, i w ten sposób niweczyłoby wszelkie uzyskane już korzyści...

- No tak, ale im się nie udało ukraść, prawda? - zauważył Harry.

Crofts znowu zatrzymał się gwałtownie, zapominając o pistolecie. Harry uniósł nieco broń, ale

nie wystrzelił. Spoglądał ironicznie na Croftsa.

- To ty? - mruknął Michael.

- I ty. Jesteś zdecydowanie zbyt skromny, majorze. Większa część strzelaniny to twoje dzieło. Mówiąc szczerze, to cholerna ironia losu, że kiedy zaatakowałeś bandę z „Maraudera”, w gruncie rzeczy pracowałeś dla Politbiura, i to dla jego paskudniejszej części. Misja wewnątrz misji, majorze. Andersen - Szramowata Ręka - był spisany na straty od samego początku. Ty byłeś w to zaplątany przez zwykły przypadek, on zaś w wyniku operacyjnej konieczności. Owszem, Andersen otrzymał z KGB rozkaz porwania „Włócznika”, ale to mnie wydano rozkaz o największym znaczeniu... upewnić się, że mu to się nie uda!

Crofts zerknął w dół, na Mearnsa. Teraz była w nim prawdziwa gorycz i bezsilna nienawiść. A więc wszyscy ci zabici byli ofiarami gigantycznej rozgrywki szpiegowskich szachów. Zlikwidowani po prostu po to, aby podtrzymać kłamstwo, które z kolei pomagało uwiarygodnić inne kłamstwo?

- A przy okazji miało to udowodnić twoją przynależność do właściwej drużyny, co, Harry? Nawrócony grzesznik. Facet, któremu sumienie w końcu kazało stawić czoło rosyjskiemu niedźwiedziowi?

- Jako jedyny człowiek, który pozostał przy życiu z tego statku, będę największym brytyjskim patriotą od czasów Churchilla - wyszczerzył zęby Mearns. Znowu zaczął nasłuchiwać i nagle wykonał gwałtowny ruch pistoletem. W tym momencie Crofts również usłyszał odległy warkot nadlatującego samolotu. Piasek w klepsydrze jego życia wyczerpywał się szybko.

- Twój irlandzki pilot? Osobista służba transportowa, która ma zawieźć Harry'ego Mearnsa do Mateczki Rosji po tym, jak odwaliłem dla ciebie brudną robotę?

- Najpierw do Republiki. A potem kanałami przerzutowymi broni IRA na Bliski Wschód. Może do Syrii. Albo Libii. A tam zajmą się mną radzieckie ambasady.

- Powinieneś się tam czuć jak w domu, Harry - stwierdził ironicznie Crofts. Ale Mearns sprawiał wrażenie, jakby go nie dosłyszał.

- Wiesz, nigdy dotąd nie byłem w Rosji - rzekł. W jego głosie jednak nie było pełnego tęsknoty oczekiwania. Raczej niepewność, żal za wszystkim, co na zawsze utraci.

- Dostaniesz się tam, starszy sierżancie - warknął Crofts. - Ale nie przejmuj się tym za bardzo, w końcu wszyscy trafimy do piekła. Będziesz po prostu tam zmierzał, dopóki zostaniesz przy życiu.

Znaleźli się już na szczycie urwiska. Wiatr wzmagał się, przechodząc w dokuczliwe zawrodoenie. W głębi łądu Crofts mógł dostrzec poszarpaną linię horyzontu - góry za Auchenzie. Prosto przed nim jaśniejsze miejsca w ciemności wskazywały, gdzie znajdują się ruiny lotniska. Żadnych szperających świateł, najmniejszej szansy na ratunek w ostatniej chwili. I nagle w oddali zobaczył pojedynczy żółtawy poblask - farma Tarvit. Dom, w którym Laura wciąż czekała samotnie, pogrążona w żalobie. I nadal nie wiedziała, czy śmierć Erica została pomszczona. Nie przypuszczała też, że tak blisko Crofts dożywa ostatnich sekund swego życia.

Harry minął miejsce, w którym ścieżka pokonywała krawędź urwiska, i zatrzymał się gwałtownie. Michael poczuł, że włosy na karku stają mu dęba, a zimny pot spływa po czole.

- Wiesz, twoja śmierć nie będzie zapomniana - powiedział Harry pocieszającym tonem. - Zrobią z ciebie bohatera, majorze - choć na dobrą sprawę należy ci się raczej tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Crofts znowu poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Palącą, pełną obrzydzenia wściekłość, że dał się tak wykorzystać.

- Wyjaśnij to, Mearns.

- Kiedy brytyjski kontrwywiad znajdzie twoje ciało, będą mogli udowodnić na podstawie badań laboratoryjnych, że to właśnie ty, powodowany jakimiś szaleńczymi motywami, wystrzeliłeś większą część pocisków, które uniemożliwiły Andersenowi wykonanie jego szpiegowskiej misji. Mam rację?

- Dalej.

- Innymi słowy, to ty przyczyniłeś się do powodzenia radzieckiego planu. A ja, jak sam to przed chwilą powiedziałeś, wyjdę z tego jako narodowy bohater Wielkiej Brytanii. Teraz tobie oddaję ten zaszczyt. Brytyjczycy nigdy do końca nie zorientują się, dlaczego to zrobiłeś, ale jestem pewien, do cholery, że nie będą cię kojarzyć z inspirowanym przez Kreml spiskiem. W gruncie rzeczy byłeś w głębi duszy jednym z dobrych chłopaków, drogi Mickey - pod twoją maską najemnika ukrywał się autentyczny święty Jerzy walczący ze smokiem... Tak, nikt nigdy nie będzie w stanie wyśledzić żadnych powiązań. Doprawdy, będzie to dodatkowym potwierdzeniem, majorze, lukrem na ciasteczka KGB. Pracowałeś na to od chwili przybycia do Auchenzie.

Crofts zerknął w dół z bocza na zatoczkę. Na wraku wciąż palił się ogień, niewyraźne białe grzywy fal rozbijały się o zniszczone molo. Nic więcej. Czuł się, jakby zajrzał w czeluść Hadesu.

Nad ich głowami rozlegał się warkot samolotu, który przygotowywał się do lądowania - a Mearns musiał jeszcze rozstawić światła, zaznaczyć pas startowy. Czas właściwie dobiegł końca.

- Kto zabił Erica Harleya? - Crofts niemal krzyknął. - Na rany Chrystusa, Mearns, czy Eric pracował dla Simpsona, czy dla Sowietów, czy może dla brytyjskiego kontrwywiadu? Był zdrajcą czy nie?

- Przykro mi, majorze - głos Harry'ego był w nietypowy dla niego sposób smutny, jakby żałował tego, co ma zrobić. - Właśnie dotarłeś do kresu swej ostatniej wal...

Crofts rzucił się szaleńczo z krawędzi urwiska, zanim jeszcze luger w dłoni Harry'ego plunął ogniem, parząc go w kark płomieniem wylotowym. Pierwszy pocisk urwał mu płatek ucha.

Mearns wystrzelił znowu trzykrotnie, raz za razem, starając się trafić go w locie. Ale Crofts nie zważał już na nic.

Spadał, nie zdając sobie nawet sprawy, jak daleko w dole leży jego śmierć. Coś, może gałąź, przytrzymało go na chwilę, potem poleciał znowu. Drobne gałązki podrapały mu twarz, ale wciąż leciał w dół. Usłyszał swój krzyk. I wreszcie, kiedy minęła już cała wieczność wypełniona przerażeniem, uderzył o coś, co było nieco bardziej miękkie niż skała, ale wciąż zbyt twarde, by ludzkie ciało mogło to wytrzymać.

Czarna otchłań zamknęła się nad nim. I major Michael Crofts przestał czuć cokolwiek.

# Rozdział XXII

Pokój hotelowy był tajemniczy, ciemny i przygotowany do ich gry miłosnej. Pam Trevelyan była tak pociągająca - leżała z długimi włosami blond rozrzuconymi na poduszce, śmiejąc się wyzywająco w cudownym zapamiętaniu.

Crofts leżał na wznak w rozkosznym stanie na wpół snu, na wpół jawy i zdawał sobie sprawę, że jej dotyka. Głaszcze jej lśniące włosy, z których jest taka dumna, delikatną, gładką skórę, policzki, zadarty nos, piękne łuki brwi.

Przesunął czubek palca w dół, po linii jej kości policzkowej, potem w stronę rzęs, zamkniętych powiek..

... POWIEK?

Crofts usiadł gwałtownie, wpatrując się w otaczającą go ciemność. Pod palcami nie wyczuł bowiem żadnych powiek! Nagle nie było nic... tylko obrzydliwie wyszarpane wgłębienie - wilgotna dziura w miejscu, gdzie znajdowało się błękitne oko Pameli Trevelyan.

Crofts wrzasnął z przerażeniem: „Jezu!”, odskakując od jeszcze ciepłego, już nieludzkiego kształtu. Otrząsał się z obrzydzeniem, powstrzymując mdłości, które ogarniały go na myśl o tym, co mu się przydarzyło, i z trudem zmuszał się, by spojrzeć znowu na koszmarnego towarzysza spoczynku.

Wreszcie powoli zaczął wszystko rozumieć. Rzeczywiście, było ciemno, ale nie była to ciemność gniazdka miłości, lecz zimna, pełna świstu wiatru ciemność szkockiej nocy, która ciągle jeszcze spowijała Przystań Kamieniołomów. Ciało obok niego, które z pewnością wyhamowało impet uderzenia po desperackim skoku, w rzeczywistości należało do mężczyzny.

Przysunąwszy się do ciała przyjrzał mu się dokładnie z obojętnością człowieka, który widział już wiele zwłok. Przekonał się, że patrzy na trudną do rozpoznania twarz jednego z chłopaków Harry'ego Mearnsa. Prawe oko Krugera albo może van der Spuya przestało istnieć. Bez względu na to, kto go zastrzelił, wykonał to czyściutko. Tylko jeden pocisk, nienagannie usytuowany. Lewe oko patrzyło na Croftsa ze zdziwieniem, ale nie było w nim jeszcze tej ostatecznej szklistości. Śmierć dopiero zaczęła swoje dzieło. Crofts położył dłoń na woskowej, zniekształconej twarzy i poczuł, że jest jeszcze ciepła. Ktokolwiek zabił drugiego Bura, musiał to uczynić bardzo niedawno. Może zanim wraz z Mearnsem wydostali się z wraku albo nawet gdy toczyli między sobą walkę o przeżycie. Kto poza nimi mógł znaleźć się na tej plaży? Wszyscy ludzie Andersena zginęli, tam nie było ocalonych. Drugi człowiek Mearnsa nie miał chyba najmniejszego powodu tego robić. Crofts pomyślał z niepokojem, że gdzieś niedaleko w ciemności leży kolejny martwy Bur. Któż więc, na litość boską, zabijał dalej, choć koszmarny związek z „Włócznikiem” z całą pewnością już się skończył?

Mimo bólu Crofts wyprostował się i potrzęsął głową. Ręka, najprawdopodobniej złamana, zwisała bezwładnie, jego niewiele różniące się od zwłok ciało było jednym wielkim bólem. Z ucha gęstymi kroplami kapłała krew. Trudno się było temu dziwić, skoro niedawno trafiono je pociskiem z

lugera.

Ile czasu minęło? Jak długo leżał nieprzytomny, podczas gdy Mearns uciekał?

W tym samym momencie z głębi łądu dobiegł warkot samolotu. Zaczął nasłuchiwać uważnie i zorientował się, że maszyna się zniża, a nie nabiera wysokości. Dopiero podchodzi do lądowania na pasie Tarvit. Pokuśtykał w stronę ciała Bura i zaczął rozpaczliwie obszukiwać ziemię wokół niego. Pistolet... musiał mieć przy sobie jakąś broń. Znalazł latarkę i włączył ją - światło było czerwone, jak znak nawigacyjny, jak krew niewinnych ludzi. Natychmiast dostrzegł błysk metalu koło wyciągniętej ręki i schwycił pistolet.

Była to zabawka, szyderstwo z prawdziwej żołnierskiej broni - węgierski frommer z żalonym magazynkiem na siedem nabojów. Cholernie nieużyteczna broń w przypadku strzelania do samolotów. Jezusie, przecież trudno by nim było wystraszyć mewy w Przystani Kamieniołomów.

Crofts zaczął przeklinać, początkowo spokojnie, potem jednak z narastającym gniewem. Był to zbyt ni luksus, gniew bowiem już wcześniej pozbawił Croftsa ostrożności. A jedynie ostrożność mogła utrzymać go przy życiu.

No to co!

Obrócił się, nie zwracając na nic uwagi. Po raz drugi tej samej nocy zaczął wspinać się na wierzchołek urwiska.

Crofts uporał się z tą koszmarną wspinaczką jedynie dzięki swej nienawiści. Potykał się i zataczał biegnąc od drogi nad urwiskiem przez wydmy, grzęznąc w sypkim piasku osypującym się spod obcasów, gdy wdrapywał się na szczyt każdej przeszkody przez smagające mu twarz jałowce. Długa trawa morska owijała się wokół jego kostek przy każdym kroku... i gdy wreszcie dotarł na miejsce, okazało się, że wszystko było na próżno. Wszystko na próżno!

Kiedy po raz pierwszy spojrzął ponad krawędzią ostatniego, niskiego wzniesienia i zobaczył przed sobą pas startowy, wiedział, że jest już za późno. Samolot właśnie dokołował do położonego w głębi łądu końca pasa i zawracał, żeby rozpocząć rozbieg w stronę morza.

Na obu końcach popękanego pasa płonęły z sykiem pochodnie. Rozstawienie ich i zapalenie musiało być dla ciężko rannego w ramię Mearnsa straszliwym wysiłkiem. Dawwały wystarczająco dużo światła, by Crofts mógł dostrzec drobną, niemal żalną postać Harry'ego walczącego ze strumieniem zaśmigłowym. Usiłował wejść przez drzwiczki dwusilnikowego samolotu, który właśnie obracał się na zablokowanym jednym kole.

Była to niebiesko-biała cessa o wydłużonym przedzie i zawadiackim wyglądzie. Litery rejestracyjne miała zamalowane, aby uniemożliwić identyfikację. Kiedy Crofts bez zastanowienia zaczął biec wzdłuż pasa startowego, drobna postać Harry'ego wspięła się do środka i drzwiczki zatrzasnęły się. Samolot i Crofts znaleźli się teraz naprzeciwko siebie - ryczący Goliat i żalnie nie przygotowany do starcia Dawid.

Natychmiast ton warkotu silników cesseny zmienił się, zaczynał stawać się wyższy, sygnalizując narastanie ich mocy. Pęd powietrza zdmuchiwał i szarpał dym unoszący się wielkimi kłębami. Crofts dostrzegł poruszające się w czasie próby sterów lotki. Gigantyczna osa zadygotała przed rozbiegiem... i najpierw powoli, a potem z gwałtownie narastającą prędkością ruszyła w jego stronę.

Crofts wciąż biegł wzdłuż pasa startowego. Do jego spotkania z samolotem unoszącym Harry'ego Mearnsa pozostało niewiele.

Przez kilka krótkich sekund, gdy on i przypominający piłę tarczową krąg prawego śmigła samolotu zbliżali się do siebie, Crofts zachowywał się jak człowiek niespełna rozumu. Pogodził się z

myślą, że nie zdoła przeszkodzić Mearnsowi w opuszczeniu Szkocji strzelając do niego z tej pukawki, ale biegnąc w stronę cessny wystrzelił jednak siedem żalonych pocisków. Chryste, nawet rzucił w nią potem pistoletem: czczy, bezsensowny gest, wykonany zbyt wcześnie i tylko podkreślający brak psychicznej równowagi.

Był tylko jeden sposób. Rycząc jak wariat, nie zaprzestał biegu, kierując się prosto na obracające się prawe śmigło sterującego samolotu.

Przy prędkości startowej około siedemdziesięciu węzłów zderzenie nawet z niezbyt ciężkim przedmiotem mogło spowodować gwałtowną utratę sterowności. Nawet zderzenie z... powiedzmy... ludzkim ciałem?

To, co w końcu się zdarzyło, było zadziwiające.

Dostrzegł niewyraźny cień, którego jego zablokowany umysł niemal nie zarejestrował. Tylko jakąś drobnutką sugestią, że coś przejechało ciężko przez pas startowy, przecinając na chwilę przestrzeń między Croftsem a wirującymi kręgami śmigieł.

Coś prostokątnego i w jakiś niewyraźny sposób znajomego wydawało dudniący dźwięk kłócący się z rykiem pracujących na pełnej mocy silników cessny. Potem ten kształt zniknął i nie było już nic między pędzącym samolotem a ryczącym w furii Croftsem. Może tylko pięć sekund najstraszliwszego przerażenia, jakiego musi doświadczyć nawet najodważniejszy człowiek.

Po ułamku sekundy wydarzyło się coś dziwnego. Bez najmniejszej zapowiedzi rozległ się koszmarny zgrzyt rozdzieranego metalu. Straszliwa kakofonia zniszczenia odbijająca się grzmiącym echem od milczących wydm i zamierająca w kierunku Auchenzie. Jazgot, pisk, łomotanie i huk.

Jednocześnie cessna 310 nagle poderwała ogon ku górze i stanęła na nosie, wbijając końcówkę prawego skrzydła w pas startowy. Koziółkując zaczęła toczyć się w stronę Croftsa, a wysokooktanowe paliwo z pękających zbiorników w skrzydłach eksplodowało w gwałtownym rozbłysku ognia.

Kiedy Crofts dostrzegł tę prawie niewiarygodną scenę, błyskawicznie oprzytomniał.

Ryknął z przerażeniem: - Jezu Chryste! - i w pełnym biegu rzucił się gwałtownie w lewo. A potem, gdy koziółkująca cessna zaczęła rosnać w oczach, przywarł płasko do pasa startowego - ujrzał wtedy wykrzywioną w bezgłośnym krzyku twarz Harry'ego Mearnsa.

Harry mijał go - w tej właśnie chwili do góry nogami. Siedział za pleksiglasową szybą, wciąż przypasany do fotela, a płomienie już wyciągały się ku niemu i lizwały go, jakby ciesząc się na to, co będą mogły z nim zrobić. Potem zniknął, a zwichrowany koniec skrzydła przeciął powietrze w odległości dłoni od głowy Croftsa, który leżał obserwując, jak tocząca się trumna Mearnsa wylatuje w powietrze i tworzy pęczniejącą kulę topiącego się duraluminium.

Michael podniósł się z ziemi, gdy ostatnia eksplozja zgasła wraz z życiem szefa kompanii, starszego sierżanta Mearnsa z byłego oddziału najemników kolumny „Delta” - i z Komitetu Gosudarstwiennoj Biezopasnosti.

Rozwiązanie ostatniej zagadki nie zajęło mu tym razem wiele czasu. Samolot Harry'ego musiał się rozbić. Przy pełnej mocy startowej zetknął się bowiem ze stalową liną rozciągniętą w poprzek pasa.

W świetle płomieni Crofts szybko odnalazł jeden koniec liny - która przypominała pewną niedawno wymienioną linę starego ręcznego dźwigu. Była przywiązana, mniej więcej na wysokości śmigieł lekkiego samolotu, do konstrukcji nośnej starej wieży kontrolnej.

Odnalezienie drugiego końca zajęło kilka chwil. Błądził po omacku wśród części wypatroszonej

cessny 310. Przy okazji przekonał się, w jaki sposób lina została w najbardziej odpowiednim momencie przeciągnięta przez pas startowy.

Była umocowana do poobijanego land rovera z wybitą przednią szybą, który należał do Erica Harleya. Teraz samochód stał milczący i porzucony na lotnisku Den of Tarvit.

Crofts odwrócił się gwałtownie, czując znowu paskudny ucisk w żołądku. Żałował ponieważ, że wystrzelił wszystkie naboje z pistoletu znalezionego przy martwym Burze. Nagle usłyszał trzask odbezpieczanego pistoletu maszynowego.

A potem grzecznym, niemal towarzyskim tonem wypowiedziane słowa:

- To wydaje się nie mieć końca, prawda, stary? Te wszystkie nieprzyjemności i kłopoty. Ten bezsensowny upór, z jakim ludzie chcą umierać nawet za najbardziej niegodną sprawę.

- Witaj, Simpson - powiedział Crofts, zupełnie zrezygnowany.

# Rozdział XXIII

Nawet komandor Edward Simpson z Royal Navy tym razem sprawiał wrażenie wymiętoszonego i nieco wilgotnego. Był jednak autentycznym marynarzem z zatopionego okrętu, a nie mokrym żołnierzem udającym rozbitka jak Crofts.

Michael zauważył krew zakrzepłą we włosach Simpsona. Szybki strzał Mearnsa najwyraźniej był bolesny, lecz odniesiona rana tylko podkreślała, jak twardym stworzeniem jest w rzeczywistości Simpson.

- Czy to pan zabił Bura na plaży, Simpson?

- Obu, stary. Pod wieloma względami byli to zaskakująco przyzwoici faceci. Popełnili błąd pomagając mi wyjść na brzeg. Niezwykle miłosierny czyn.

- A Mulders? Jego również pan zabił?

- Zbyt gadatliwy facet, a w naszym zawodzie nie można tolerować gadulstwa. Obserwowałem pana przez całą noc. Z trudem powstrzymałem się od interwencji, kiedy... hmm... usuwano pańskich konwojentów.

Crofts odwrócił się i popatrzył tępo na pas startowy. Płomienie już przygasały. Zaczynał złościć się na siebie, że traci czas, którego być może zostało mu już tak niewiele.

- Przez cały czas pracował pan dla brytyjskiego kontrwywiadu, prawda, Simpson? Porwanie i szantaż były tylko przynętą dla Sowietów, aby ustalić, czy uzyskali od Thomsona tajemnicę „Włócznika”. Simpson skłonił się ironicznie.

- Połknęli to gładko. Będą wierzyć, że ich bluff się udał i że ta nieudana próba porwania nas uspokoiła. My jednak już przeprogramujemy komputer taktyczny, żeby zniwelować wszelkie uzyskane przez nich korzyści. Przedłuży to o rok prace nad programem rozwojowym, ale to niewielka cena zdrady Thomsona. A po tym, co zdarzyło się dzisiaj, nie będą więcej próbowali.

- Co z Erikiem Harleyem, Simpson. Zabiłeś go? Bezbarwne oczy błysnęły w gasnącym świetle ognia.

- Z przykrością, ale tak.

Crofts nie był tym wstrząśnięty. Już nie. Czuł się całkiem wyzuty z uczuć. Pozostał w nim jedynie straszliwy żal za wszystkim, czego ich czwórka - on, Laura, Eric... i Pam Trevelyan - mogłaby dokonać razem, gdyby nie pojawił się „Włócznik”.

- Z przykrością? - zapytał ironicznie. Jego jedyną bronią było już tylko szyderstwo. Oczywiście wiedział, że nic nie mogło zranić cholernego komandora Simpsona z Royal Navy. Poza, być może, osinowym kołkiem wbitym o poranku w serce tego potwora.

- Z najgłębszą przykrością, stary - odparł ostro Simpson z nieoczekiwaną urazą w głosie. - Nigdy nie sprawia mi radości likwidowanie ludzi walczących po naszej stronie, Crofts. Szczególnie tak dzielnych.



Twarz Croftsa była już zupełnie bez wyrazu.

- Okazał się patriotą i ostrzegł was przed Rosjanami, i to jego błąd, prawda? Kiedy zorientował się, że Mearns i Szramowata Ręka są czymś więcej niż najemnikami, którzy zaangażowali się w działalność kryminalną - w istocie, byli to rosyjscy agenci - poszedł do Służby Bezpieczeństwa Marynarki, nie zdając sobie sprawy, że wszystko od samego początku wyreżyserowane jest przez Brytyjczyków i że to pan ich napuścił na próbę porwania „Włócznika”. W ten sposób również on sam stał się źródłem zagrożenia.

- Chcieliśmy mieć pewność, że pod przymusem nie wyda naszego kontrposunięcia. Zaczął się załamywać, Crofts. Mearns i Andersen mogli to w końcu zauważyć i skłonić go do mówienia.

Michael nie musiał już umieszczać ostatniego fragmentu w łamigłównie. Wiedział, że będzie pasować. Chciał jednak zakończyć tę sprawę, zanim umrze.

- Specjalnie zrobił pan ze mnie pierwszego podejrzanego o zamordowanie Erica, prawda? Odzyskał pan moją beretkę, a potem udał, że mnie spotyka przypadkowo w Londynie po to, by zwabić mnie do Den of Tarvit. Mój stary romans z Laurą pozwolił panu wymyślić taki motyw zamordowania Harleya, który nie spłoszyłby Sowietów.

- Szramowata Ręka działał według tej samej zasady, kiedy zabił pańskich konwojentów, stary. Musiał zmusić pana do ucieczki, aby gliniarze nie zaczęli przejawiać zbytniego zainteresowania wydarzeniami na farmie - zwrócił uwagę Simpson. - W końcu wszyscy jesteśmy tacy sami, czy pan tego nie rozumie? Zimna wojna to cholernie, wredny interes.

Crofts spojrział na komandora Simpsona. Był lepiej widoczny w szarym świetle przedświt. Simpson uśmiechał się do niego. Z takim samym uśmiechem Mearns opowiadał Croftsowi, jak sprytna i bezwzględna jest jego strona. Makiaweliczna twarz szpiegowskiej gry.

- Podobno miała być pewna różnica, Simpson - powiedział z goryczą. - Ale nie przypuszczam, żeby pan zrozumiał, nawet gdybym próbował to wytłumaczyć. Wie pan co?

- Słucham, stary.

- Jestem zadowolony, że dzisiejszej nocy popsulem wasz plan. To jedyna dobra rzecz, jaka mi się zdarzyła od chwili mojego przyjazdu tutaj. Nie pomogłem żadnej ze stron - ani wam, ani pieprzonym Roskim. W porównaniu z waszą działalnością zawód najemnego żołnierza wydaje się uczciwym zajęciem. Mam nadzieję, że wszystkie sukinsyny zajmujące się szpiegostwem - Brytyjczycy, Rosjanie, Francuzi, Amerykanie, Bułgarzy - będą smażyć się w piekle za to, co wyprawiają ze światem.

Simpson rozprostował ramiona i popatrzył na dopalający się wrak cessny na końcu pasa startowego, a potem na miejsce, w którym ostatni dym z „Maraudera” snuł się leniwie na tle czystego już nieba.

- Niektórzy z nas już są w piekle, majorze... Aha, i jeszcze jedno na marginesie...

- Co takiego?

- Niech się pan nie czuje zbyt cnotliwy. Jednak nam pan pomógł - nam wszystkim. Pomógł pan Sowietom, ponieważ uzyskali albo sądzą, że uzyskali to, na czym im zależało - nieudaną próbę porwania, która wyszła bardziej realistycznie, niż mogliby to sobie wymarzyć. Pewien zwariowany facet o nazwisku Crofts pod koniec akcji udaremnił ją i uniemożliwił naszemu wywiadowi powiązanie jej w jakikolwiek sposób z Moskwą. A to, z czego nie zdają sobie sprawy, nie wyrządzi im żadnej krzywdy. Aż do następnej Bitwy o Atlantyk.

Crofts miał w tej chwili ochotę zabić Simpsona, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Nie tutaj i

nie będąc w takim stanie.

- A wam, Brytyjczykom?

Simpson uśmiechnął się ponownie. Leniwym, szyderczym uśmiechem. Tak jak robił to Szramowata Ręka w szczególnie sadystycznym nastroju.

- W dalszym ciągu pan nam pomaga, Crofts. Po prostu zostając przy życiu. Początkowo nie liczył się pan zupełnie. Był pan tylko moim parawanem, którym się posłużyłem, aby zabić Harleya. Pan jednak zrobił się nadgorliwy i wmieszał się w sprawę o wiele silniej, niż przypuszczałem... a teraz stał się pan wspaniale przekonującym ozdobnikiem całej akcji, ostateczną dekoracją naszego tortu. Pańskie dalsze istnienie najlepiej udowodni Sowietom, że nie była to żadna kontrakcja ze strony brytyjskich służb bezpieczeństwa. Wszystko będzie wyglądało na to, że zostali pokonani przez jednego zdecydowanego, twardego, prawdziwie anglosaskiego bohatera bez udziału żadnych postronnych sił.

Harry Mearns powiedział mniej więcej to samo i właściwie tymi samymi słowami. Z tą jedynie różnicą, że referował punkt widzenia KGB.

Crofts potrząsnął zakrwawioną, bolącą głową, podczas gdy Simpson wreszcie odłożył niepotrzebny pistolet maszynowy. Zdawkowy gest odraczającego wyrok. Michael wciąż był przegrany. Jakkolwiek by na to patrzeć, przegrywał w każdym rozdaniu, podczas gdy Simpson ciągle zbierał punkty. Czy rzeczywiście? Wydawało mu się, że Simpson z pewnym żalem spogląda w stronę nieruchomego land rovera i liny, która zmieniła samolot Mearnsa w kulę ognia.

- Szkoda, że to zastawiłeś, stary. Miałbym wielką ochotę pogadać przed zamknięciem sprawy z naszym wspólnym przyjacielem Mearnsem.

- Co zastawiłem? - Crofts uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Swoje sidła, stary. Sprytny numer, Crofts. Bóg jeden wie, w jaki sposób udało ci się zdążyć...

- Simpson! - zawołał gwałtownie Crofts.

- Mhmmm?

- Wcale ich nie zakładałem. Myślałem, że pan to zrobił...

W tej samej chwili za plecami Croftsa rozległ się lekki trzask 'i kątem oka dostrzegł, że kępa jałowców poruszyła się. Ktoś się tam ukrywał.

O Jezu, tylko nie to!

Odwracał się czując, że wszystkie nerwy ma napięte do ostateczności. Poznał ją. Zatrzymał się, poczuł smutek, ból i współczucie.

Koło jałowca stała Laura Harley i patrzyła na nich. W jej oczach błyszczały świeże łzy i wyglądała na bardzo samotną, beznadziejnie zagubioną.

Crofts natychmiast wyczuł, że wszystko słyszała. Poznała cyniczne, błahe motywy zabójstwa jej męża.

# Rozdział XXIV

Było w niej coś niepokojącego...

Crofts nie mógł tego określić. Wiedział tylko, że to go cholernie przeraża. Nawet komandor Simpson z Royal Navy sprawiał na Croftsie po raz pierwszy wrażenie zmieszanego.

- Czy pani wszystko słyszała? - zapytał niepewnym tonem.

- Lauro? - odezwał się Crofts. - Jak Boga kocham, przykro mi, że musiałaś dowiedzieć się wszystkiego w taki właśnie sposób.

Spojrzała na niego.

- W porządku, Mikę. Naprawdę. - Odwróciła się w stronę komandora. - Słyszałam, komandorze. I rozumiem. Doskonale.

Crofts spojrzał na nią, oszołomiony. Ona rozumie? Zauważył, że Simpson czuje się rozgrzeszony i rozluźnia się wewnętrznie. Znienawidził go za to jeszcze bardziej. Oficer marynarki zrobił krok do przodu i skłonił się z zakłopotaniem.

- Doprawdy, pani Harley, chciałbym złożyć pani wyrazy współczucia. Jego śmierć była wydarzeniem godnym ubolewania, ale może być pani w pełni przekonana, że pani mąż zginął jak patriota.

Crofts wreszcie odzyskał głos. Wskazał ręką land rovera z umocowaną śmiercionośną liną i zapytał:

- Czy to ty zrobiłaś, Lauro? Sama? Sprawiała wrażenie błędzącej myślą gdzie indziej, zagubionej.

- Ja... nie wiedziałam, co robić. Czuję się taka - bezradna. Widziałam tę linę, kiedy byliśmy tu razem, i wiedziałam, że ktoś zły może próbować stąd odlecieć.

Wciąż patrzyła na nich ze zmarszczonymi brwiami. Crofts podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, ale niczego nie dostrzegł. Tylko nagie szkockie góry, trawy delikatnie kołyszące się na wydmach, zimnobłękitne niebo, słyszał poranny świergot ptaków. W tym momencie zrozumiał, dlaczego się waha. Przecież nic się nie działo. Nie było żadnego ruchu.

- Dlaczego, komandorze? Rozbijający się samolot, wybuchy... a nie zainteresowała się tym nawet żywa dusza. Gdzie miejscowa policja?

Simpson uśmiechnął się uspokajająco.

- Och, oni są tam, pani Harley. Naokoło. Ogłoszono ten rejon strefą zamkniętą w chwili, gdy dowiedzieliśmy się, że „Marauder” kieruje się w tę stronę.

- Ale ja tu jestem - stwierdziła Laura.

- Była pani już wewnątrz sieci. Przegapiłem panią.

Crofts nie mógł już dłużej wytrzymać tej towarzyskiej rozmowy. Wszystko to było tak nieważne jak... śmierć Erica. Odwrócił się i poczuł, że kręci mu się w głowie.

- Potrzebna izba chorych, stary? - spytał wesoło Simpson, choć prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, że potrzebuje jej w nie mniejszym stopniu. Laura zmarszczyła czoło.

- A co z Michael'em, komandorze? Chyba został już oczyszczony z podejrzeń... czy to w ogóle możliwe? Chyba wszystko jest utrzymywane w tajemnicy?

- Jest wolny jak ptaszek, pani Harley. W takich sytuacjach tajemnice pomagają. Czynniki oficjalne - policja, władze sądowe, nawet prasa - zostały poinformowane, że to, co znamy pod nazwą sprawy „Włócznika”, w gruncie rzeczy było próbą sprawienia kłopotów rządowi Jej Królewskiej Mości przez kryminalno-terrorystyczną grupę. - Simpson odwrócił się i uśmiechnął protekcyjnie do Croftsa. - Jest pan postacią dnia, majorze. Dla świata będzie pan porządnym, bohaterskim obywatelem. I proszę to uważać za oficjalne stwierdzenie!

Laura znalazła się blisko nich. Crofts poczuł niepokój. Coś się nie zgadzało. Miała na sobie zgrabnie skrojony płaszcz, ale źle na niej leżał. Był obciążony w dół z jednej strony.

- Ale na pewno, komandorze, ktoś poza panem musi jeszcze znać prawdę. Ktoś ze Służby Bezpieczeństwa chyba zna jego prawdziwą rolę w sprawie „Włócznika”.

- W chwili obecnej nie. Dopóki nie złożę raportu... Crofts zaczął krzyknąć:

- Nie! Na litość boską, Lauro - NIE!

- Bardzo się z tego cieszę, komandorze - szepnęła.

A potem wystrzeliła czterokrotnie do Simpsona. Z zimną krwią. Dokładnie w dołek pod mostkiem.

Strzelała z beretty M 951, którą Crofts rozpoznał natychmiast, gdy wyciągnęła ją z kieszeni.

Kiedy zostawiał jej pistolet, w magazynku znajdowały się tylko cztery naboje. Ostatnie trzy okazały się zupełnie zbyteczne.

Sprawiała wrażenie, jakby nie zależało jej już na niczym.

Kiedy przestała płakać, delikatnie wyjął berettę M 951 z jej dłoni i podszedł do miejsca, gdzie znajdowała się kabina spalonego samolotu. Ujrzał dwie wciąż jeszcze dymiące, zwęglone postacie. Nie czując najmniejszego żalu cisnął berettę w szczątki wraku i wrócił, by otoczyć Laurę ramionami.

Nigdy się nie dowiedzą, w jaki sposób Mearns zdołał przed startem zastrzelić dzielnego komandora Simpsona, ale nie miało to już znaczenia. Odpowiedzi na wiele pytań znali już tylko martwi. Laura będzie całkowicie bezpieczna.

A poza tym Simpson powinien umrzeć. Nie, nie tylko z powodu Erica Harleya, dwóch policjantów i spisanych na straty marynarzy z jednostki pomocniczej. I nie po to, by zapewnić Croftsovi komfort psychiczny.

Laura zabiła go, ponieważ zdawała sobie sprawę, że dopóki Simpson zostanie przy życiu i będzie mógł organizować intrygi, likwidować ludzi pod pretekstem zachowania tajemnicy, dopóty ani ona, ani Crofts nie będą bezpieczni. A potem gdzieś, kiedyś pewnego cichego dnia, gdy wszyscy już zapomną o incydencie z „terrorystami”, będzie mógł zdarzyć się paskudny wypadek. Czyż bowiem dla zimnowojennej filozofii Simpsona nie było najważniejsze dążenie do całkowitej pewności, że nikt i nigdzie nie będzie mógł opowiedzieć, jak naprawdę układają się elementy, łamigłówek zwanej sprawą „Włócznika”?

# Epilog

Crofts zatelefonował do Pameli Trevelyan tego samego wieczoru.

Zadzwoił do niej ze zniszczonej budki telefonicznej stojącej na głównej ulicy Auchenzie. W tym czasie Laura Harley siedziała w jego mercedesie koloru starego złota. Czekać na połączenie, spojrział przez brudne okna budki na obiekt swej dumy. Policja okręgu Strathclyde dobrze o niego dbała. Nigdy nie dałoby się wywnioskować, że samochód był kiedyś „aresztowany”.

Niezgrabnie zapalił lucky strike'a i poruszył mocno zabandażowanym ramieniem. Przez chwilę zwróciły jego uwagę napisy. Jeden z nich zapewniał, że Eck kocha Jessie i że Govańscy Hunowie są OK. Cieszył się z powodu Govańskich Hunów, czuł jednak pewien niepokój w sprawie Ecka i Jessie. Czy Eck napisał to w pełnej euforii chwili, gdy po raz pierwszy spotkał Jessie? Czy ona równie silnie kochała Ecka, czy też tylko tak mu się zdawało? Skoro już o tym mowa, czy uczucia do Pameli Trevelyan były potwierdzeniem jego własnej głupoty?

A potem usłyszał głos Pam, pełen podniecenia i miłości. Wreszcie zaczęła płakać ze szczęścia i Crofts już wiedział, że wcale nie jest głupi.

- Hotel, gdzie się poznaliśmy - poleciał ostatecznie. -

Pojadę do Londynu i spotkamy się tam jutro wieczorem. Czy możesz zamówić pokój? Pam zachichotała i odparła:

- Tylko pod warunkiem, że weźmiemy apartament... - a potem dodała dziwnym tonem: - Och!

- Co się stało? - spytał zaniepokojony Crofts.

- Tatuś opowiedział mi w zaufaniu wszystko, co chciałeś wiedzieć o... no, o tej „myślącej rzeczy”. To pływa pod wodą. Czy ta informacja ma dla ciebie znaczenie?

Namyślał się długo, zanim odpowiedział. Nie chciał jej okłamywać, ale to, co się tu rozegrało, było okrutne... Ona zaś była bardzo młoda, niewinna, a poza tym i tak by w to nie uwierzyła.

Cóż, na dobrą sprawę, nawet on sam długo nie mógł w to uwierzyć.

- Nie - odparł. - To było tylko kilku wrednych typów. Nie mieli nic wspólnego z żadnymi szpiegami.

Natknął się na Groźną Matkę, gdy tylko wyszedł z budki. Cofnął się o krok z przerażeniem, gdy zatrzymała gwałtownie wózek i spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- Wracasz już pan do Londynu? - spytała go ostro.

- Jutro rano - zapewnił ją pospiesznie. - Bardzo wcześnie.

- Taa?

Popatrzyła na niego zaciskając mocno wargi, a wreszcie warknęła:

- No i dobra! Takie obce ludzie jak pan robiom tu te całe zamieszanie. To było małe spokojne miasteczko, dopókiś pan tu nie przyjechał tom lśniącym taksówkom. I tak myślę sobie, żeś to pan jest temu wszystkiemu winien.

- No cóż, niezupełnie.

- To żaden sekret, widz pan. Och, może pan tak sobie myślisz, ale tak nie jest!

Patrzył na nią tępo, z niedowierzaniem. Miał ochotę schować się z powrotem do budki, ale nieoczekiwanie dała mu spokój i z dumnie podniesioną głową odjechała swym dziecięcym czołgiem. Skąd wiedziała? Jak wiele mogła wiedzieć?

Oddaliła się zaledwie jakieś dziesięć jardów, odwróciła ponownie i wystrzeliła ostatnią salwę:

- A poza tym to zupełny skandal! Inteligentny facet i tak pan zapaskudziłeś naszym budkie telefonicznom!

Kiedy Crofts wreszcie wrócił do Laury i swojego mercedesa, uśmiechał się pod nosem. Smutna wdowa dzielnie odpowiedziała mu uśmiechem i tylko niewielkie ślady zdradzały wytarte przed chwilą łzy.

Eric na zawsze będzie pomiędzy nimi, pogodzili się już z tym faktem. Dlatego Crofts jutro rano zawiezie ją do Londynu, gdzie czekało ciało Erica. Mąż wraz z żoną odlecą wspólnie do ukochanej Afryki. Pozostaną tam na zawsze i Crofts zapewne nigdy już ich nie spotka.

Ale Croftsa i Laurę Harley będzie łączyło coś głębokiego i bardzo drogiego. Ponieważ oboje dzielili teraz inną tajemnicę.

A tajemnica - w każdym razie między przyjaciółmi - jest prawdziwie bezcenną więzią.